

Jack Higgins

Gniew Iwa

Przełożył Paweł Piasecki

WYDAWNICTWO „AMBER” sp. z o.o.

INSTYTUT PRASY I WYDAWNICTW „NOVUM”

WARSZAWA 1992

Tytuł oryginału Wrath Of The Lion

jest m dro ci Boga.

William Blake

Chocia mowa jest o wypadkach powojennych, zwłaszcza w Algierii, i o pewnych przywódcach politycznych w ramach historycznego kontekstu tych wypadków, należy podkreślić, że jest to utwór powieściowy i nie ma związku z adnymi osobami żyjącymi.

W & T

ROZDZIAŁ I

OSTRZEŻENIE PRZED SZTORMEM

Podziałka zaszła parę, na chwilę przykryła ją zasłona zielonej wody. Gdy jednak czubek peryskopu przebił się na powierzchni, w polu widzenia z zadziwiającą przejrzystością pojawił się mały, zaniedbany frachtowiec. Porucznik Fenelon chwycił rączki okularu i westchnął.

Za jego plecami Jacaud powiedział:

- „Kontoro”? Fenelon skinął głową.

- Nie dalej niż pięćset jardów od nas. Jacaud rzucił papierosa i wgniół go obcasem w pokład.

- Sam spojrz.

Czując pustkę u podstawy łopatek Fenelon cofnął się. Miał dwadzieścia sześć lat i jak dotąd nie uczestniczył w akcji, nie patrzył na wojnę inaczej niż oczyma innych ludzi. Ale to - to było nowe doznanie. Poczuli się dziwnie oszołomiony; czekając przetarli rękoczoły.

Jacaud chrząknął i odwrócił się. Był wielkim, groźnie wyglądającym mężczyzną, z wielodniowym zarostem i postrzępionymi bliznami przecinającymi prawy policzek.

- Ładnie z ich strony, jeśli na czas.

Fenelon przyjrzał się raz jeszcze. „Kontoro” przesunęła się powoli na prawo po małych czarnych liniach wytrawionych na szkle peryskopu. Zaszło mu w gardle. Zaczynał już odczuwać to specyficzne podniecenie, które ogarnia łowcę, gdy w pełnym świetle ujrzysz zdobycz.

- Jedna torpeda - powiedział mi kłoso - wystarczyłaby w zupełności.

Jacaud przyglądał mu się z dziwnym, sardonycznym uśmiechem.

- I co by to dało? Nikt by się nie dowiedział.

- Chyba nie. - Fenelon wezwał kabinę nawigatora przez tubę. - Kurs jeden-zero-pięć, przygotowała się do wyjścia na powierzchnię.

Opuścił peryskop. Ze lizgającym się w studni wydał on syk, który zmieszał się z zawodzeniem klaksonu alarmowego. Jacaud odwrócił się i, otarłszy pot zalewający oczy, wyjął z kieszeni lugera. Wysunął magazynek, sprawdził go z wprawą eksperta i zamknął ponownie z trzaskiem, który przynosił przecucie nieuchronnej konieczności.

Zapałił kolejnego papierosa. Kiedy podniósł wzrok, już się nie uśmiechał.

W sterowni „Kontoro” Janvier, pierwszy oficer, ziewnął, pochylał się nad mapę. Wykonał szybkie kalkulacje i odłożył ołówek. Z obliczeń wynikało, że znajdowali się

czterdzie ci mil na zachód od Ushant, a prognoza pogody była niedobra. Zapowiadano nadci gaj ce wiatry o sile sztormowej w akwenach Rockall, Shannon, Sole i Finisterre.

Przez chwil panował nienaturalny spokój, wolno podnosiła si wielka oleista fala. Janvier był zm czony, z niewyspania miał piasek w oczach. Pochodził z Prowansji!, nigdy nie zdołał przywykn do zimna tych północnych mórz; gdy wyrżał na szary wit, przeszedł go dreszcz obrzydzenia.

Za nim z trzaskiem otworzyły si drzwi prowadz ce pod pokład i wszedł steward, trzymaj c w obu dłoniach paruj ce kubki kawy. Dał jeden Janvierowi, a drugi sternikowi, zajmuj c jego miejsce przy sterze, w czasie gdy tamten pił.

Janvier otworzył drzwi i wyszedł na mostek. Stan ł przy balustradzie. Pij c kaw i gł boko wdychaj c zimne, poranne powietrze, czuł si znacznie weselszy. Po przepłyni ciu Zatoki Biskajskiej nale ało oczekiwa długiego kursu na południe - Madera, potem Przyl dek, cały czas sło ce. Sko czył kaw . Wyrzucił resztki za burt i zacz ł skr ca .

Sto jardów od prawej burty oleista woda zakołysała si gwałtownie. Zakipiała biał pian i łód podwodna przedarła si na powierzchni , dziwnie obca, jak jakie stworzenie z pradawnych czasów.

Janvier stał przy balustradzie, zupełnie zaskoczony. Gdy tak patrzył, otworzył si luk wie yczki obserwacyjnej i ukazał si młody oficer w czapce z daszkiem, a za nim marynarz, który natychmiast podniósł mał bander . Nagły powiew wiatru rozprostował płótno. Czerwie , biel i bł kit trójkolorówki wyra nie kontrastowały z szarymi chmurami.

Steward wysun ł si ze sterowni i stan ł przy balustradzie.

- Co pan o niej s dzi?

Janvier wzruszył ramionami: - Licho wie. Sprowad lepiej kapitana.

Trzeci marynarz pojawił si w otworze wie yczki, z lamp sygnalizacyjn w r kach. Łód przybli yła si , zmniejszaj c odst p, i lampa zacz ła szybko migota .

Jaiwier, oficer marynarki w rezerwie, nie miał problemu z odczytaniem sygnału. Po jego rozszyfrowaniu przez chwil stal przy balustradzie marszcz c brwi, potem wszedł do sterowni i zdj ł z haka lamp .

Gdy wracał na pokład, wiatło z wie yczki rozbłysło raz jeszcze, powtarzaj c pro b . Janvier odpowiedział sygnałem „Wiadomo odebrana”. Wtedy kapitan wszedł po drabince z podokr cia, w towarzystwie podoficera zawiaduj cego sterowni .

Henri Duclos zbli ał si do pi dziesi tki; po trzydziestu latach na morzu, z których pi był kapitanem korwety w Wolnej Flocie Francuskiej, niełatwo dawał si czymkolwiek zaskoczy .

- Co odpowiedziały ?

- „Wiadomo odebrana”. Duclos wszedł do sterowni i powrócił z lornetek . Badał łód przez chwilę , po czym mruknął :

- Na pewno francuska. Widać mundury. Ale mała jak na łód podwodną . - Podał lornetek podoficerowi. - Co pan o niej sądzi?

Stary człowiek po namyśle pokiwał głową .

- „L'Alouette”. Widziałem ją w zeszłym roku w Oranie podczas wizyty floty. Kiedy U-boot. Eksperyment, nad którym Niemcy pracowali pod koniec wojny. Jedną z łodzi, które przeżyła marynarka.

- Wiemy już, z kim mamy do czynienia - powiedział Duclos. - Chodzi tylko o to, czego, do cholery, ona od nas chce! - Zwrócił się do Janviera: - Niech sprecyzuje swoje zamiary.

Nastąpiła pauza, lampy zamigotały ponownie i Janvier zwrócił się do obojga:

- Mówi: „Koniecznie musimy wejść na pokład. Sprawa wagi państwowej. Zachowajcie ciszę radiową ”.

Lampa na wieżycie obserwacyjnej zgasła.

- Co mam odpowiedzieć , panie kapitanie? - zapytał Janvier. Duclos podniósł na chwilę lornetek do oczu, potem opuścił je .

- A co możesz odpowiedzieć ? Jeśli to dla nich na tyle ważne, nie wysyłaj za nami przeklętej łodzi , to musi być powód na sprawę. Sygnalizuj „Wchodźcie na pokład”.

Skrzywił się i powiedział do podoficera:

- Wyczekiwałem na to całe słowo. Mój reumatyzm ostatnio mnie wykańczał. Miejmy nadzieję , że nie będziemy musieli płynąć do Brestu.

Podoficer wzruszył ramionami.

- Dziwniejsze rzeczy dzieją się dzisiaj w Republice.

- Jakiej republice? - zapytał sardonicznie Duclos. - Wszystkie ręce na pokład! Przerzuci drabinkę przez burtę .

Podoficer odszedł. Janvier zniżył lampę .

- Dziękuj nam za współpracę .

- Dziękuj , teraz? - zauważył Duclos. - Miejmy nadzieję , że nie marnujemy naszego czasu. Zatrzymaj wszystkie silniki.

Janvier wszedł do sterowni. Duclos wyjął tymczasem fajkę i napełnił ją z wytartego skórzanego kapciucha, nie przestając obserwować łodzi. Z otwartego przedniego włazu wyciągnięto wielki łożysko , która napełniła się powietrzem. Gdy frachtowiec zaczął

zwalnia, oba okręty zbliżyły się na tyle, że odstąpił między nimi wynosił niewiele więcej niż dwadzieścia-trzydzieści jardów.

Dowódca łodzi podwodnej zszedł po drabinie z wieżyczki obserwacyjnej i przystanął u dołu, przypatrując się ciu marynarzom przygotowującym szalupę. Był szczupły, wyglądał na chłopaka w mundurze marynarki i butach gumowych, z czapką z daszkiem noszoną zawadiacko na boki. Podniósł wzrok na Duclosa, uśmiechnął się i pomachał ręką, potem przemierzył kadłub i zszedł do szalupy.

Zanim postąpił sześciu marynarzy, z których większość miała przewieszane przez plecy ręczne karabiny maszynowe. Czterech z nich usiadło przy wiosłach i łódka pokonała w kilka pasków wody, zbliżyła się do drabinki przerzuconej przez burtę „Kontoro”. Dwóch pozostało przy przednim luku łodzi podwodnej, ostro nie popuszczając lin.

- Maj trochę tego elastwa, no nie? - powiedział Janvier.

Duclos przytaknął.

- Nie podoba mi się to wszystko. Jeśli to jaka nieczysta sprawa, kiedy może oberwać. Pewnie poszukuj kogoś z załogi. Może jakiś OAS-owiec chce uciec za granicę czy coś takiego.

Marynarze szybko przeszli przez burtę. Trzech zdjęło karabiny i pozostało na dolnym pokładzie, młody oficer wspiął się po drabinie na górny pokład, za nim wawo weszli pozostali trzej.

Oficer wyciągnął rękę i uśmiechnął się.

- Kapitan Duclos? Moje nazwisko Fenelon. Przepraszam za to najciężej, ale wypełniam tylko rozkazy, rozumie pan.

Młody człowiek, który jako następny wszedł po drabinie, miał brutalną, pokrytą bliznami twarz i przyszczycone włosy. Ubrany był jak Fenelon w marynarską kurtkę i gumowe buty, ale nie nosił czapki. Oparł się niebacznie o balustradę i zapalił papierosa. Pozostali dwaj marynarze usytuowali się za Fenelonem, z karabinami w pogotowiu.

Duclos poczuł się wyraźnie nieswojo.

- Słuchajcie, co się tu dzieje? O co w ogóle chodzi?

- Wszystko w swoim czasie - odpowiedział Fenelon. - Zastosował się pan do mojej prośby o zachowanie ciszy radiowej?

- Oczywiście.

- To dobrze. - Fenelon odwrócił się i skinął nieznacznie na jednego z marynarzy, który poszedł przez pokład do pomieszczenia z telegrafem znajdującym się z tyłu sterowni, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Słychać było okrzyk przerażenia, po czym wybuchł ogień. W chwili potem przez drzwi wytoczył się radiotelegrafista. Na jego twarzy była krew. Upadł na kolana i Janvier pośpieszył, by go podnieść.

- Radio - wyjącał. - Rozwalił radio.

Nagle pośród załogi rozległ się pomruk niezadowolenia. Odpowiedzią była salwa pocisków z gwizdem uderzała w stalowe liny takielunku. Duclos wyrzucił się za balustradę i zobaczył, że podniesiono przeciwko niemu karabin maszynowy na obrotowej obróbce wieżyczki obserwacyjnej. Nawet przyjmując różnicę wysokości obu okrętów, mógł on z łatwością zamienić cały pokład „Kontoro” w krwawą jatkę.

Duclos obrócił się powoli, z pobladłą twarzą.

- Kim pan jest? Fenelon uśmiechnął się.

- Dokładnie tym, na kogo wygląda pan, kapitanie. Oficerem dowodzącym załogę łodzi podwodnej „L'Alouette”. Podlegamy osobnym rozkazom, ale służymy Francji, zapewniam pana.

- Czego chcecie? - zapytał Duclos.

- Jednego z pańskich pasażerów. Pierre'a Bouvier. Jak rozumiem, podróżuje z wami na Maderę?

W ciekło Duclosa, z trudem hamowana, wybuchła w gwałtownym krzyku.

- Na Boga, po moim trupie! Wci jestem kapitanem tego statku.

Cały czas opierając się wygodnie o balustradę, Jacaud wyciągnął lugera z kieszeni i strzelił dokładnie w jego lewą nogę. Duclos krzyknął, gdy kula roztrzaskała mu kolano, i z twarzą ciętą z bólu przewrócił się na pokład.

- To chyba przekona innych - powiedział spokojnie Jacaud.

- A teraz dawajcie tu Bouviera. Janvier odwrócił się.

- Nie ma potrzeby, monsieur - usłyszał cichy głos. - Już jestem.

Człowiek, który wyszedł z salonu pod pokładem, wiekredni miał już dawno za sobą. Wysoki, chudy, przygarbiony, kanciasta twarz ascety i przerzedzone siwe włosy. Na piętach miał nałożony płaszcz; niewysoka, siwowłosa kobieta z przerażeniem wpijała się w jego ramię. Za nim dwoje innych pasażerów, w pospiesznie narzuconym ubraniu, wahało się, czy przekroczyć próg.

- Pan jest Pierre Bouvier? - zapytał Fenelon.

- Tak jest.

Jacaud skinął na jednego z marynarzy.

- Przeprowadź go tutaj.

Kobieta natychmiast podniosła głos, ale Bouvier uspokoił ją i pozwolił poprowadzić się naprzód. Marynarz ustawił go plecami do balustrady, odszedł i stanął za Jacaudem.

- Czego chcecie ode mnie? - zapytał Bouvier.

- Miesiąc temu w Port-Neuf był pan publicznym oskarżycielem na procesie - powiedział Fenelon. - Naszych sześciu dobrych kolegów otrzymało wtedy wyrok śmierci.

- Ach tak, więc chodzi tu o OAS? - Bouvier wzruszył ramionami. - Wykonywałem obowiązki tak, jak je pojmowałem. Od nikogo nie można więcej wymagać.

- Jestem więc pewien, że i nam przyzna pan ten przywilej, monsieur. - Fenelon wyjął z kieszeni jakiś dokument, rozwinął go i szybko przeczytał: - „Pierre Bouvier, muszę pana powiadomić, że został pan zaocznie oskarżony i uznany za winnego spisku przeciw Republice przez trybunał wojskowy Rady Oporu Narodowego”.

Zrobił pauzę, a Bouvier wtrącił mu kciuki:

- Wyrokiem jest oczywiście śmierć?

- Naturalnie - powiedział Fenelon. - Chce pan coś powiedzieć?

Bouvier wzruszył ramionami i wyraz wzgardy pojawił się na jego twarzy.

- Powiedzieć? A co mam powiedzieć? Przecież nie przedstawiono mi żadnego zarzutu, na który mógłbym odpowiedzieć. Wiem to i wy też wiecie. Wszyscy Francuzi będą ...

Jacaud wyrwał karabin z ręki marynarza stojącego obok niego, szybko wycelował i wystrzelił serię, która odrzuciła Bouviera na balustradę. Obrócił się w miejscu, tkanina płaszcza zapaliła się, gdy pociski przeszły mu plecy, po czym zwałił się na pokład.

Jego żona wykrzyknęła raz imieniem, zrobiła krok naprzód i zemdlała. Jeden z pasażerów chwycił ją, gdy padała na plecy.

Z dolnego pokładu dobiegło dziwne, stłumione westchnienie załogi, potem zapanowała cisza. Jacaud rzucił karabin marynarzowi, któremu go zabrał, i zszedł po drabinie, nie oglądając się. Fenelon wyglądał tak, jakby za chwilę miał zwymiotować.

Skinął na swoich ludzi i pospiesznie podążył za wielkim mężczyzną. O mało nie upadł na pokład, potykając się w połowie drogi na stopniu.

Jeden po drugim przeszli przez burtę. Z wieżyczki łodzi podwodnej osłaniał ich ciężki karabin maszynowy. Kiedy wszyscy znaleźli się już w szalupie, marynarze stojący przy przednim luku szybko przycisnęli ją na linie.

Zostawili dryfującą szalupę i wszyscy wgramolili się do luku oprócz Fenelona, który przeszedł cały pokład i wspinał się po drabinie na wieżkę obserwacyjną. Okręty powoli oddalały się od siebie, a Fenelon patrzył na frachtowiec, na którym panowała dziwna, niesamowita cisza.

Dwaj marynarze zdemontowali karabin maszynowy i znikn ęli. Fenelon pozostał tylko chwil ę lub dwie dłu ej i poszedł w ich ę ląd. Właz wie ęczyki zamkn ęł si ę ze szcz ękiem. D wi k rozszedł si ę płasko po wodzie.

Na „Kontoro” jakby przestał działa ę czar i wszyscy rzucili si ę do balustrady. Janvier nigdy przedtem nie czuł si ę tak bardzo bezradny. Z jakiego niewytłumacznego powodu był dziwnie bliski płaczu.

W oddali wiatr zaczął ju ę podnosi ę białe grzywy na falach i Janvier przypomniał sobie ostrze ęnie o sztormie.

„L'Alouette” zanurzyła si ę pomi ędzy fale jak szara zjawa. Trójkolorówka powiewała ra no, potem i ona znikn ęła, pozostało tylko morze.

ROZDZIAŁ II

Z DALA OD CIEMNYCH TYPÓW

Rzadka mgła ci ęgn ęła od strony morza, gdy w Southampton taksówka wyjechała z zakr ętu i zatrzymała si ę na kraw ęniku. Anna Grant przygl ędała si ę przez okno zamazanym konturom gmaszyska wyrastaj ęcego spo ród ciemno ci ę.

Budynek pochodził z czasów georgia ęskich, to było pewne, ale lata wycisn ęły na nim swoje pi ętno. Ci ęg nierównych schodów prowadził do drzwi, z których złuszczała si ę farba, co było widoczne w rozproszonym ęółtawym ęwietle latarni ulicznej. Nad wej ęciem widniał mały, szklany szyld „Hotel Regent”.

Zastukała w przepierzenie i szofer otworzył.

- Jest pan pewien, ę że chodziło o to miejsce?

- „Hotel Regent”, Farthing Lane. To adres, który pani podała, i tu pani ę przywiozłem - odpowiedział. - To tylko dom noclegowy, prosz ę pani. Tu marynarze przychodz ę pokima w pierwsz ę noc na l ędzie. A czego si ę pani spodziewała - „Ritza”?

Otworzyła drzwi i wysiadła, ale zawahała si ę przez chwil ę, kiedy jej spojrzenie napotkało wilgotn ę, sypic ę si ę fasad ę hotelu. Je li nie liczy ę chlupotania wody o nabrze ęne pale po drugiej stronie ulicy, panował tu zupełny spokój. Nagle, gdzie ę w pobli ężu, otworzyły si ę drzwi jakiej ę gwarnej kawiarenki. Muzyka i miechy zdawały si ę dochodzi ę z innej planety. Anna dała kierowcy dziesi ę szylingów, powiedziała, by poczekał, i weszła po schodach.

Korytarz był słabo oświetlony, kondygnacja schodów wyłaniała się z cienia na przeciwległym krańcu. Zmarszczyła nos, czując wstręt do zapachu stchlizny, na który składały się wonie kuchenne i uryna, poszła jednak dalej.

Jakie drzwi prowadziły na lewo, na matowym szkle panneau wytrawiono kwasem napis „Bar”. Kiedy je otworzyła, znalazła się w długim, wspaniałym pokoju, którego drugi koniec spowijały ciemności. Stary, kryty marmurowym blatem bar stał frontem do jednej ze ścian, za nim powisały lustro i jakiś człowiek za kranami z piwem pochylony nad gazet.

W kącie pijak rozpiętał się na stole ze zwieszoną głową, jego oddech niespokojnym gwizdaniem zakłócał ciszę. Dwóch mężczyzn siedziało przy kominku, grając w karty i cicho rozmawiając. Podniósł na nią wzrok, gdy zamknęła drzwi i minęła ich bez słowa.

Barman był starym, łysiejącym człowiekiem, miał obwisłą, pozbawioną złudzeń twarz, mówił o tym, że już nic nie zdoła go zaskoczyć. Złoty starannie gazet i wpełchnął ją pod bar.

- Czym mogła być?

- Szukam niejakiego pana van Sondergarda - powiedziała. - O ile wiem, zatrzymał się tutaj.

Dwóch mężczyzn siedzących przy ogniu obserwowało ją w lustrze. Jeden z nich, mały i krępy, miał potargany czarny brod. Ten drugi założył przynajmniej sześć stóp wzrostu. Jego ręce były w nieustannym ruchu, przez cały czas tasując karty.

Uśmiechnęła się szeroko, ona przez chwilę spokojnie odwzajemniła spojrzenie, po czym odwróciła wzrok.

- Sondergard? - powtórzył barman.

- Jej chodzi o tego Norwega - wyjaśnił mi kkim, irlandzkim akcentem wysoki mężczyzna.

- A, o tego faceta? - barman pokiwał głową.

- Wyjechał wczoraj.

Przykrył blat baru obrusem, a Anna Grant powiedziała spokojnie:

- Ale to niemożliwe. Wynajmęłam go właśnie tydzień temu poprzez zwięzek marynarzy. Mój jacht motorowy czeka teraz w Lulworth. On ma przeprowadzić go jutro na Channel Islands.

- Trudno będzie pani go złapać - wtrącił się Irlandczyk. - Dzierżano zaokrętował się jako podoficer na „Ben Alpin”. Suez i dalej kurs na wschód.

- Podniósł się powoli i przeszedł przez pokój. - Czy mogę w czym pomóc?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, jakiś głos wtrącił szorstko:

- A może by tak dla odmiany teraz mnie obsłużyć ?

Odwróciła się ze zdziwieniem, uwiadomiacz sobie po raz pierwszy, że kto stoi w półmroku przy drugim końcu baru. Kołnierz jego dwurzędowej marynarki był podniesiony, a czapka z daszkiem ocieniała przedziwnie białą twarz z oczami jak ciemne dziury.

Barman podszedł do niego, a Irlandczyk przechylił się w stronę baru i wyszczerzył w uśmiechu do Anny.

- Może drinka?

Pokręciła łagodnie głowę, odwróciła się i skierowała do drzwi. Wyszła na korytarz i zatrzymała się u szczytu schodów. Taksówka odjechała, a mgła była coraz gęstsza, tocząc się poprzez przystanki, okręcając wokół latarni jak jakieś żywe stworzenie.

Zeszła po schodach i zaczęła iść chodnikiem. Kiedy była przy pierwszej latarni, zatrzymała się i obejrzała. Irlandczyk i jego towarzysz stali w drzwiach. Kiedy ruszyła z miejsca, zeszli po schodach i podążyli za nią.

Neil Mallory zapalił kolejnego papierosa, podniósł swój whisky do światła, potem odstawił.

- Szklanka jest brudna.

Barman podszedł do niego z wojowniczym wyrazem twarzy:

- A co ja mam na to poradzić ?

- Chcę dostać inną - powiedział spokojnie Mallory. Było coś osobliwego w tonie jego głosu, w wejrzeniu ciemnych oczu, co sprawiło, że barman powstrzymał się od zaczepnej riposty i wymusił uśmiech. Nalał drugą szklankę i podsunął ją Mallory'emu.

- Klient nasz pan.

- Tak też myślałem - powiedział Mallory, ledząc oczyma Irlandczyka i jego towarzysza, którzy podążyli za kobietą. Jednym haustem gładko dopił whisky i wyszedł za nimi.

Stał na szczycie schodów nasłuchując, ale mgła tłumiała wszystko, nawet dźwięki. Statek sunął po wodzie, przytłumiony zew syreny mgłowej brzmiał obco, poruszając w Mallorym jakieś głębokie pokłady. Zadrżał mimowolnie. W tej samej chwili usłyszał krzyk Anny Grant.

Zszedł na dół i dalej nasłuchiwał, pochyliwszy nieznacznie głowę do przodu. Kolejny krzyk dobiegł z lewej strony, dziwnie płaski i stłumiony przez mgłę. Wtedy zaczął biec.

Na przeciwległym końcu ulicy skręcił, wbiegł na nabrzeże. Poruszał się bezgłośnie w butach o gumowych podeszwach i wziął ich z zaskoczenia. W słabym świetle latarni widział, jak dwóch mężczyzn przyciskało szamocząc się kobiety do ziemi.

Gdy Irlandczyk podniósł alarm, Mallory kopnął go butem w twarz. Młody mężczyzna z krzykiem przewrócił się w tył, stoczył po nabrzeżu i o dziesięć stóp dalej wpadł w miękki muł błotnistej brzozy.

Brodacz wyciągnął nóż z kieszeni. Mallory cofnął się. Młody mężczyzna uśmiechnął się szeroko i rzucił na niego. Mallory chwycił napastnika za przegub, wykręcił mu ramię do tyłu i przytrzymał w elastycznym uścisku. Ten wrzasnął jak kobieta i rzucił nóż. Mallory wymierzył mu przedramieniem potężny cios w bok szyi i wtedy ostatecznie powalił go na ziemię.

Anna Grant opierała się o ścianę, w chorobliwie białym świetle jej twarz była blada, krew ciekła z głąbokiego zadrapania na policzku. Za nią miała się niepewnie i odgarnęła z czoła kosmyk ciemnych włosów.

- Nie zatrzymuje się pan w połowie drogi, prawda?

- O co chodzi? - zapytał.

Jej dresjowy kostium był ubłocony i przemoczony, bluzka rozpruta aż do talii. Zrobiła kilka kroków, silnie utykając na prawe nogę.

Gdy przystanąła, by podnieść swój torebkę, brodaty mężczyzna ją kopnął i przewrócił się na plecy.

Popatrzyła na niego przez chwilę, po czym zwróciła się do Mallory'ego:

- Ma pan zamiar wezwać policję?

- A chce pani tego?

- Niespecjalnie. - Zaczęła się lekko trząść. Było zimno. Zdjął swój marynarski i zarzucił jej na ramiona.

- Drink dobrze by pani zrobił. Wrócimy do hotelu. Skorzysta pani z mego pokoju, a ja wezwę taksówkę.

Wskazała głową na brodacza.

- Nic mu nie będzie?

- Takim nigdy nic nie jest.

Wziął ją pod ramię. Doszli do rogu i skręcili w ulicę. Zaczynało padać, krople deszczu pokrywały elastyczny balustrad srebrzysty ros. Czuli tępy, dotkliwy ból w kostce. Domy pływały we mgle, nierzeczywiste i niematerialne, były czci śnie, z którego musiała się dopiero przebudzić, chodnik zdawał się poruszać pod jej stopami.

Przez chwilę czuła dotyk jego ramienia, mocny i uspokajający, więc odwróciła się i uśmiechnęła do tej dziwnej, bladej twarzy i ciemnych oczu.

- Już wszystko dobrze. To tylko oszołomienie.

Z mgły wypłynął hotelowy szyld; natrafiwszy na , weszli głównym wejściem i wspięli się po rozklekotanych schodach. Pokój Mallory'ego znajdował się na końcu korytarza. Młody mężczyzna otworzył drzwi, zapalił światło i dał jej znak, by weszła.

- Proszę się rozgościć. Będzie za kilka minut.

W pokoju panowała dziwna martwota, tak typowa dla tanich hotelików na całym świecie. Na podłodze strzęp zniszczonego dywanu, metalne łóżko, tania szafa na ubranie i szafka. Jedynym znamieniem luksusu była umywalka w kącie pod oknem, do której poku tykała przez pokój.

Okazało się nieoczekiwanie, że nie brakuje gorącej wody. Umyła więc ręce i twarz, potem oceniła swój wygląd w lustrze przykrconym do ściany nad umywalką. Zadrażnienie na policzku okazało się powierzchowne, ale ubranie miała zniszczone. Gdyby nie to, może na by powiedział, że nie ucierpiała znacznie. Siedziała na skraju łóżka, przyglądając się swojej kostce, gdy wrócił Mallory.

Postawił napełnioną do połowy butelkę brandy i dwie szklanki na nocnej szafce i przyklęknął na jedno kolano za łóżkiem.

- Co powałego? Potrzebna głowa :

- Nie, tylko paskudne drażnienie.

Wyciągnął spod łóżka poobijaną fibrową walizkę, wyjął z niej ciuchy, rybacki sweter i rzucił go jej na kolana.

- Lepiej niech pani to włoży. Jest pani zupełnie przemoczona.

Gdy włożyła sweter przez głowę i podwijając długie rękawy, położyła jej prawy stop na swym kolanie i zwinął chustkę wprawnie opatrzył nadwieszoną kostkę. Obserwowała go spokojnie.

Był średniego wzrostu, miał szerokie plecy i nosił ubranie typowe dla marynarzy. Tania koszula z niebieskiej flaneli i mocne robocze spodnie z jakiegoś ciemnego materiału, spięte szerokim skórzanym pasem z mosiężnymi sprzączkami. Ale nie był to zwyczajny człowiek. Jego dziwna twarz, o twardym i zagadkowym wyrazie, sprawiała, że niewielu o niego mieliłoby się z nim słowo. Miał jasną i jakby bezkrwistą skórę, czarne, kędzierzawe włosy ze szpicem na czole. Najdziwniejsze jednak były oczy: tak ciemne, że zupełnie zamierało w nich światło.

Na nabrażu był straszny w swym gniewie, sprawny i nieubłagany, a kiedy nagle podniósł wzrok, jego mroczne oczy patrzyły na nią, jakby była powietrzem. Po raz pierwszy tej nocy odczuła prawdziwy lęk, lecz zaraz twarz młodego mężczyzny rozjaśniła się w pełnym uroku, rozbrajającym uśmiechem i ta zaskakująca metamorfoza o niej miała jej. Uśmiechnęła się ciepło i podała mu rękę.

- Nazywam się Anna Grant i jestem panu bardzo wdzięczna.

- Mallory - powiedział. - Neil Mallory.

Dotknął na chwilę jej dłoni, otworzył brandy, nalał sporą miarkę do jednej ze szklanek i podał Annie.

- Powiedziałem barmanowi, żeby wezwał taksówkę. Upłynie trochę czasu, zanim tu przyjedzie.

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego kierowca, który przywiózł mnie tutaj, nie zczekał - powiedziała. - Prosiłam go o to.

- Nie przepadam za nocnymi kursami w okolicy doków. To paskudne miejsce, a taksówkarze są łatwym celem. Nawiasem mówiąc, niebezpieczeństwo podwaja się, gdy chodzi o piękne młode damy.

Umiechnęła się smutno.

- Proszę mi nie dokuczać. Nie miałam pojęcia, w co się wpłuję, ale brakowało mi już cierpliwości. Czekałam na kogoś w Lulworth przez prawie cały dzień. Kiedy stało się jasne, że nie ma zamiaru tam się pokazać, zdecydowałam, że sama go poszukam.

- Van Sondergarda? - zapytał Mallory. - Słyszałem, jak pani wypytywała o niego barmana.

- Czy pan go zna?

- Miał pokój po drugiej stronie tego korytarza. Raz piłem z nim drinka, gdy przyszedł do baru. Nic ponadto. Gdzie pani go spotkała?

- Nie spotkałam go - powiedziała. - Całą rzecz zorganizował zwierzchnik marynarzy. Powiedziałam im, że potrzebuję kogoś, kto przeprowadziłby jacht motorowy na Channel Islands i był jego kapitanem przez jakiś miesiąc, zanim ja i moja szwagierka same nauczymy się nim opiekować. Powiedziałam im też, że wołałybyśmy kogoś, kto pływał trochę jako pływacz. Skontaktowali mnie z Sondergardem. - Westchnęła. - Pomysł chyba mu się podobał. Bardzo chciałabym wiedzieć, dlaczego zmienił zdanie.

- To naprawdę bardzo proste. Siedział w barze na pół pijany, litując się nad sobą, kiedy wszedł jeden z jego starych kapitanów, który z samego rana miał popłynąć do Suez i właśnie brakowało mu podoficera. Wystarczyły trzy drinki, by Sondergard spakował manatki i wyruszył w rejs. Marynarzom zdarza się robić takie rzeczy.

Wypił szklaneczkę brandy, wyjął stare skórzane pudełko na papierosy i poczęstował ją jednym.

- Czy pan jest marynarzem, panie Mallory? - zapytała, gdy zapalił zapałkę i podał jej ogień, osłaniając go dłonią.

Wzruszył ramionami.

- Mi dzy innymi. Sk d to pytanie?

- Nie byłam pewna. Gdyby kto mnie zapytał, powiedziałabym, e jest pan ołnierzem.

- Dlaczego pani tak s dzi?

- My l , e troch si na tym znam. Mój ojciec był ołnierzem, podobnie jak mój m .
Zgin ł w Korei.

Mallory nie wiedział, co powiedzie , wi c zapalił papierosa i podszedł do okna.
Zerkn ł na zewn trz, po czym odezwał si :

- A ten jacht motorowy, o którym pani wspominała, co to takiego?

- Ma trzydzie ci stóp według Akerboona. Podwójna ruba, stalowy kadłub.

- Wszystko, co najlepsze? - Wydawało si , e jest naprawd , pod wra eniem. - Jaki
nap d?

- Silnik na benzyn pentanow . Osi ga pr dko do dwudziestu w złów.

- Sonda gł binowa, automatyczne sterowanie, wszelkie nowinki? - za miał si . -

Zało si , e dała pani za niego nie mniej ni siedem tysi cy funtów.

- Ja nie - powiedziała. - Mój te . Ja jedynie wykonywałam rozkazy. Powiedział mi
dokładnie, czego chce.

- Wygl da na takiego, co to lubi stawia na swoim.

U miechn ła si .

- Zwyczaj, którego trudno mu si pozby . Jest majorem-generałem.

- Grant? - Mallory zmarszczył brwi. - Czy mówi pani o elaznym Grancie?
Człowieku z Pustyni Zachodniej?

Skin ła głow .

- Tak jest. Mieszka na Channel Islands, od kiedy opu cił armi . Prowadz jego dom.

- Co staruszek teraz porabia?

- Jest prawie niewidomy - powiedziała - ale wci zadziwiał co aktywny, zdobył
spor renom jako historyk wojny. U ywa magnetofonu, a jego córka Fiona i ja przepisujemy
wszystko na maszynie.

- Powiedziała pani, e Sondergard miał wykaza si umiej tno ciami płetwonurka. W
jakim celu?

- Nie było to spraw zasadnicz , ale mogło si przyda . W pi tnastym wieku mała
wioska rybacka i forteca na Ile de Roc zostały zatopione. Ruiny znajduj si obecnie około

o miu s ni pod powierzchnii o jakie sto jardów od brzegu. Prowadzimy poszukiwania. Jak dot d, nurkowaniem zajmowały my si głównie my, ja i Fiona.

- Brzmi to ciekawie - powiedział. - Nie powinno pani sprawi trudno ci znalezienie w zwi zku marynarzy innego kandydata do tej pracy.

Gdy wygl dał przez okno, patrz c w dół na ółt mgł , powiedziała spokojnie:

- Pomy lałam sobie, e mo e pan byłby zainteresowany?

Odwrócił si powoli, lekko marszcz c brwi.

- Nic pani o mnie nie wie.

- A co powinnam wiedzie ? Sam mi pan powiedział, e jest marynarzem.

- Z konieczno ci - rzekł. - Nie z wyboru.

- Wi c nie poradziłby pan sobie z „Foxhunterem”?

- Tak si nazywa? Có , prowadziłem ju kiedy takie łodzie. Nawet co nieco nurkowałem.

- Osiemdziesi t funtów miesi cznie i pełne utrzymanie - powiedziała. - Czy to panu odpowiada?

U miechn ł si z oci ganiem.

- Oczywi cie, e tak, pani Grant. Wyci gn ła r k w osobliwie chłopi cym ge cie.

- Jestem zadowolona.

Przytrzymał jej r k przez chwil , spogl daj c powa nie w oczy. U miech znikn ł z jej twarzy i znów poczuła ten nieokre lony irracjonalny ł k. Jej twarz musiała zdradzi to uczucie, bo dło Mallory’ego zacisn ła si na jej dłoni. U miechn ł si łagodnie. W jednej chwili ł k znikn ł i zast piła go niewytłumaczalna czuło . Z ulicy doszedł głos klaksonu i Mallory pomógł jej powsta .

- Czas i . Gdzie pani mieszka?

- W hotelu w centrum miasta.

- Mo e wywoła pani sensacj , id c przez foyer - powiedział, bior c j pod rami i pomagaj c doj do drzwi.

Mgła przerzedzała si ju nieco, gdy wsadzał j do taksówki. Opu ciła szyb i wychyliła si ku niemu.

- Musz zaj si jutro kilkoma rzeczami, wi c nie pojawi si w Lulworth przed wieczorem. Tam si zobaczymy.

Przytakn ł.

- Przydałby si pani dzie w łó ku.

Umiechnął się blado w słabym świetle, ale nim zdążyła odpowiedzieć, taksówka odjechała. Mallory stał patrząc na mgłę, słuchając odgłosu silnika zamierającego w oddali, potem odwrócił się i ruszył schodami na górę. Kiedy wszedł do baru, barman wciąż czytał gazetę.

- Gdzie oni są? - zapytał Mallory. Barman podniósł kłapki i wskazał kciukiem tylne drzwi.

- Tam.

Kiedy Mallory otworzył drzwi, zastał Irlandczyka siedzącego za drewnianym stołem przy ogniu; przed nim stała miednica z gorącą wodą. Ubranie miał całe zabłocone i ocierał krew z rany biegnącej od ucha do czubka brody. Mężczyzna z czarną brodą leżał na starej sofie z kołskiego włosia, ciskał swoje prawe ramie i cicho pojął.

Irlandczyk zerwał się na równe nogi, z wyrazem dzikości w oczach.

- Ty draniu! Co ty chciałeś zrobić, zabić nas czy co?

- Powiedziałem, żeby cię trochę przestraszyli dziewczyny, to wszystko, ale chcieli cię być mędrzejsi. Macie to, na co zasłużyliście. - Mallory wyjął kilka banknotów z portfela i rzucił je na stolik. - To powinno wyrównać rachunek.

- Dziesięć funciaków! - wrzasnął Irlandczyk. - Dziesięć parszywych funciaków! A co z Freddyem? Złamał mu rękę!

- Nie mój zakochany interes - spokojnie odrzekł Mallory. - Powiedz mu, by skorzystał ze słusznego zdrowia.

Wyszedł, a Irlandczyk ponownie opadł na krzesło. Kręciło mu się w głowie. Barman wszedł i bacznie mu się przyglądał.

- Jak samopoczucie?

- Cholernie źle. Kim jest ten drań?

- Mallory? - barman wzruszył ramionami. Wiem jedno: to największy twardziel, jakiego spotkałem, a paru w życiu spotkałem. Rzucił okiem na brodacza i potrząsnął głową:

- Freddy nie wygląda zbyt dobrze. Może zadzwonić po karetkę?

- Rób, do diabła, co ci się tylko podoba - powiedział gwałtownie Irlandczyk.

Barman zbliżył się do drzwi, wciąż kręcąc głowę.

- Jak to się mówi: trzeba trzymać się z dala od ciemnych typów. Wy z Freddyem byliście chyba trochę za blisko.

Westchnął głębiej i zniknął za barem.

ROZDZIAŁ III

POUFNA ROZMOWA W LONDYNIE

Pokój znajdował się w półcieniu, jedynym źródłem światła była przysłonięta lampka na biurku. Niewysoki mężczyzna, który siedział bokiem na obrotowym krześle, spoglądał przez szerokie okno na błyszczące światła Londynu, miał pergaminową twarz nie zdradzając wieku. Była to twarz osoby niezwyklej, człowieka, który poznał ból, lecz udało mu się pokonać własną słabość.

Zielony aparat na biurku zabrzączał raz, on obrócił się na krześle i wcisnął guzik:

- Słucham?

- Sir Charles, jest tutaj pan Ashford.

- Niech wchodzi.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie i Ashford przemierzył gruby dywan. Był wysokim, siwiejącym mężczyzną po czterdziestce, o zmarszczonej twarzy do wiadzonego urzędnika, który zbyt wiele czasu spędził w przedpokojach władzy.

Usiadł na siednim krześle i wyjął z aktówki plik dokumentów, umieszczając je starannie na biurku. Sir Charles podsunął mu srebrny papieros.

- Jaki werdykt?

- Hm, premier w zupełnie ci zgadza się z panem. Cała sprawa musi zostać zbadana. Ale nie chcemy, żeby zajęły się tym gazety. Trzeba być diabelnie ostrożnym.

- To nasz zwyczaj - powiedział oziębło sir Charles.

- Tylko z jednej rzeczy premier nie jest specjalnie zadowolony. - Ashford otworzył teczkę z aktami. - Chodzi o tego Mallory. Czy to naprawdę najlepszy kandydat do tej misji?

- Nawet więcej - powiedział sir Charles. - To najlepszy człowiek, jakiego mam. Pracował przedtem dla Deuxieme Bureau i miał na koncie sukcesy. Prośbą o niego a dwukrotnie. Jego matka była oczywiście Francuzką. To im się podobało.

- W twój sposób ci premiera budzi ta straszna sprawa z Perakiem w październiku czwartym. Do diaska, facet miał szczęście, że nie wylądował w więzieniu.

Sir Charles przesunął akta po blacie biurka i odwrócił je na drugą stronę.

- To jest dossier nadzwyczajnego oficera. - Nałożył parę okularów bez oprawy i zaczął czytać na głos, wybierając fakty na chybił trafił. - W specjalnych jednostkach powietrznych podczas wojny... trzy razy zrzucony do Francji... wydany gestapo... przeżył sześć miesięcy w Sachsenhausen... kapitan komandosów w Palestynie... major w Korei... dwa lata w chińskim obozie w Mandurii... wypuszczony w 1953... wysłany na Malaje, styczeń 1954, specjalne

zlecenie. - Zamknął akta i podniósł wzrok. - Pułkownik w wieku lat trzydziestu. Chyba najmłodszy w armii w owym czasie.

- I wyrzucony w wieku lat trzydziestu jeden - skonstatował Ashford.

Sir Charles wzruszył ramionami.

- Powiedziano mu, żeby wytrzebił komunistyczną partyzantkę w Peraku, i zrobił to. Może trochę bezwzględnie, ale zrobił. Jego zwierzchnicy odetchnęli wtedy z ulgą i rzucili go w łono na podłogę.

- A pan tylko czekał, żeby go przechwycić, czy tak?

Sir Charles pokręcił głową.

- Pozwoliłem mu podryfować przez rok. Bombaj, Aleksandria, Algier. Wiedziałem, gdzie jest. Kiedy uznałem, że ma już odpowiednio zahartowaną duszę, wciągnąłem go do siebie. Odtąd pracuje dla mnie.

Ashford westchnął i podniósł się.

- Niech pan robi, jak pan chce, ale jeśli coś pan nie powie...

Sir Charles uśmiechnął się lekko.

- Wiem, skoro tak jak Neil Mallory. Zrozumiałem.

Ashford poczerwieniał, odwrócił się i szybko wyniósł się z pokoju. Zamknął za nim drzwi, a sir Charles siedząc myślał o tym wszystkim. Po chwili wcisnął guzik wewnątrz trzoności telefonu.

- Przyjście Mallory'ego.

Zapalił papierosa i stał przy oknie, spoglądając na miasto, wciąż największe na świecie, cokolwiek by mówiono. Gdy otworzył okno, poczuł zapach rzeki, a odgłos syreny jakiegoś wypływającego z portu statku rozszedł się powoli w spokojnym powietrzu.

Był zmęczony i czuł lekki ból gdzieś za prawym okiem. Stanowczo powinien pójść do swego lekarza. A z drugiej strony - może lepiej nie wiedzieć? Zastanawiał się, czy Mallory pożyje na tyle długo, by kiedyś zastąpić go za tym biurkiem w cichym pokoiku. To byłaby pocieszająca myśl, ale wiedział, że to mało prawdopodobne.

Usłyszał za sobą trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Kiedy się obrócił, Mallory stał za jego biurkiem. Luźny garnitur z ciemnej wełny podkreślał szeroko jego pleców, a orla twarz dawała w przytłumionym świetle zawsze mile widziane wrażenie siły i dobrych manier.

Sir Charles cofnął się do swego krzesła i usiadł.

- Jak się masz, Neil?

- W porządku, sir. Właśnie spędziłem sześć tygodni na wyspie.

- Wiem. Jak tam twoje plecy?

- Bez zarzutu. Wykonali dobr robot . Sir Charles pokiwał głow .

- Nast pnym razem musisz by troch ostro niejszy, prawda? - Otworzył akta, wyj ł maszynopis jakiego dokumentu i podsun ł Mallory'emu. - Rzu na to okiem.

Zaj ł si jakimi innymi papierkami, a Mallory przebiegł wzrokiem trzy kartki g sto zadrukowanego papieru kancelaryjnego. Gdy sko czył, oddał je z nieporuszon twarz .

- Gdzie jest teraz „Kontoro”?

- Niszczyciel, który znalazł „Kontoro”, zaprowadził j prosto do Brestu. Jak na razie Francuzi trzymaj spraw w ukryciu. Nadzwyczajne rodki bezpiecze stwa i tak dalej. Mog zachowa cisz przez trzy, cztery dni.' Pr dzej czy pó niej b d jednak jakie przecieki.

- Jak oni maj zamiar z tym si upora ?

- Rutynowa oblawa na wszystkich, je li jest nawet cie podejrzenia o powi zania z OAS lub CNR. Ale co najwa niejsze: Deuxieme Bureau i Brigade Criminelle, wspierane przez wszystkich dost pnych oficerów bezpiecze stwa, otrzymały jeden rozkaz: znale t łód .

- Nie s dz , eby to było takie trudne zadanie.

- Nie jestem pewien - powiedział sir Charles.

- Po pierwsze, to nie jest zwykła łód podwodna. Jest niedu a. Niemcy pracowali nad czym takim pod koniec wojny.

- Jaki ma zasi g?

- Niewiele ponad tysi c.

- Co oznacza, e mo e mie baz w Hiszpanii, a nawet Portugalii.

- Francuzi wła nie posuwaj si wzdłu tych linii, ale musz zachowa ostro no . Przechesuj zwłaszcza całe wybrze e Zatoki Biskajskiej, ka d zatoczk , ka d wysepk . - Westchn ł gł boko.

- Mam straszne przeczucie, e zupełnie marnuj czas.

- Zastanawiałem si , kiedy pan do tego dojdzie - powiedział Mallory.

Sir Charles u miechn ł si figlarnie jak uczeniak, otworzył szuflad i wyj ł map , nast pnie rozło ył j na biurku. Była to bardzo dokładna mapa admiralicji obejmuj ca Channel Islands i Golfe de St. Mało.

- Słyszałe kiedy o Filipie de Beaumont?

- Pułkownik spadochroniarzy? Tym, który pomógł przywróci do władzy de Gaulle'a?

- Tak wła nie. Był jednym z przywódców wojskowego zamachu z maja 1958 i członkiem pierwszego Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. Filip, ksiądz de Beaumont, ostatni potomek jednej z najwspanialszych francuskich rodzin wojskowych.

- I mieszka teraz na Channel Islands?

- Był wielkim zwolennikiem francuskiej Algierii. Kiedy de Gaulle przeszedł do obozu niepodległościowego, porzucił swe stanowisko i opuścił Francję. - Sir Charles narysował na mapie okolicę około trzydziestu mil na południowy zachód od Guernsey. - Jest tu wyspa o nazwie Ile de Roc, budynek własności starego Hamisha Granta.

- Mówi pan o sławnym Grancie, generale z Pustyni Zachodniej?

- O nim wła nie. Mieszka tam od pięciu lat ze swoją córką Fioną i pisze historię wojny. Jego synowa, pani Anna Grant, zdaje się czuć nad wszystkim. Jej mąż zginął w Korei. Około mili na zachód od Ile de Roc znajduje się mniejsza wyspa zwana St. Pierre.

- I tam mieszka de Beaumont?

- Kupił ją od Granta dwa lata temu. Na szczycie skały jest coś w rodzaju zamku, jedno z tych pseudogotyckich dzieł... Jaki dziwak zbudował go w dziewiętnastym wieku.

- Nie sądzę, by po Beaumontie można było spodziewać się czego dobrego.

- Przedstawmy to tak. Francuzi sprawdzają go od dwóch lat i nie mogą znaleźć nawet śladu powiązań z OAS, ani z CNR, chociaż wiadomo, że sympatyzuje - z ich celami. Prawdopodobnie mówi c, nawet ich Ministerstwo Spraw Zagranicznych uważa, że to po prostu grand seigneur, który nie wraca do domu, bo jest zły na Generała.

- Jest pan innego zdania?

- Mogłem się z nimi zgodzić do wczorajszego wieczoru.

- Co takiego stało się wczoraj?

- Mój człowiek ma od roku oko na Beaumonta, to taki rodek ostro no ci. Na Ile de Roc jest mały hotelik. Pracował tam jako barman. We wtorek zaginął. Wczoraj wieczorem przyплыw przyniósł jego ciało. Z Guernsey przybyła policja i zabrała je. Oczywiście brak jakiegokolwiek śladu nieczystej gry- Myli pan, że on mógł coś wiedzieć? Sir Charles wzruszył ramionami.

- A dlaczego by nie? „L'Alouette” wypłynęła z Brestu na rutynowy patrol wczesny dwa dni temu. Mogła zawinąć do St. Pierre i nasz człowiek mógł ją widzieć. Jest całkiem jasne, że natrafił na coś. Ci z Deuxieme też tak sądzę. Wysyłaj człowieka, który ma z panem współpracować przy tej sprawie.

- Byłem ciekaw, kiedy pan do tego dojdzie - powiedział Mallory.

Sir Charles popchnął akta ku niemu.

- Raoul Guyon, wiek 29 lat. Był kapitanem w kolonialnym pułku spadochroniarzy. Posłany do Indochin prosto z St. Cyr w 1952.

Mallory spojrział na fotografię. Widać było na niej młodego mężczyznę, w skiego w biodrach i potężnej budowy; rękawy jego maskującego kurtki były podwinięte, ukazując opalone ramiona. Spokojnie, ogorzała od słońca twarz o ciemnych oczach ocieniała czapka z daszkiem, która nadawała jej jakiś dziwnie złowrogi, nieprzystępny wyraz.

- Dlaczego opuścił armię ?

- Bóg wie - powiedział sir Charles. - Można się domyślać, że sześć lat w Algierii dało mu pewne doświadczenia. Poprosił o zwolnienie go na bezpłatny urlop i wtedy Legrande z Deuxieme zaproponował mu pracę.

- Gdzie go spotkam?

- Na razie nigdzie. Uchodzi za całkiem zdolnego malarza. Używa tego jako przykrywkę. Powinien jutro zameldować się w hotelu na Ile de Roc.

- A co ze mną ?

- Obawiam się, że to będzie trudniejsze. Jeśli de Beaumont spodziewa się czegoś, to będzie oczekiwał towarzystwa. Musimy ci wymyślić alibi na tyle przekonujące, żeby zwołał go przynajmniej przez dzień czy dwa. Mogłoby równie dobrze wyjawić, że w tym czasie zajmujemy się nie moją.

- Co mam robić ? - zapytał Mallory.

Sir Charles otworzył inną teczkę z aktami i podał mu fotografię. Dziewczyna na zdjęciu miała około dwudziestki, ciemne włosy przystryżone gładko, jak u chłopaka, skośne oczy w kształcie migdałów i wystające kości policzkowe. Nie była piękna w konwencjonalnym sensie, ale w tłumie została by zauważona.

- Anna Grant? - powiedział instynktownie. Sir Charles kiwnął potakująco głową.

- Przybyła dzisiaj rano, by sfinalizować zakup trzydziestostopowego jachtu motorowego o nazwie „Foxhunter”. Jacht jest teraz zacumowany w Lulworth. Zdaje się, że wynajęła marynarza przez zwierek, by kapitanował „Foxhunterowi” przez parę miesięcy, dopóki ona i jej szwagierka nie przywykną do łodzi. Duża jak dla pary dziewcząt.

- Rzeczywiście - zgodził się Mallory. - Wprowadziłem i wyprowadziłem tak łódź z Tanguer w pięćdziesiątym dziewięć. Pamiętasz pan?

- Myślisz, że mogłoby znowu tym się zająć ? Mallory uśmiechnął się.

- Dlaczego by nie?

Sir Charles pokiwał głową z zadowoleniem.

- Najpierw musisz pozbyć się tego marynarza. Potem pozostaje ci tylko upewnić się, że dostaniesz jego roboty.

- To nie powinno okazać się trudne. - Mallory zawahał się, po czym mówił dalej. - Czy nie moglibyśmy wymyślić czegoś wspólnie z generałem Grantem? Powiedź mi, do czego zmierzamy? Na pewno zechciałby z nami współpracować.

Sir Charles potrząsnął głową.

- Zanimbyś się obejrzał, kierowałby całym tym przekłamanym przedstawieniem. W końcu razie nigdy nie lubi wprowadzać w te sprawy amatorów, jeśli można tego uniknąć. Załatw wszystko wygadaj. Możesz zwrócić się do niego tylko w sytuacji wyjatkowej, gdy nie będzie innego wyjścia. - Nagle zerwał się na nogi. - Neil, chcę, żeby w tej sprawie były postępy, i to szybko. Możesz iść na skróty. Możesz liczyć na moje wsparcie.

Kciuk ust Mallory'ego zadrgał ironicznie.

- Pamiętaj, jak ktoś mówił mi coś podobnego.

Twarz sir Charlesa była poważna i beznamietna, oczy spokojne. Mallory nie miał cienia wątpliwości, że gdyby to okazało się potrzebne, stary człowiek nie miałby skrupułów, by rzucić go na podłogę.

- Przykro mi, Neil - powiedział.

- Przynajmniej wiem, czego od pana oczekiwam. - Mallory wzruszył ramionami. - To już.

Sir Charles wyjął z kieszeni stary, złoty zegarek i szybko sprawdził czas.

- Musisz ruszać. Umówiłem ci spotkanie informacyjne w G3 o ósmej wieczorem. Daj ci wszystko. Pieniądze, papiery marynarza i specjalny nadajnik. Zamelduj o przybyciu. Potem cisza radiowa aż do chwili, gdy będzie jakieś informacje. Ustaliłem, że trzy torpedowce przypląną do Jersey, pozornie na przybrzeżne ćwiczenia. W chwili, gdy dostaniemy od ciebie informacje, wkrocz do akcji tak szybko, że de Beaumont nawet się nie spostrzeże, co mu zagraża.

Mallory podszedł do drzwi. Gdy je otworzył, starszek powiedział:

- Powodzenia, Neil. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zadanie może okazać się całkiem proste.

- Czy wszystkie nie są proste? - powiedział sucho Mallory i miękko zamknął za nim drzwi.

ROZDZIAŁ IV

G3

Profesor Yoshiyama miał nieco poniżej pięciu stóp wzrostu, nosił kaftan judoki, wielokrotnie prane spodnie i czarny pas na biodrach. Najdziwniejsza była jego pergaminowa twarz: blada i niemal przezroczysta. Nie nosiła oznak słabości, lecz jedynie siły, inteligencji i swoistej łagodności. Tak naprawdę była to twarz wielkiego mistrza, który doskonalił sztukę od ponad pięćdziesięciu lat.

Głos miał suchy i raczej nieprzyjemny, lekko ucinął samogłoski, ale dwunastu mężczyzn siedzących na podłodze ze skrzyżowanymi nogami słuchało go w pełnym skupieniu. Z góry, z balkonu sali gimnastycznej, przypatrywał się temu oparty o balustradę Mallory.

- Dosłowne znaczenie dwóch japońskich znaków, które składają się na słowo „karate”, to „puste ręce” - powiedział Yoshiyama. To ma przypominać, że karate powstało jako sztuka samoobrony, opierająca się wyłącznie na technikach wykluczających użycie broni. System ten rozwinął się przed wiekami na wyspie Okinawa, kiedy to mieszkającym nie wolno było nosić broni pod groźbą śmierci.

We wszystkim, co mówił, był posmak czegoś staro-wieckiego, on sam zaś sprawiał wrażenie, jakby powtarzał z trudem wyuczoną lekcję. Zwrócił się twarzą do ogromnej planszy ciennej, która przedstawiała zarys postaci ludzkiej z wyraźnie zaznaczonymi wszystkimi punktami witalnymi i odpowiednimi polami uderzenia.

- Na system składają się techniki blokowania i unikania ataku oraz kontratakowania różnymi uderzeniami, ciosami zadawanymi pięścią lub stopą - powiedział z uprzejmie chłodnym wyrazem twarzy. - Ale karate to coś więcej niż wywiczone sztuczki i siła fizyczna. - Postukał się w głowę. - Trzeba też myśleć. Nauczcie się, jak skupić całą siłę i energię na jednym celu w obranym czasie. Pokażę wam, o co mi chodzi.

Skinął głową i dwóch jego asystentów podniosło trzy deski. Miały może dwie stopy długości i około cala grubości. Obaj mężczyźni zajęli pozycję przed Yoshiyama, trzymając trzy deski między sobą, nieco ponad wysokość talii. W jednym niewiarygodnie płynnym ruchu lewa stopa starszka wysunęła się naprzód, a prawa pięć, z wycigniętymi kłykciami, uniosła się od talii ku górze. Rozległ się huk przypominający wystrzał z broni i deski pękły na całej długości.

Szybki pomruk podniósł się w grupie. Yoshiyama odezwał się, zupełnie nieporuszony:

- Mo na tak e cegł przełama na pół grzbietem dłoni. - Pozwolił sobie na słaby u miech. - Ale do tego potrzeba do wiadczenia. Prosz , panie Adams.

Drobny, ylasty m czyzna w rednim wieku z siwiej cymi włosami i czarn przepask nad prawym okiem powstał z ko ca i podszedł. Te nosił czarny pas, ale tam, gdzie winno by lewe rami , zwisła metalowa proteza.

- Zauwa yli cie, e major Adams jest raczej skromnej postury - powiedział Yoshiyama. - Nie jest te ju w kwiecie wieku. Je li dodamy do tego fakt, e ma tylko jedno rami , w normalnych okoliczno ciach nikt nie dałby mu wielkich szans w starciu z napastnikiem. Okazuje si jednak, e wbrew pozorom major Adams mo e by bardzo gro nym przeciwnikiem.

Skin ł na jednego z asystentów i usun ł si z drogi. Asystent, młody, pot nie zbudowany, ciemnowłosy Japo czyk, podbiegł ku przeciwległej stronie sali gimnastycznej. Wybrał nó spomi dzy wielu rodzajów broni le cych na stole, obrócił si i zacz ł biec, a z jego gardła dobył si mro cy krew w yłach krzyk.

Przechylił si na jedn stron , zatrzymał nagle i zamachn ł no em, mierz c w twarz majora. Adams poruszył si z niezwykł szybko ci , odparowuj c cios przedramieniem. W tej samej chwili przewrócił si na bok i wymierzył pot ny cios nog w pachwin . Nieomal jednocze nie kopn ł przeciwnika t sam stop w staw kolanowy. Japo czyk przekoziółkował, spadaj c płasko na plecy, i po chwili stopa Adamsa przygniatała tchawic napastnika, z której wydobywał si głuchy j k.

Przez chwil le eli obaj, po czym zerwali si na nogi, miej c si szeroko.

- W innych okoliczno ciach, gdyby ciosy zostały zadane z pełn sił , mój asystent ju by nie ył - powiedział Yoshiyama z prostot .

Adams podniósł r cznik, zacz ł ociera pot z twarzy i pochwycił spojrzenie Mallory'ego obserwuj cego go z galeryjki. Skin ł mu głow , powiedział co Yoshryamie i poszedł w stron drzwi. Mallory czekał na niego w korytarzu na zewn trz.

- Czy usiłuje pan wyj st d w blasku chwały? Adams za miał si .

- Jak e cz sto tak mam dosy widoku swego biurka, e a chce mi si wy . Yoshiyama jest najsprawniejszym wentylem bezpiecze stwa.

Przejechał r k po swym biodrze i lekko drgn ł.

- Ten ostatni upadek bolał jak cholera. Chyba si starzej .

Kiedy wchodzili po schodach na ko cu korytarza, Mallory my lał o Adamsie. Jeden z najlepszych agentów, jakich kiedykolwiek miał wydział; najtwardszy na wiecie charakter i umysł sprawny jak wie o naoliwiony zamek. Przynajmniej do tej nocy, gdy posun ł si za

daleko i odebrał komu dobre samopoczucie - tak e przywi zano do klamki jego sypialni w kairskim hotelu bomb Millsa.

Teraz pracował za biurkiem, prowadz c G3, sekcj wywiadowcz , która była bij cym pulsem całej organizacji. Niektórzy powiedzieliby, e ma szcz cie, ale Adams był innego zdania.

Otworzył drzwi i przybli ył si do małego, schludnego biurka. Przy maszynie siedziała jaka stara panna w rednim wieku. Miała porz dne utrzymane włosy, ale okulary bez oprawek dodawały jej lat. Podniosła wzrok. Adams u miechn ł si , widz c wyraz dezaprobaty na jej twarzy.

- Nie mów tego, Milly. Powiedz im po prostu, e jestem gotów.

Poprowadził Mallory'ego do swego biura. Biurko stało przy oknie. Jak u sir Charlesa był stamt d pi kny widok na rzek . Otworzył kredens, wyj ł ci ki płaszcz k pielowy i wci gn ł na siebie.

- Przepraszam za opó nienie. My lałem, e sir Charles zatrzyma ci co najmniej godzin .

- Trwało to pi tna cie minut - odrzekł Mallory. - Przy brudnych interesach od razu przechodzi do sedna sprawy.

- Nie nazwałbym tego tak - powiedział Adams. - To raczej ciekawa sprawa. Rzecz mo e okaza si zreszt burz w szklance wody. Przejd my do sali projekcyjnej.

Otworzył przeciwległe drzwi i zeszli par stopni w dół do niewielkiej sali. Było tam kilka rz dów wygodnych siedze i wielki ekran, poza tym pusto. Usiedli i Mallory podał Adamsowi papierosy.

- Niczego nie brakuje?

- Chyba nie. W ka dym razie niczego wa nego. Czy staruszek du o ci powiedział?

- Naszkicował zadanie, wyja nił, kim s zwierzchnicy. Nic ponadto.

- Zaczynamy wi c - rzekł Adams i spojrzał w gór na projektor, w którym pokazało si słabe wiatełko. - Daj znak, jak b dziesz gotów.

W chwil potem zacz to wy wietla film. Na ekranie pojawiła si łód podwodna, powoli wpływaj ca do portu, z załog ustawion w szeregu na pokładzie.

- To jest pocz tek całego tego zamieszania - powiedział Adams. - „L'Alouette”. Wzi ta w Oranie kilka lat temu.

- Wygl da na niewielk . Nie mo e by wi cej ni tuzin ludzi na pokładzie.

- Pierwotnie niemiecki U-boot. Typ XXIII. Długo nieco ponad sto stóp. Przy zanurzeniu robi około dwunastu kilometrów. Załoga - szesna cie osób.

- Jak z uzbrojeniem?

- Dwie dwudziestojednocalowe torpedy w części dziobowej. Nie ma zapasowych.

- Nie zostaje wiele miejsca na pomyłki. Adams przytaknął.

- Z tych torped nigdy nie było pożytku. Łódź zbudowano w Deutsches Werft w 1945; została zatopiona z całą załogą na Bałtyku. Wyłowiono ją w czterdziestym szóstym, wyremontowano i przekazano Francuzom.

Skończył się film, zastąpił go slajd. Widział było na nim młodego oficera francuskiej marynarki, z poważnymi oczami skrywanymi przez mundurową czapkę, raczej chłopięcą twarz, wywieszoną w powadze.

- Henri Fenelon, porucznik. Jest jej dowódcą. Ma dwadzieścia sześć lat, kawaler. Urodzony w Nantes. Jego ojciec wciąż tam mieszka. Prowadzi małą firmę eksportującą wino.

Mallory przyglądał się twarzy przez chwilę czy dwie.

- Sprawia wrażenie słabego. Brał kiedyś udział w akcji?

Adams pokręcił przecząco głową.

- Dlaczego pytasz? Mallory wzruszył ramionami.

- Wygląda na takiego, którego łatwo złamać. Jakiego jego poglądy polityczne?

- To jest rzecz dziwna. Nie możemy znaleźć żadnego dowodu na jego powiązania z OAS.

- Ale ta łódź podwodna... Pewnie chciał przeżyć jakąś przygodę - powiedział Mallory. - Wystarczyło, że miał za sobą sześciu członków załogi. Pozostałych mogli już przymusić.

- To brzmi prawdopodobnie - powiedział Adams. - Idźmy dalej.

Następny slajd przedstawiał mapę. Ile de Roc z wyraźnie zaznaczonymi przystaniami, hotelem i domem generała Granta. St. Pierre było tylko skałą wystającą na jakieś sto stóp z morza i zwieńczoną wiktoriańskim, neogotyckim zamkiem. Mallory potrząsnął głową.

- Licho wie, jak im się udało wybudować tutaj to całe miasteczko.

- Tysiąc osiemset sześćdziesiąty pierwszy - powiedział Adams. - Przemysłowiec o nazwisku Bryant. Sam wszystkiego dokonał. Trochę megaloman. Miał się za króla na zamku i tak dalej. Wzniesienie całości kosztowało go więcej niż sto tysięcy, a to wtedy były naprawdę duże pieniądze.

- Nie mogę dostrzec nabrzeża. Czy jest po drugiej stronie?

- U podstawy klifu jest grotta. Jeśli popatrzyś uważnie, dojrzyś wejście. Nabrzeże jest w rowku. Zamek zniknął, a w jego miejsce pojawiło się inne zdjecie. Był na nim

dostojnie wyglądal, ciemny czarna z siwymi włosami i wrażliwa twarz o spokojnych oczach.

- De Beaumont? - zapytał Mallory. Adams skinął głową.

- Filip, ksiądz de Beaumont. Potomek najstarszej z francuskich rodzin wojskowych. Jest nawet daleko spokrewniony, wiesz z kim, co całą rzecz jeszcze bardziej komplikuje.

- Sporo wiem o jego wojskowym życiu - powiedział Mallory. - Poza wszystkim stał się bohaterem komandosów na całym świecie. Pojawił się tu podczas wojny i przyłapał do de Gaulle'a, czy nie?

- Tak było. Dostał chyba wszelkie możliwe odznaczenia. Potem przyszła kolej na Indochiny.

Pojechał tam jako pułkownik kolonialnych spadochroniarzy. Wietnamczycy złapali go, gdy w 1954 roku poddało się Dien-Bien-Phu. Po zwolnieniu powrócił do Francji i został wysłany do Algierii. Zawsze miał się na pieku z wyśzonymi oficerami. Raz na oficjalnym przyjęciu pokłócił się z samym staruszką o to, czym we współczesnym rozumieniu jest wojna.

- To chyba powinno wystarczyć, by wylać go na zbity pysk.

Adams wzruszył ramionami.

- Mylił się go potrzebowali. Był w owym czasie najznakomitszym dowódcą komandosów w Algierii. Załatwiał wszystkie brudne roboty, których sztabowcy nawet palcem tknąć nie chcieli.

- Pomógł w przywróceniu de Gaulle'a do władzy, tak?

- Tak. Główny uczestnik Algérie Française. Generał oczywiście zabił mu potęgę wieka, przyznajcie mimo wszystko niepodległość Algierii.

- I wtedy Beaumont usunął się?

- Po raczej nieudanym zamachu Challe'a w zeszłym roku. Tego, czy był, czy nie był włączony w tę historię, nie możemy wiedzieć na pewno. Pewne jest, że opuścił Francję i kupił od Hamisha Granta to miejsce na St. Pierre. Co odbiło się wtedy głośnie echem w prasie francuskiej.

- I od tego czasu ma czyste ręce?

- Czysty jak łąza. - Adams uśmiechnął się. - Nawet Francuzi nie potrafił mu niczego udowodnić. Przy okazji: prowadzi łódź. Czterdziestostopowy jacht motorowy o dwóch kabinach, „Fleur de Lys”. Najnowsza rzecz do przejeżdżania po pełnym morzu z sondą binową, automatycznym pilotem i silnikami DAF diesla o mocy 100 koni mechanicznych. Trochę samotnik, ale czasami widuje się go w St. Helier. A co ty o nim myślisz?

- My l , e ma ten rodzaj wrodzonej arogancji, która mo e pojawi si tylko po tysi cleciu nieomylny ci, albo przynajmniej my lenia, e si jest nieomylnym - powiedział Mallory. - Ludzie tacy jak on nigdy nie usiedz na miejscu. Zawsze b d co knu tu czy tam. To si bierze z naturalnego przekonania, e wszystko to, co nie zgadza si z ich pogl dami, musi by bł dne.

- Ciekawe - zauwa ył Adams. - Według mnie wygl da raczej na siedemnastowiecznego purytanina, fanatycznego wroga tolerancji. Byłby cholernie dobrym pułkownikiem w Armii Nowego Porz dku.

- Jezus i ani wiartki? - Mallory pokr cił głow . - Nie jest bigotem. Po prostu raczej aroganckim arystokrat z ograniczonym polem widzenia i absolutnym przekonaniem o słuszno ci własnych działań . Kiedy decyduje si na plan natarcia, przeprowadza je a do smutnego ko ca. To dzi ki temu był tak znakomitym oficerem. U takich ludzi proces rozkładu zaczyna si dopiero wtedy, gdy wykraczaj poza siebie i zdaj sobie spraw z tego, ile cała ta przekl ta impreza kosztuje.

- Interesuj ca analiza zwa ywszy, e widziałe tylko jego zdj cie.

- Znam go jako ołnierza. W Dien-Bien-Phu proponowali, e go wywioz samolotem. Był zbyt cenny, by go traci . Odmówił. W ostatnim meldunku stwierdził, e mylili si wszyscy, od sztabu głównego, a na nim sko czywszy. e cała strategia w Dien-Bien-Phu była straszn pomyłk . Mówił, e je li jego ludzie musieli zosta i płaci słoń cen , to mieli prawo wymaga od niego cho tyle, by płacił j z nimi.

- To prawdopodobnie przyczyniło si do jego popularno ci w ród ołnierzy.

- Ludzi takich jak on nikt nie kocha - stwierdził Mallory. - Nawet oni sami.

Po zdj ciu Beaumonta nast piło kolejne. Twarz, która patrzyła na nich z ekranu, była silna i brutalna, oczy zimne, włosy gładko przystrzy one.

- Paul Jacaud - powiedział Adams. - Ma czterdzie ci lat. Rodzice nieznan. Wychowany przez jak madame z nabrze nego burdelu w Marsylii. Trzy lata w ruchu oporu, po wojnie wst pił do komandosów. Był sier antem-majorem w pułku de Beaumonta. Medaille Militaire plus proces przed s dem wojennym za morderstwo, umorzony z braku dowodów.

- I wci ze swym starym szefem?

- Tak. Mo esz z tego wywnioskowa , co chcesz. Teraz przypatrzmy si aniołkom.

Na ekranie mign ło zdj cie Hamisha Granta, to słynne, zrobione w Ardenach w zimie czterdziestego czwartego. Za nim stał roze miany Montgomery. Obaj spojł dali na map .

Grant był w ka dym calu „ elaznym Granie”, z wielkimi plecami sterz cymi spod kurtki z ko lej skóry.

- To mi m czyzna - powiedział Mallory.

- Niewiele si zmienił. Oczywi cie, ma kłopoty ze wzrokiem, ale wci trzyma si krzepko. Napisał kilka całkiem niezłych historii kampanii z ostatniej wojny.

- A je li chodzi o rodzin ?

- Jest wdowcem. Syna zabito w Korei. Jego najbli sze otoczenie to teraz córka Fiona, synowa Anna i Jagbir, niegdy Gurkha, naik, który był z nim podczas wojny. Oto córka.

Fiona Grant miała długie blond włosy i całkiem sympatyczn twarz o sercowatym kształcie.

- Raczej niesforne dziecko - powiedział Adams. - Wychowywała si na południu Francji, co jej nie pomogło. Próbowali Roedeanu, ale to było całkowite fiasko. Ostatecznie umieszczono j w paryskiej szkole dla panien, która najwyrza niej przypadła jej do gustu. Obecnie jest w domu.

- Podoba mi si - rzekł Mallory. - Ma ładne usta.

- Teraz powiedz, co s dzisz o tej. Anna Grant, synowa staruszka.

Była to ta sama fotografia, któr wcze niej pokazał mu sir Charles; Mallory wpatrzył si w ni i z jakiego niewytłumaczalnego powodu zaschło mu w gardle. Czuł si tak, jakby spotkali si przedtem, chocia wiedział, e to niemo liwe. Oczy o kształcie migdałów zdawały si o ywa , pochwytuj c jego spojrzenie; lekko potrz sn ł głów .

- Jest teraz tutaj, by sfinalizowa zakup nowej łodzi.

- Tyle powiedział mi sir Charles. A co z tym Sondergardem, którego wynaj ła przez zwi zek?

- Zaokr tujemy go gdzie . To nie problem. Mam ju w głowie mały planik, jak zetkn ci z Ann Grant.

Nast pnie obejrzeni zdj cie Francuzki nazywaj cej si Juliette Yincente, która pracowała w hotelu na Ile de Roc. Nic nie wiadczyło przeciwko niej, wydawała si zupełnie nieszkodliwa, podobnie jak Owen Morgan, jej pracodawca. Kiedy znikn ła twarz Walińczyka, Mallory wyprostował si na swym siedzeniu s dz c, e to koniec. Ku jego zdziwieniu pojawiła si jeszcze jedna twarz. Zaskoczony, zwrócił si do Adamsa:

- Ale to jest Raoul Guyon, człowiek, z którym mam pracowa . Ju widziałem to zdj cie. O co chodzi?

Adams wzruszył ramionami:

- Nie jestem pewien, ale co mi się nie podoba w podejściu Francuzów do tej sprawy. Mam przeczucie, że stary spryciarz Legrand i Deuxieme nie mówi nam wszystkiego. W tej sytuacji może okazać się przydatne wiedzieć jak najwięcej o Raoulu Guyonie. To ktoś niezwykły.

Mallory spojrzał raz jeszcze na fotografię, którą przedtem pokazywał mu sir Charles. Szczupła, muskularna sylwetka w maskującym uniformie, ogorzała od słońca twarz, spokojne, niczego nie zdradzające oczy.

- Opowiedz mi o nim.

- Raoul Guyon, wiek 29 lat. Pojechał do Indochin prosto z St. Cyr w 1952. O ile wiadomo, jako jedyny ze swego rocznika kadetów żyje do dziś. To już wystarczy, by na starcie zdyskwalifikować innych.

- Nie było go w Dien-Bien-Phu? Adams pokręcił głową.

- Nie, ale był w niezliczonych innych gorących miejscach. Miał wszystkiego po uszy po Algierii. Mówiło się o jakiejś dziewczynie, chyba Mauretance. Została zamordowana przez FNL i to wywarło na nim trwałe piętno. Sam został ciężko ranny dzień czy dwa później.

Pojawiło się zdjęcie Guyona na noszach, na wózu uniesionego, z grubo obandaowanymi klatkami piersiowymi. Przez bandaż przesiąkała krew. Miał zapadniętą twarz, obojętną na ból, oczy wlepione w otchłań samotno.

- Ten chłopak był w ogniu walki - powiedział Mallory.

- I to nieraz. Komandor Legii Honorowej, Croix de la Valeur Militaire, sześciokrotnie wymieniony w rozkazach dziennych. Jakby tego nie dosyć, maluje jak anioł.

- Człowiek, z którym należy się liczyć.

- Wić nie zapominaj o tym.

Przez następne dwadzieścia minut siedzieli w sali projekcyjnej, omawiając kwestie miejsca i czasu, pewne dane techniczne i wiele innych szczegółów, z których wszystkie mogły zaważyć na powodzeniu operacji. Kiedy wreszcie powrócili do biura, Adams usiadł za swym biurkiem i wskazał skinieniem palca tekst akt do załatwienia.

- Spójrz na ten zestaw - powiedział z wyrazem obrzydzenia. - Mój Boże, Neil, zamieniłbym się z tobą miejscami.

Mallory uśmiechnął się.

- Naprawdę? Co jeszcze? Adams pokręcił głową.

- Zgłoś się w wydziale technicznym. Maj dla ciebie całkiem ładną serię nadajników. Daj ci sygnał rozpoznawczy, włącz ciwy kod i tym podobne. Wróć za pół godziny. B d

miął gotowe dokumenty to samo ci i inne papiery, plus ogólny zarys mego planu skontaktowania ci z pani Grant.

- Na to wła nie czekam - powiedział Mallory.

Co dziwne, rzeczywi cie na to czekał. Gdy szedł korytarzem i schodził po schodach do wydziału technicznego, wci nawiedzały go my li o niej. Te dziwne oczy, badawcze, czego poszukuj ce.

Westchn ł gł boko. Bior c wszystko pod uwag , wygl dało na to, e sprawa mo e si rzeczywi cie powa nie skomplikowa .

ROZDZIAŁ V

NOCNA PRZEPRAWA

- „Foxhunter”! Ahoj! Ahoj! „Foxhunter”!

Łód zarzuciła kotwic pi dziesi t jardów od pla y, jej mietankowo ółty kadłub odcinał si yw plam koloru na tle białego klifu zatoczki. Lekki wiaterek podniósł si od morza, przetaczaj c wod po kamieniach; szybko zapadał mrok.

Anna Grant dr ała lekko, gdy kapu niaczek m ył jej w twarz. Była zm czona i głodna, znowu zacz ła j bole kostka. Otworzyła usta, by wezwa łód po raz drugi, gdy na pokładzie pojawił si Neil Mallory. Przeskoczył przez burt do szalupy i powiosłował w jej kierunku.

Miał na sobie gumowe buty do kolan, tak wi c gdy dziób wykonanej z włókna szklanego szalupy uderzył o mokre kamienie, wszedł do płytkiej wody i przekr cił łód tak, e burta znalazła si na brzegu. Wyci gn ł r k po walizk dziewczyny i u miechn ł si .

- Jak si pani czuje?

- Znacznie lepiej, gdy jestem tutaj - powiedziała. - To był długi dzie . Tyle si nabiegałam za ró nymi rzeczami.

Miała na sobie tweedowy kostium z w sk spódniczk i kurtk z ko lej skóry. Pomógł jej usi na miejscu przy burcie, odepchn ł szalup i powiosłował ku łodzi.

Anna z satysfakcj obj ła wzrokiem szeroki, nachylony dziób i długi , spadzist budk na pokładzie „Foxhuntera”. Oddychaj c gł boko dobrym, morskim powietrzem, u miechn ła si do Mallory’ego.

- Co pan o nim my li?

- O „Foxhunterze”? - Skin ł a probuj co głow . - Rasowa łód , ale chyba o wiele za du a, by dwie kobiety obsługiwały j na co dzie . Ile lat ma pani szwagierka?

- Fiona ma osiemna cie lat, je li ma to dla pana znaczenie. My l , e pan nas nie docenia.

- Co z silnikami? - zapytał. - Kto powinien si nimi zaopiekowa .

- Z tym nie ma problemu. Owen Morgan, który prowadzi na wyspie hotel, jest emerytowanym mechanikiem okr towym. On pomo e nam we wszystkim, a ponadto jest jeszcze Jagbir.

- A to kto? - zainteresował si Mallory, pami taj c, e ma o niczym nie wiedzie .

- Ordynans generała. Był naikiem w regimencie Gurkhów. S razem od pierwszych dni wojny. Nie odebrał adnej tak zwanej formalnej edukacji, a mimo to nadal pozostaje najlepszym kucharzem, jakiego spotkałam; ma ponadto zadziwiaj c smykałk do wszelkiej mechaniki.

- Warto chyba mie kogo takiego pod r k - przyznał Mallory.

Dobili do burty „Foxhuntera”. Podał jej krótk drabink , po której nast pnie sam wszedł z walizk .

- O której godzinie chciałyby pani odpłyn ? Odebrała od niego walizk .

- Kiedy tylko pan zechce. Jadł pan co ?

- Od południa nic.

- Przebior si i zrobi co na kolacj . Potem mo emy rusza .

Kiedy odeszła, Mallory przyci gn ł szalup do burty i wywindował ponad balustrad . Szybko zapadał zmrok. Mallory zapalił czerwone i zielone wiatła nawigacyjne i zszedł na dół.

Zastał j krz taj c si przy piecu w kuchni. Włó yła stare d insy i sweter z okr głym wyci ciem, co czyniło j bardziej kobiec ni kiedykolwiek przedtem. Spojrzała przez rami i u miechn ła si .

- Mog by jajka na bekonie?

- Zjem z ch ci - odpowiedział.

Gdy jedzenie było gotowe, usiedli naprzeciw siebie przy - stole w salonie i jedli w towarzyskiej ciszy. Gdy nalewała kaw , zerwała si ulewa i zab bniła o dach.

Spojrzała na niego, unosz c brwi.

- To nie brzmi zach caj co. Jak mamy prognoz ?

- Wiatr trzy do czterech, szkwały. Nie nale y si tym przejmowa . Pani si martwi?

- Nie, w żadnym wypadku - lekko się uśmiechnęła. - Po prostu lubi wiedzieć, co mi się może przytrafić, to wszystko.

- Kiedy lubi, prawda, pani Grant? - Powstał. - Myślę, że powinniśmy wyruszyć.

Kiedy wyszedł na pokład, wzmógł się wiatr, oplatając srebrne pajęczyny deszczu wokół wież nawigacyjnych. Wszedł do sterowni, włożył dwurzędową kurtkę i spędził kilka minut w skupieniu nad mapą.

Drzwi otwarły się na otwarcie, poryw wiatru podniósł mapę jak agiel i Anna Grant zjrzała mu przez ramie. Miała na sobie ten sam kurtkę z kołnierzykiem skóry, a wokół głowy, wzorem wieńców, przewieszona chustka.

- Wszystko gra?

Przytaknęła, oczy błyszczały jej podnieceniem w świetle lampy. Naciśnięty starter. Silniki najpierw astmatycznie zakaszły, potem wydały pomruk życia. Wyprowadził „Foxhuntera” długim, szerokim łukiem przez wejście do zatoki na wody kanału.

Wiatro na szczycie masztu kołysało się rytmicznie z boku na bok, pod nimi zaczął przetaczać się przypływ, rozpryskując wodę na oknie. Czerwone i zielone wieża nawigacyjne parowca znajdującego się o kilka rumbów w bok po prawej burcie były na morzu nawet o mil dobrze widoczne. Mallory ograniczył szybko do dziesięciu węzłów i przuli naprzód w ciemność. Stłumiony warkot silników rozlegał się w nocnym powietrzu.

Neil uśmiechnął się do niej.

- Nie dzieje się nic złego. Przy odrobinie szczęścia powinniśmy mieć podróż bez zakłóceń.

- Kiedy mam pana zmienić? Wzruszył ramionami.

- Nie ma po piechu. Proszę się przespać. Zawołam pani, gdy poczuję zmęczenie.

Trzasnęły za nimi drzwi, a złapany w potrzask wiatr zagwizdał w sterowni i zamarł w kci. Mallory rozłożył wmontowane w ciano siedzenie, zapalił papierosa i oparł się wygodnie patrząc, jak piana kłębi się przy dziobie.

Właśnie czego takiego spodziewał się po podróży. Był samemu z morzem i nocą. Wiat zewnątrz oddalał się miarowo, podczas gdy „Foxhunter” sunął w ciemność. Zaczął metodycznie analizować plan działania, od początku do końca, rozważając starannie punkt po punkcie i nie omijając żadnego.

Pamiętała podsuwała mu, że Beaumont był w Indochinach. Pamiętał, że Guyon był tam także. Mallory zmarszczył brwi i zapalił kolejnego papierosa. To mogło być jakiś zwiastunek, chociaż Adams nie wspominał o takiej możliwości. Z drugiej strony, Guyon nie był wiernym Wietnamczyków, co ich różniło, cholernie różniło.

Sprawdził kurs, przesuwając go o rumb na prawoburt, i usadowił się ponownie na krzeselku, osłaniając twarz kołnierzem swej dwurzędowej kurtki. Powoli jego umysł oddalił się na stare zapomniane szlaki, z pełnym rozważliwym smutkiem myślał o ludziach, których znał, o tym, co mu się przydarzyło dobrego i złego. Jego życie wydawało się ciemnym morzem toczącym się ku krańcom świata, poganiającym go w stronę niczego.

Sprawdził czas i stwierdził z uczuciem zdziwienia, że było po północy. Drzwi otworzyły się miękko, dźwięk zlał się w pluskiem kropel deszczu za oknem. Weszła Anna Grant, niosąc tacę.

- Obiecał pan, że mnie zawoła - powiedziała z wymówką. - Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, gdy obudziłam się i spojrzałam na zegarek. Był pan tu, na górze, przez dobre cztery godziny.

- Czuj się dobrze - powiedział. - Mógłbym tak całą noc.

Postawiła dwa kubki na stoliku z mapą i napełniła z zakrytego czajniczka.

- Zrobiłam herbatę. Nie wydawał się pan zachwycony kawą przy kolacji.

- Czy jest coś, czego pani nie zauważyła? - zapytał.

Podawała mu kubek i uśmiechnęła się w słabym świetle.

- ołnierski napój.

- Czego pani oczekuje? - zapytał. - Krwawych szczegółów?

Rozłożyła inne siedzenie i wręczyła mu kanapkę.

- Tylko tego, co pan mi zechce powiedzieć.

Rozważał to w myśli i zdał sobie sprawę, że jak zawsze lepiej powiedzie pół prawdy niż otwarcie skłamać.

- Wyrzucono mnie w 1954.

- Proszę mówić dalej - zachęcała.

- Nie wystarczała mi moja płaca. - Wzruszył ramionami. - Wie pani, jak to jest. Księgowałem wydatki na aprowizację i po przeczytaniu trochę gotówki, by jakoś z tego wybrać. Niestety, rewidenci przybyli wcześniej niż owego miesiąca. Tak zwykle bywa w przypadkach takich jak mój.

- Nie wierz panu - powiedziała zdecydowanie.

- Jak pani wygodnie. - Podniósł się i rozprostował. - Płyniemy teraz na pilocie automatycznym, ma więc pani spokój przez chwilę. Przyjdź tu za piętnaście minut, by zmienić kurs.

Siedziała tam, patrząc na niego i nic nie mówiąc, jej oczy zdawały się olbrzymie w pół świetle. Odwrócił się, otworzył drzwi i zostawił ją samą.

Zszedł do swej kabiny i rzucił się na кой, w ciemności wpatrując się w przepierzenie. Były przedtem kobiety, zawsze były, ale tylko po to, by mógł zaspokoić potrzebę, nigdy, by się do nich zbliżył. Tak postąpił z nimi przez długi czas i był zadowolony. Ale teraz w jego życie wkroczyła ta dziwna, opanowana dziewczyna z przyszczyconymi włosami i ze spokojem nie zgodziła się na to, by ją odepchnąć. W ostatniej chwili przed nią nie widział jej twarzy błyszczącej w ciemności - uśmiechnęła się do niego.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że spał, pamiętał tylko przebudzenie, to, jak spojrzął na zegarek i uświadomił sobie z przerażeniem, że to już wpół do czwartej. Wcisnął na siebie kurtkę i poszedł na pokład.

Morze było nieco wzburzone; zimny deszcz zaczął w twarz, gdy szedł po kołyszcy na pokładzie i otwierał oszklone drzwi do sterowni. Anna Grant stała przy sterze, jej twarz zdawała się bezcielesna w świetle kompasu.

- Jak tam leci? - zapytał.

- Bawi się dobrze. Morze jest wzburzone od jakiejś pół godziny. Wyjrzał przez okno.

- Przejrzyj się pogorszy, czy się polepszy. Zmieni pani.

Zrobiła mu przejęcie, jej miękkie ciało przylgnęło do niego, gdy przeciskał się do steru.

- Nie sądzę, bym mogła teraz zasnąć, nawet gdybym chciała. Rozejrzyj się.

- W takim razie proszę zrobić mi herbaty i wrócić. Może by ciekawie.

Zwieszył nieco przedkio, cigając się ze sztormową pogodą zagrającą od wschodu. Po chwili powróciła z herbatą. Ster skoczył mu w dłoniach jak żywe stworzenie. Wlepił oczy w szarą pustkę poranka.

Morze było coraz bardziej niespokojnie, fale przechylały „Foxhuntera” z burty na burtę. Mallory znów zwieszył przedkio, a dziób zdawał się unosić nietknięty ponad wodą jak dym razem, gdy fala przetaczała się pod spodem.

Pół godziny później ujrzeli Alderney i uświadomili sobie, że wielka fala pływowa nadciąga od Channel Islands, podnosząc poziom wody w Golfe de St. Mało o trzydzieści stóp.

Zmienił kurs na Guernsey i poprosił Annę, by złapała w radiu w salonie prognozę pogody. Zajęło jej to trochę czasu, wróciwszy przyniosła mu herbaty i kanapki na tacy.

- Całkiem obiecująca - powiedziała. - Wiatr się ucisza, szkwały zanikają.

- Co jeszcze?

- Skrawki mgły nad wyspami, ale nie trzeba się tym niepokoić.

Stopniowo wiatr ucichł, morze uspokoiło się i wpłynęli w jasny wrześniowy poranek z lekką mgiełką unosząc się nad wodę. Mallory otworzył okno i odetchnął wieścią. Kiedy odwrócił się, uśmiechnęła się do niego.

- Potrafi pan prowadzić łódź, panie Mallory. Mówi to panu.

- Niech pani nie zapomni tego odnotować w moich referencjach.

Uśmiechnęła się, znowu zabrała tacę i wyszła. On pochylił się nad mapę i sprawdził kurs. „Foxhunter” okręcił latarnię Les Hanois na zachodnim krańcu Guernsey półtorej godziny później; mewy i kormorany wrzeszczały chrapliwie z nieba - nadciągały nad pokład z wielkich klifów.

Widocznie zaczęła się pogarszać, mgła napływała w kłębach nad otwarte morze, podczas gdy Guernsey znikało na horyzoncie. Nastawił automatycznego pilota, pochylił się nad mapę - wtedy weszła Anna Grant.

- Jak sobie radzimy?

- Przy odrobinie szczęścia powinniśmy osiągnąć Ile de Roc w godzinę, może półtorej. To zależy od mgły. Jeśli dostaniemy się w jakiejś rzeczywiście gęstej oparze, mogą być problemy.

- Mam mapę admiralicji o dużej dokładności, obejmującą wyspę i okolice, jest w górnej szufladzie - powiedziała. - Specjalnie ją kupiłam.

Wyjęła mapę i pochylili się nad nią oboje. Ile de Roc miała chyba dwie mile długości i trzy szerokości, zamocowana na było tylko w zatoce na południowym krańcu. Cały obszar otaczały skały podwodne, istniały jedynie dwa głębokie kanały zapewniające w miarę bezpieczny przejazd.

- Mogę przejść ster, jeśli pan chce - powiedziała Anna. - Znam te wody jak własne kiesze, a to jest właśnie potrzebne.

- To przekleństwo miejsce wygląda jak pułapka. - Mallory pokręcił głową. - Nie chciałbym dryfować przy tych brzegach w brzydką noc.

- Wiele dobrych statków właśnie nie to zrobiło. Widzi pan St. Pierre mil na północ? Dawniej, gdy tylko sztorm nadciągał z Atlantyku, statki były wpychane między dwie wyspy i rozбивały się o wielką podwodną skałę, która jest tutaj. Podczas odpływu poziom wody obniża się o trzydzieści stóp i można zobaczyć niektóre ze starych wraków.

- Niebezpiecznie pływać po tych wodach. Przytaknęła.

- Zwłaszcza w niewłaściwym czasie. Barman z hotelu Owena Morgana utopił się nie dalej jak przed paru dniami. Morze przyniosło jego ciało w wieczór przed moim wyjazdem.

- Nie najlepiej - włczył się szybko Mallory. - Widz, że na St. Pierre zaznaczono jakiś zamek.

- Gotyckie mauzoleum. Wydzierawione na dwadzieścia lat francuskiemu księciu, Filipowi de Beaumont.

- Wiadczą tam wiekszy ruch, niż myślałem. Potrzebna są głowy.

- Nie widzimy go czy sto. Trzymaj się blisko domu, a my nie mamy zbyt wielu gości na wyspie. W hotelu jest tylko sześć sypialni. Latem oczywiście wszystkie zajęte, ale Owen zwykle kończy sezon na początku września. Lubi zostawić dla siebie ostatki dobrej pogody.

- Nie potrzebuje chyba licznego personelu?

- Tylko w czasie sezonu, ale i wtedy korzysta z dziewcząt z Guernsey. Już od prawie roku ma na etacie kucharkę Francuzkę. Powinna była wyjechać z końcem sezonu, ale pozostała.

- Wygląda to na zupełnie jasny układ. Wzruszyła ramionami.

- To ich sprawa, a ona jest miłą dziewczyną. Mam nadzieję, że się pobiorą.

Mgła nieco się podniosła i po obu stronach morze rozbijało się o wielkie klify, tocząc białą pianę. Mallory uśmiechnął się z powagą.

- Myślę, że teraz pani powinna zabrać się do dzieła.

Przejechała ster i zmieniła kurs o jeden rumb. Chwilę później mgła nagle rozstąpiła się, ukazując klifowe brzegi wyspy, a potem szara zasłona znów opadła.

Mallory zmniejszył prędkość, a Anna Grant wprowadziła łódź we mgłę. Zdawała się zachowywać całkowity spokój, on natomiast fatalistycznie wzruszył ramionami, przesiadł się na inne siedzenie i wyjął papierosa.

W pewnym momencie cała łódź zakołysała się gwałtownie, a dziewczynę i Mallory'ego rzuciło na drugą stronę sterowni. „Foxhunter” niebezpiecznie zboczył. Mallory odepchnął dziewczynę i na czworakach dopełził do końca czegoś koła sterowego.

Gdy z powrotem wprowadził łódź na kurs, Anna Grant stanęła za nim i razem spojrzeli daleko na mgłę. O mniej więcej sto stóp od prawej burty zauważył jakiś potężny kształt poruszający się w wodzie. Utworzyła się spora fala i znów zakołysała „Foxhunterem”.

- A cóż to, do diabła, takiego? - powiedział.

- Pewnie pławiący się rekin. Pojawiają się nierzadko w tych wodach, ale to musiałby być spory okaz, skoro wzbudził taką falę.

Mallory wpatrywał się we mgłę z pobrudzoną twarzą, myśląc o sile tej fali. Czy rekin, jakkolwiek duży był, mógłby spowodować tyle zamieszania? Ciągle się nad tym

zastanawiał, gdy wreszcie wynurzyli się z mgły, a Ile de Roc wyłoniła się z morza wieś mili od nich.

Na zachód mieli St. Pierre, znacznie mniejszy wysp i nieco zamglony - widoczno przy takiej odległości nie była wcale dobra. Pomiędzy dwiema wyspami morze pieniało się i huczało nad wielkim podwodnym mostem.

- Niebezpieczeństwo już minęło - stwierdziła Anna Grant, a Mallory wydobył z „Foxhuntera” maksimum jego możliwości i popadł z łoskotem w stronę niewielkiej, okrągłej zatoczki, otwierającej się na ich spotkanie.

Woda miała intensywnie niebieski kolor, była bardzo przejrzysta, osobiście przypominała mu Morze Ródzienne. Kamienne molo wybiegało w morze na odległość pięćdziesięciu stóp, a ponad nim, na wysokim brzegu, znajdował się hotel - dwukondygnacyjny, pomalowany na biało budynek, ukryty w kotlinie chroniącej go przed zimowymi sztormami.

Łódź motorowa, mająca pięćdziesiąt stóp długości, przycumowana była po przeciwległej stronie zatoczki. Młody, ciemnowłosy mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych siedział na rufie, patrząc za burtę. Zwrócił się w ich stronę i jednocześnie z wody wynurzył się pływak - Mallory'emu mignęły czyste blond włosy.

W odległości stu stóp od mola zastopował silnik i „Foxhunter” opadł na wodę, wpływając dalej siłą rozpędu. Anna Grant przerzucała już odbijacze przez burtę i Mallory po pieszył, by jej pomóc. W chwili, gdy dobijali, wyskoczył z lina na molo i owinął je dwukrotnie wokół elastycznego pachołka. „Foxhunter” szarpnął raz, uderzył o molo i znieruchomiał.

Kiedy Mallory zaczął przywizywać drugą linę, zahuczał silnik, dzięki odbił się zgrzytliwie od klifów i motorówka podплыła do mola. Pływak niemal już tam był. Anna Grant podeszła do balustrady przy lewej burcie, Mallory dołączył do niej.

- Fiona - przedstawiła jej zwyczajnie.

Gdy dziewczyna przyплыła, Mallory pochylił się, podciągnął ją poprzez balustradę do góry. Przykucnęła na chwilę na pokładzie, miewając się i otrząsając jak młode szczeniaki.

To jest wspaniałe. Po prostu wspaniałe.

Nie wyglądała nawet na osiemnaście lat, długie blond włosy opadały mokrymi pasmami na jej ramiona. Nosiała parę pielówek i górny czarny gumowego stroju pletwonurka w jaskrawo ołtym kolorze, który pasował jak ulał do jej smukłej figury.

Przyjrzała się Mallory'emu z zainteresowaniem. Jej oczy wyrażały szacunek.

- Gdzie go znalazła?

Anna za miała si i pocałowała j z uczuciem.

- Nie zaczynaj, Fiono. To jest Neil Mallory. Poprowadzi nasz łód przez miesi c lub dwa, dopóki nie nauczymy si radzi sobie same.

Fiona Grant odgarn ła z oczu kosmyk mokrych włosów i wyci gn ła r k .

- Nie wiem, jak Anna, ale je li o mnie chodzi, nie zamierzam si uczy zbyt szybko.

Motorówka była teraz oddalona o nie wi cej ni dwadzie cia-trzydzie ci stóp. Jej posiadacz zastopował silniki i łód przydryfowała do „Foxhuntera”.

- Któ to jest, na miło bosk ? - zapytała Anna.

Fiona wsun ła swe mokre rami pod rami Anny.

- Po prostu wspaniały człowiek, Anno. Jest Francuzem. Zatrzymał si tu na tydzie lub dwa, by malowa i troch ponurkowa .

- My łałam, e Owen zamkn ł hotel w zeszłym tygodniu.

- Zrobił to, ale na szcz cie ja byłam na molo, kiedy przybył go . Przekonałam Owena, by zmienił zdanie.

Motorówka uderzyła o burt , Mallory chwycił rzucon lin . Gdy zasupłał j wokół balustrady, m czyzna przeskoczył na ich pokład.

Miał na sobie obcisły golf, który odsłaniał jego opalone ramiona, a ciemne okulary nadawały mu ten sam lekko złowrogi i anonimowy wyraz, jaki nadawała mu ołnierska czapka z daszkiem na fotografii w jego aktach.

Fiona wzi ła go pod r k i zwróciła si w ich stron .

- Anno, przedstawiam ci Raoula Guyon - powiedziała.

ROZDZIAŁ VI

ELAZNY GRANT

Pradawny dom z szarego kamienia był mocno osadzony w kotlinie na wzgórzu, a wielkie brzozy oflankowały go z dwóch stron. Kiedy dodano wielk szklan cieplarni , biegn c wzdłu całej długo ci budynku, oraz rz d płytkich stopni prowadz cych w dół, ku kamiennemu tarasowi.

Od tarasu klif opadał stromo dobre dwie cie stóp do małej lejuwatej zatoczki, która byłaby znakomicie osłoni t przystani , gdyby nie poszarpana linia skał broni ca przyst pu.

Anna Grant oparła si o cian , trzymaj c w dłoni zimny napój, i spogl dała na morze. Zrobił si pi kny dzie , zadziwiaj co ciepły jak na wrzesie , przeredzone białe chmurki

ci gnęły się po horyzont. Czuła się zupełnie wypoczęta i spokojna, cieszyła się, że znów jest w domu. Usłyszała chrząstki wiru. Kiedy się obróciła, u szczytu schodów stał jej teść.

Generał-major Hamish Grant, odznaczony medalem za wzorową służbę i Krzyżem Wojennym z poprzeczką, nie bez przyczyny otrzymał przydomek żelazny Grant. Miał sześć stóp i cztery cale wzrostu, potężne, barczyste plecy i nie nubił grzyw, zebranych za uszami. Nosił stare mundurowe spodnie koloru khaki i sztruksowe marynarkę.

Zbadał najwyszy stopieś swój spacerową łaskę.

- Anno, jesteście tam?

- Tu jestem, Hamish.

Weszła po schodach, wzięła go pod rękę, a jego wielka, nieprzystępna twarz rozjaśniła się ciepłym uśmiechem.

- Fiona chyba szalenie się cieszyła z nowej łodzi, ale była ledwie przez chwilę w domu, tylko przebrała się i znów poleciała.

W kącie tarasu stał stolik z tacą zawierającą drinki, ocieniony przez olbrzymi pasiasty parasol. Anna pomogła teściowi przejść, a on, folgując swemu cielsku, zasiadł na plecionym krześle.

- Poszła do hotelu spotkać się z Raulem Guyonem, tym młodym francuskim malarzem, który się tu zatrzymał. Obiecała, że przed lunchem pokaże mu fragment wyspy.

- A co z tym facetem o nazwisku Mallory?

- Powinien tu być w każdej chwili. Poprosiłam go, żeby zabrał ze sobą sprzęt do nurkowania. Nie było widać ciwie po piechu, ale pomyślałam, że może chciałby go poznać.

- Naturalnie, choćby po to, by podziękować mi za sposób, w jaki załatwił te sprawy w Southampton. - Twarz mu spochmurniała. - Mallory. Neil Mallory. To nazwisko nie jest mi obce. Irlandczyk, oczywiście.

- Na pewno nie mówi z akcentem.

- I powiadasz, że wywalono go za sfalszowanie księgi w mesie? To z pewno ci nie pasuje do człowieka, który rozprawia się z paruzbirów w ciemnej uliczce.

- Tak widać nie pomyślałam. On jest dziwnym facetem, Hamish. Czasami jest w nim coś nieomal przerażającego. Jest tak dziwnie obcy i oderwany od rzeczywistości. Ale myślałam, że go polubisz.

- Rad bym wiedzieć, za co go wyrzucono - powiedział generał. - Fakt, że Ministerstwo Wojny, Bóg z nimi, robi dziś całkiem idiotyczne rzeczy.

- Wolałabym, żeby nie podnosił tego tematu - poprosiła. - Obiecujesz?

Zmarszczył się na chwilę, a potem wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem, dlaczego nie. Ale niech tam, przeszło człowieka to jego własna sprawa. Czy potrafi prowadzić łódź, oto podstawowe pytanie.

Skin ła głowę .

- Doskonale.

- W takim razie na co mamy narzekać? - cisnął jej rękę. - Przynieś mi brandy z wodą sodową jak dobra dziewczynka i opowiedz mi o „Foxhunterze”.

Nie miała okazji wykonać polecenia. Gdy nalewała drinka, u szczytu schodów pojawił się Jagbir, a jard lub dwa za nim stał Mallory.

Gurkha był niski i krępy, mierzył nie więcej niż pięć stóp, ubrany był w porządny, lniany marynarski koloru piaskowego. Miał nie zdradzający wieku, ółtawobrzożową twarz Azjaty i utykał wyraźnie na lewą nogę - trwała pozostałość po ciężkiej ranie otrzymanej pod Cassino.

Mówił dobrze po angielsku, z naturalną powściągliwością starego słuchacza.

- Przyszedł pan Mallory, generale. Generał pociągnął łyżeczkę brandy i odstawił szklankę .

- Co mamy na piecu?

- Kurczak w sosie curry. Kiedy mam go podać ?

- Kiedy sobie życzysz. Podaj go tu, na dworze. Mallory stał u szczytu schodów, czekając z czapką w dłoni; Anna uśmiechnęła się do niego.

- Czy miałby pan ochotę zjeść z nami lunch, panie Mallory?

Pokiwał przecząco głową .

- Dziękuję za propozycję , ale już zamówiłem obiad w hotelu.

Odwołała Jagbira krótkim skinieniem, usiłując ukryć swoje rozczarowanie. Mallory zszedł na dół.

- To jest pan Mallory, generale - powiedziała oficjalnie.

Hamish Grant zwrócił się w stronę gościa, z głową nieznacznie przechyloną .

- Podejdź nieco bliżej, synu. Niedowidz .

Mallory przysunął się do stołu i opucił wzrok na pochmurne, opalizujące oczy. Generał wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jego klatki piersiowej.

- Moja synowa powiada, że jest pan dobrym marynarzem.

- Mam nadzieję - powiedział Mallory.

- Na jakim statku pan ostatnio pływał?

- Na tankowcu S/S „Pilar”. Tampico do Southampton.

Generał zwrócił się do Anny:

- Sprawdziła jego papiery? Pokręciła przeczołgała i spojrzała znów na Mallory'ego.

- Zobaczmy je.

Mallory wyjął portfel z kieszeni na biodrach, wydobył z niego dokument, kartki i rzucił je na stół.

Szybko przejrzała dokumenty i przytaknęła.

- Rozliczenie z S/S „Pilar”, Southampton, pierwszy września.

Uśmiechnęła się i oddała dokumenty.

- Fotografia nie jest zbyt dobra. Mallory nie odpowiedział, a generał mówił dalej:

- Warunki, na jakich zatrudniła pana pani Grant - czy jest pan z nich zadowolony?

- W pełni ci.

- Po robocie dostanie pan dodatkowo nagrodę wysoko ci stu funtów. Mały dowód mojej wdzięku ci za sposób załatwienia tej sprawy w Southampton.

- To będzie zbyt cenne, sir - powiedział chłodno Mallory.

Krew natychmiast napłynęła do twarzy generała.

- Na Boga, sir, jeżeli ja mówię, że to potrzebne, to jest to potrzebne. Podlega pan rozkazom tak jak wszyscy inni.

Mallory poprawił czapkę i zwrócił się do Anny:

- Wspominała pani o sprzeczności do nurkowania, który miałbym zabrać do łodzi...

- Spojrzała pośpiesznie na purpurową twarz generała i powiedziała od razu:

- Znajdzie pan furgonetkę na dziedzińcu z tyłu. Jagbir już ją załadował. Będzie nad wodę później, po południu.

Spodziewam się pani. - Mallory zwrócił się do generała:

- Co jeszcze, sir?

- Nie i niech pan mi zejdziesz z oczu! - wybuchnął generał.

Uśmiech pojawił się w kątku ust Mallory'ego. Ręka sama uniosła się do góry w instynktownym geście salutowania. Pohamował się w ostatniej chwili, spojrzał raz na Annę, obrócił się i wbiegł lekko na schody.

Generał zaczął się śmiać.

- Należ mi jeszcze jedną brandy. Anna odkorkowała butelkę i sięgnęła po jego szklankę.

- Czy słusznie przypuszczam, że to wszystko było ukartowane?

- Oczywiście - powiedział Hamish Grant. - Dołó jeszcze jedn tajemnic : oto tam idzie człowiek nawykły niegdy do rozkazywania, i to na wysokim szczeblu. Nie darmo słu yłem czterdzie ci lat w wojsku.

Wysoko na klifach po zachodniej stronie wyspy Raoul Guyon i Fiona Grant weszli na szczyt stromeego wzgórze i zatrzymali si . Przed nimi wyspa zdawała si urywa , pod wod wida te było wielki poszarpany grzbiet ł cz cy ich z St. Pierre.

- Tam - powiedziała, wykonuj c r k zamaszysty gest. - Czy mówiłam nieprawd ?

- Miała pani racj - przyznał. - Absolutnie fantastyczne.

- Spodziewam si ujrze tu pana ze sztalugami z samego rana.

- Rozczaruj pani . Zawsze maluj z uprzednich szkiców, nigdy z natury.

Odeszła kilka stóp, pochylaj c si , by zerwa kwiat, po czym rzekła gwałtownie:

- Oszust.

Wyj ł mały szkicownik i ołówek z kieszeni swej sztruksowej marynarki i przykucn ł.

- Niech pani zostanie na miejscu, ale prosz patrze na morze.

Posłuchała go od razu.

- W porz dku, ale niech to b dzie przynajmniej dobre.

- Prosz nie papła - powiedział. - To mnie rozprasza.

Sło ce zal niło w jej włosach koloru słomy i obraz jej za mił si na tyle, e na jedn krótk chwil mo na by j wzi za malowidło Renoira. Wygl dała niewiarygodnie młodo i niewinnie, mimo e wiatr od morza opinał cienki bawełniany kostium na jej silnej, młodej figurze z niepokoj c zmysłowo ci .

Guyon chrz kn ł i schował ołówek do kieszeni.

- W porz dku.

Przyskoczyła od tyłu i wyrwała mu szkicownik z r k. W tej samej chwili jej u miech zamarł, a policzki nabrały barwy. Nieodwracalnie uchwycona na wieczno kilkoma zdecydowanymi poci gni ciami ołówka, stała wpatruj c si w morze, a jaki dziwny geniusz sprawił, e całe dobro, które w niej było, cała niewinno i t sknoty młodo ci zostały te uchwycone.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- To jest pi kne.

- To pani jest pi kna - powiedział spokojnie.

- Czy nikt jeszcze pani tego nie powiedział?

- Nauczyłam si dosy szybko, e niebezpiecznie jest na to pozwala . - U miechn ła si gorzko.

- Dopóki nie umarła moja matka cztery lata temu, mieszkali my w willi w St. Tropez.
Zna je pan?

- Wy mienicie.

- W St. Tropez, w sezonie, na wszystko, co kobiece, jest popyt, a czternastolatki zdają się bardzo pociągać niektórych mężczyzn.

- Słyszałem o tym - powiedział powoli.

- Tak, były pewne życiowe problemy, ale potem generał kupił tę małą wyspę i tu chodziłam do szkoły przez kilka lat. Wcale mi się to nie podobało.

- I co wtedy, uciekła pani? Odgarnęła z twarzy swe długie włosy i zamilczała.

- Przekonałam generała, żeby wysłał mnie do szkoły dla dobrych panienek w Paryżu.
To nareszcie było coś.

Guyon rozezmiał się i zapalił papierosa.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani zawsze nazywa go generałem. Wzruszyła ramionami.

- Kiedy to robi, z wyjątkiem Anny, oczywiście. Ona to coś innego. Kiedy wyszła za mego brata Angusę, była w moim wieku. Jego zabito w Korei.

Przerwała i trzymając przy twarzy kilka dzikich kwiatów, pogryzła się we wspomnieniach, Guyon zaś położył się na plecach i wpatrywał w niebo. Ogarnął go smutek, gdy przypomniał sobie inne czasy, inne dziewczyny.

Algier, 1958 rok. Po pięciu miesiącach cigania fellaghas w korkowych lasach Grand Kabylie znalazł się w tym mieście, prowadząc swych ludzi przez wąskie ulice Kasbah i Bab el Oued. Wpadł w pułapkę walki na śmierć i życie, to znaczy bitwy o Algier.

A potem w jego życie wkroczyła Nerida, młoda Mauretanka zbiegła z tłumu po zamachu bombowym na bulwarze du Telernly. Zamknął oczy i zobaczył znów ciemne włosy opadające na poduszkę, wiatło księżycowe się przez okratowane okno. Długie noce, podczas których usiłowali zapomnieć o jutrze.

Ale nadszedł poranek, zimny, szary poranek, kiedy znaleziono ją na plaży, obnażoną i zhańbioną, ze zgoloną głową i okaleczonym ciałem. Właściwy koniec dla kobiety, która zdradziła swoich z Frangaoui. Kula snajpera, która następnego dnia odesłała go na noszach do Francji, przyniosła niemal wyczekiwane zapomnienie.

Nerida. Poczuli w nozdrzach jej silny zapach, wyciągnął ręce, pociągnął ją w dół, przyciskając usta do jej ust. Jej ciało było miękkie i uległe, a kiedy przewróciła się na plecy, jej usta odpowiedziały, słodkie jak miód. Otworzył oczy. Fiona Grant uśmiechnęła się leniwie na jego widok.

- Halo, co się z panem dzieje?

Oparł się na łokciu i przetarł rękę oczy.

- Proszę to przypisać morskemu powietrzu. Przykro mi.

- Mnie nie.

- W takim razie szkoda. - Postawił ją na nogi. - Czy nie mówiła mi pani, że czekaj na pani z obiadem?

Przytrzymała go za rękę.

- Proszę i za mną. Chciałabym, żeby pan poznał generała.

- Innym razem. Zamówiłem obiad w hotelu.

Odwróciła się od niego jak uraone dziecko. Powstrzymał w sobie silne pragnienie, by wziąć ją w ramiona, przypomniał sobie z determinacją, że ma zadanie do wykonania - ważne zadanie - i odszedł.

Kiedy osiągnął szczyt wzniesienia, zawahał się i z niechęcią odwrócił.

Stała tam, gdzie ją zostawił, ze zwieszoną głową. Wyglądała na przybitą. Silne słonece, przez wietlący ciemną bawełnę jej kostiumu, wyraźnie obrysowało jej młode, mocne uda.

- A niech ją licha! - powiedział do siebie. - Mogłaby równie dobrze nic na sobie nie mieć.

Westchnął ciężko i poszedł z powrotem w dół zbocza.

Mallory leżała na swej koi na „Foxhunterze”, obserwując niebieski dym z papierosa, gniczący się i wirujący w strumieniu powietrza z klimatyzatora. Zjadł znakomity posiłek w hotelu w towarzystwie Owena Morgana, ale nie było ani śladu Francuza.

Myśli ponownie wrócił do spotkania z Hamishem Grantem w domu nad urwiskiem. W szale stwie starca była jakaś metoda, co do tego nie miał wątpliwości. Zbyt długo był ołnierzem, by podzielać opinie, że wszyscy generałowie to tępaki, głupi reakcyjniści, którzy spędzają czas niepotrzebnie posyłając ludzi na śmierć albo zbyt folgując sobie przy stole.

Pod maską starczej twarzy znową w półlepymi oczami kryła się elazna wola i pierwszorzędny umysł. Elazny Grant, który wołał zmusić swą dywizję do marszu przez piekło, jakim była Depresja Ouattara, nie poddał się Rommlowi, i był na czele ołnierzy schodzących po rampie pierwszego statku desantowego lądowego na Plażę Bagnetów podczas D-Day, był przeciwnikiem, z którym należało się liczyć w każdym wypadku.

A jego synowa? Mallory zanikła z oczu, próbując wyobrazić sobie twarz Anny. To, co go w niej niepokoiło, to ów dziwny spokój i pewność. Nawet na nabrzeżu w Southampton zdawała się nie bać niczego. Jak gdyby życie wyrzuciło jej już wszystkie krzywdy i nic gorszego nie mogło jej spotkać. Jakby nic już jej nie mogło dotknąć. Przyszło mu nagle do

głowy, e musiała bardzo kocha swego m a, i zdał sobie spraw z nieokre lonej, irracjonalnej zazdro ci.

Nie słyszał adnego d wi ku, ale czuł si tak, jakby wiatr przebiegaj cy po jego twarzy o ywał wszystkie mi nie, które zaczynaj piewa , gotowe do natychmiastowej akcji. Zaskrzybiały stopnie prowadz ce pod pokład, namacał wi c kolb rewolweru pod poduszk .

- Nie trzeba, przyjacielu - uspokoił go Raoul Guyon.

Gdy Mallory otworzył oczy, młody Francuz opadł na s siedni koj i wyci gn ł paczk papierosów.

- Nie było ci na lunchu - powiedział Mallory. - Co si stało?

Guyon wzruszył ramionami.

- Co si przydarzyło. Wiesz, jak to jest.

- Jasne, e wiem. Masz traw na marynarce.

- wietny dzie , by le e na plecach i gapi si w niebo - zauwa ył beczelnie.

- Nie wtedy, gdy jest zadanie do wykonania.

Mallory otworzył szafk pod koj , wyj ł butelk whisky, dwie szklanki i postawił je na stole.

- Interesy nie id w parze z przyjemno ci .

- Gdy trafia si okazja, lubi je ł czy ze sob . Czy nie mam by lubi cym si zabawi młodym artyst na wakacjach?

Guyon nalał sobie spor miark whisky i podniósł szklank .

- Sante.

W ski w biodrach, szczupły i umi niony, Raoul Gyuon miał dziwne wła ciwo ci typowe dla spadochroniarzy w ka dym kraju, rodzaj aroganckiej zarozumiało ci, zrodzonej z zawodowego ryzyka. Nie u wiadamiaj c sobie, e je posiada, rozpoznał je jednak od razu u Anglika, ale zobaczył jeszcze co . Zobaczył du o wi cej. Mallory był tak sam dziwn mieszk ołnierza i mnicha, człowieka działania i mistyka, jak widywał ju w Algierii, w osobach wielkich pułkowników spadochroniarzy. Ludzie tacy jak Filip de Beaumont. Dziwni, dzicy, na wpół obł kani fanatycy, których wyniszczyły prze ycia w wietnamskich obozach jenieckich, teraz maj cy władz nad przeznaczeniem wielkiego narodu.

Ale Mallory te przeszedł przez piekło komunistycznego obozu jenieckiego i, jak Filip de Beaumont, spróbował wprowadzi w ycie to, czego na własnej skórze do wiadczył od chi skich ciemi ycieli, i z tym samym straszliwym efektem.

Mallory zapalił papierosa i oparł si o przepierzenie.

- Jak dobrym pletwonurkiem jeste ? Guyon wzruszył ramionami.

- Wiem, co robi . Troch wyszedłem z wprawy, to wszystko.

- Anna Grant chce, eby my razem popłyn li nad raf dzi po południu. Przywiozła z l du par skuterów wodnych. Chce je wypróbowa . Pomy lałem, e gdyby ładnie poprosił Fion , mogłaby i ciebie zaprosi .

- Wła ciwie ju mnie zaprosiła. To wszystko dzi ki mojej akcji „interes plus przyjemno ”.

- Nie tracisz czasu - Mallory za miał si . - Zobaczymy, jak si rzeczy maj . Mo emy zrobi rozpoznanie na pełn skal pó niej, wieczorem.

- Naprawd przypuszczasz, e w tym co mo e by ?

Mallory wzruszył ramionami.

- Nie chciałbym zgadywa . Kiedy przyprowadzałem łód dzi rano, co piekielnie du ego przemkn ło pod wod . Anna Grant powiedziała, e to rekin. Wygl da na to, e jest tu ich całkiem sporo.

- My lisz, e warto o tym zameldowa ? Mallory pokr cił głow .

- Mojego szefa interesuj fakty, a nie przypuszczenia. Zasygnalizowałem moje przybycie i nic ponadto. - Otworzył ponownie szafk , wyj ł z niej małe radio tranzystorowe i uniósł je do góry. - Elektronika czyni dzi prawdziwe cuda. Na St. Helier stacjonuj trzy łodzie motorowe z torpedami, oficjalnie na przybrze nych manewrach. Wystarczy jedno moje słowo i b d tu w okamgnieniu.

- Jaki jest sygnał?

- Hasłem jest Lewiatan. Gdy my ich potrzebujemy, po prostu nadajemy „Kod cztery”.

Oto i cały sekret.

Mallory schował przyrz d do szuflady w stole, a Guyon nalał sobie wi cej whisky.

- Skontaktowałem si z tymi lud mi, zanim opu ciłem Guernsey dzi rano. W wypadku „L'Alouette” zupełnie im si nie wiezie. To stwarza ciekaw sytuacj .

- Co, u licha; usiłuj udowodni ludzie z OAS? - powiedział Mallory. - W ten sposób na dłu sz met do niczego nie dojd .

- Ludzie zdesperowani szukaj desperackich rozwi za . Od 1960 roku osiem razy OAS albo CNR usiły zabi de Gaulle'a. Najbli ej celu byli w zeszłym miesi cu, gdy jego auto wpadło w zasadzk na drodze do lotniska Yillacoublay. Przywódc tego spisku złapano dopiero w zeszłym tygodniu.

- Wi c ostatnio chodzi im o to, by przekona ludzi, e wci s si , z któr trzeba si liczy ?

- Chodzi o co więcej... e mają długie ręce, które dosięgną i ukarzą tych, co im się przeciwstawiają. To nie jest pierwszy pracownik s downictwa, którego zamordowali. Przy takim obrocie spraw wkrótce nikt nie będzie chciał i swego nazwiska z procesami członków OAS, zwłaszcza jeżeli wzięcie w nich udziału oznacza automatycznie wyrok śmierci.

- Co wiadomo o Bouvierze?

- Był publicznym oskarżycielem w trybunale wojskowym, który właśnie w zeszłym miesiącu osądził sześciu członków OAS. Dwóch skazano na śmierć. Egzekucję Bouviera wyreżyserowano tak, by miała jak największy efekt dramatyczny, a rzekłoby się, że nie udało się utrzymać tego w tajemnicy dłużej niż do końca tygodnia.

- Co nie daje nam dużo czasu na załatwienie spraw tutaj. - Mallory spochmurniał. - Czy kiedyś osobiście zetknęli się z Beaumontem?

- Widziałem go raz w tłumie. Był członkiem pierwszego Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, który przywrócił de Gaulle'a do władzy. Kiedy stało się jasne, że Generał nie będzie się pieścił z jego marzeniem o francuskiej Algierii, zabrał się za spiskowanie, przynajmniej tak mi się wydaje.

- Czy kiedykolwiek coś mu udowodniono? Guyon potrząsnął głową.

- Sądzą, że to on stał za kulisami nieudanego zamachu generała Challe'a w 1961 roku, ale nie było dowodów. Zanim bowiem udało się cokolwiek zebrać, poprosił o wysłanie go na bezpłatny urlop i opuścił Francję. Przy okazji - jest nadzwyczaj bogaty. Jeden z jego wujów wenił się po pierwszej wojnie w rodzinę przemysłowców.

- Co myślisz o Legrandzie? Guyon zamyślił się.

- Legrande ma niewielkie powąhanie dla arystokracji. Chyba patrzyłby na podnoszenie się jak dawniej gilotyn i uśmiechałby się o egzekucji. Nie ma dowodu, że Beaumont jest bezpośrednio związany z OAS, ale mu nie ufa. Byłby rad, gdyby zobaczył go martwego. Z natury ma ciasny umysł.

- A twoja opinia?

- O de Beaumoncie? - Guyon zawahał się. - Jest niebezpieczny i nie jest głupcem. Przez rok stał na czele całego wywiadu wojskowego w Algierii, ale zawsze miał na pieku ze sztabowcami. Widział wojnę tak, jak ją widzą komuniści - jako coś, co należy wygrać - i wierzył, że cel uwiaczą rodki. To właśnie wbiły mu do głowy bois-dois w wietnamskich obozach. - Guyon na wpół się uśmiechał. - Przynajmniej to, jak się dzieje, macie ze sobą wspólnego. Legrande powiedział mi, że te były za drutem u komunistów jakiś czas.

- Interesuj co go przedstawiasz - powiedział Mallory. - Chciałbym go poznać. Mam przecucie, że powiedziałyby mi to wszystko, co winienem wiedzieć.

- Bardzo może być. - Guyon opróżnił swój szklankę. - Czy chciałbyś, abym zrobił coś jeszcze?

- Ta Francuzka mieszkająca w hotelu u Morgana, Juliette Yincence? Powiedziano mi na odprawie, że jest nieszkodliwa. Co o niej myślisz?

- Nasze wstępne rozpoznanie nie wykazało nic niezwykłego. Jej rodzice mają małą farmę w Normandii. Jeden brat zginął podczas służby wojskowej w Algierii w 1958 r. Pracowała sześć miesięcy w hotelu w St. Mało, zanim przybyła tutaj.

Mallory pokiwał głową.

- Pewnie jest w porządku, ale przeprowadzę rutynową kontrolę swego pokoju, by sprawdzić, czy nie był przeszukiwany.

Guyon włożył okulary przeciwsłoneczne i podniósł się.

- Przebior się. Zobaczymy się za jakie pół godziny i wtedy przyjrzymy się tej rafie. - Przystanął w drzwiach i przeciągnął się.

- Naprawdę piękny dzień. Czekam na to z przyjemnością.

Gdy poszedł, Mallory usiadł na skraju łóżka, zastanawiając się nad wszystkim. Próbował odgadnąć, co może się zdarzyć, ale wiedział, że traci jedynie czas.

Jeśli była jakaś lekcja, której wyuczył się lepiej niż innych, to mówiła, że w tej grze nie ma nic pewnego. Przypadek rzadko kiedy dym posunięciem. Otworzył jedną z szafek, wyjął sprzątaczkę i zaczął go sprawdzać.

ROZDZIAŁ VII

NA RAFIE

Mallory skoczył z barierki do przejrzystej, niebieskiej wody, przystanął na chwilę, by wyregulować przepływ powietrza w swojej butli, i popłynął w dół długim krzywym szerokim łukiem, która zaprowadziła go pod kadłub „Foxhuntera” - za pomocą cucha kotwicy kołysała się już Fiona Grant, przypominająca w złotym stroju sprzątaczkę jak egzotyczny kwiat. Chwilę później za nimi, w chmurze srebrnych belków, pojawiła się jej bratowa.

Fiona ruchem szczyryka popłynęła wzdłuż liny kotwicznej w dół, w niebieski mgiełki, za nią ciągnęły się długie włosy, dalej podali Mallory i Anna.

Znajdowali się jakieś sto jardów od brzegu po południowej stronie wyspy, woda była tak nasyciona wiatłem, że gdy osi gnęło dno na głębi czterdziestu stóp, widoczno nadal była dobra.

Dno morza pokrywał wielki, rozłożony las wodorostów, głęboko na sześć czy siedem stóp, który poruszał się rytmicznie przy każdej odpływie i przyprływie, zmieniając kolor. Gdy Fiona wpłynęła weń, ryby rozprzeczły się na boki. Mallory unosił się nad falami jak dywanem, Anna podpłynęła do niego, poklepała go po ramieniu i oddaliła się.

Zanurzyli się nad wielkim czarnym grzbietem skał: kilka stóp w prawo wychylił z cienia mur z łukowym, normandzkim oknem. Anna bez wysiłku przepłynęła przez niego, za nią podążył Mallory.

Dziśki silnym prądom po tej stronie wyspy budynek nie uległ całkowitemu zamuleniu w minionych stuleciach.

Nie miał dachu, a ściany wykruszyły się do tego stopnia, że wystawały z piasku jedynie na cztery stopy. Dalej dno morskie opadało łagodnie ku następnemu lasowi wodorostów, zwalonych murów, porzrzucanych bezładnie bloków z rzeźbionego kamienia.

Fiona Grant wypłynęła z mroku i zbliżyła się do nich, potem włożyła rękę do nylonowej torebki zapalonej wokół jej lewego nadgarstka, wyciągnęła kawałek czerwonej ceramiki i pomachała nim triumfalnie. Anna podniosła kciuk i wszyscy zawrócili. Wracając przepłynęli nad skałami i uderzyli o łukowato wygięty kadłub „Foxhuntera”.

Wynurzyli się przy małej drabince przerzuconej przez burtę.

Anna wspierała się po niej pierwsza. Za nią wszedł Mallory, ciągnął maskę i odwrócił się, by pomóc Fionie. Dziewczyna przykucnęła na pokładzie, wyjmując ze swej torby kawałki ceramiki i rozkładając je ostrożnie.

Raoul Guyon miał rozstawione sztalugi w pobliżu sterowni i szkicował Hamisha Granta, siedzącego na dziobie. Francuz odłożył ołówek i przyłożył się do nich.

Generał gwałtownie poruszył głowę.

- Co się dzieje?

- Fiona znalazła jakiegoś ceramika - poinformowała go Anna.

Guyon zwrócił się do Mallory'ego - dziwnej, obco wyglądającej postaci z pletwiastymi stopami, w czarnym gumowym kostiumie:

- Jak jest tam na dole?

- Ciekawie - powiedział Mallory. - Powinieneś tego spróbować.

- Może pójdę. Chciałbym ukończyć szkic generała, a właśnie nie jest odpowiednie wiatło.

Fiona odwi zała sw butl , przykucn ła znów na pokładzie i zaczęła segregować kawałki ceramiki, zupełnie pochłonięta tym zajęciem.

Anna zwróciła się do Mallory'ego:

- Już jej więcej dzisiaj nie ujrzymy.

- Czy chce pani jeszcze raz zejść na dół? Potrzebujemy główek.

- Chciałabym wypróbować skutery wodne. Pan wie, mamy jeden, a ja drugi. Ominiemy ten cypel i dopłyniemy do rafy St. Pierre. Pokaż panu rodzony Przesmyk, a jest tam co najmniej jeden ciekawy wrak.

Guyon pomógł Mallory'emu przynieść na górę dwa skutery. Były to podwodne skutery w kształcie pocisków, napędzane przez zasilane z baterii rury. Wykorzystywano je na głębokościach do stu pięćdziesięciu stóp. Dzięki silnym reflektorom nadawały się do użytku także przy złej widoczności.

Anna i Mallory przeszli przez burtę, a Guyon opuścił ciękie skutery na wodę. Anna oddaliła się natychmiast, pomykając po powierzchni, Mallory pojechał za nią.

Morze było spokojne, słonece jaśniało na tafli wody, ale pod powierzchnią, gdy zbliżyli się do skalnego palca sterca z wody przy zachodnim krańcu wyspy, Mallory wyczuł przeciwnieprąd szarpący jego ciało. Anna podniosła ramię, co prawdopodobnie sygnalizując, i zniknęła.

Wrażenie szybkości pod wodą było niesamowite. Mallory'emu wydawało się, że gdzieś w przestrzeni, ubrana na łożo postać umyka przed nim, a mimo to jego rzeczywistość szybko nie przekraczała trzech wzmachów.

Czerwony dziób skutera przebijał się przez niebieskawozieloną toń, unosząc go nad masę rozproszonych czarnych skał. Przez chwilę przędzowały się cięgie jego ciała jednocześnie w kilku kierunkach, ale ominięszy cypel, wpłynęła na spokojniejszą wodę.

Wynurzyli się przy pokrytym wodorostami występie skalnym, Anna usiadła na jego zboczu na wpół zanurzona w wodzie i podniosła swoją maskę. Po obu stronach, a do St. Pierre, ciągnęło się pasmo białej wody; przybrzeżne fale tłukły o postrzępione skały składające się na zręb rafy. Przy niskim poziomie wijsza cza rafa znajduje się dwadzieścia stóp nad wodą - powiedziała. - Cięgnie się aż do St. Pierre jak gigantyczna grobla.

- Czy może ją przejść pieszo? Spojrzała z powątpiewaniem.

- Nie radziłabym próbować. Jest ponad wodą tylko przez godzinę. Ma na to wpływ jakiś inny prąd, który posuwa się w tym kierunku od Atlantyku.

O mil od nich wznosiła się z morza wielka, poszarpana skała St. Pierre. Zamek czepiał się samej krawędzi klifu, jego dziwne, spiczaste, gotyckie wieże ostro odcinały się od niebieskiego nieba. Morze pieniało się na skałach dwieście stóp poniżej.

- Co pan o nim myśli? - zapytała.

- Zbudowanie go musiało kosztować, nawet w złotym wieku wiktoriańskiej prosperity. - Przysłonił oczy i zmarszczył brwi. - Nie widzę mola.

- Jest pod wyspą. Jeśli popatrzy się uważnie poza ostatnią linię skał, można zobaczyć wejście przy klifie. Przy wysokiej fali prowadzi małą jaskinię do dwunastu stóp.

- Czy woda jest tam bardzo głęboka? - spytał obojgu.

Przytaknęła.

- Nawet przy niskiej fali będzie jakieś dziesięć stóp. Jest uskok w dnie morza, który przecina rafę wzdłuż. Biegnie włącznie pod St. Pierre.

- Czy to miałyby być ten pani rodkiowy Przesmyk?

- Właśnie. Naprawdę warto go zobaczyć.

Zamocowała gumowy ustnik pomiędzy zębami, zsunęła na twarz maskę i spuściła się do wody. Widocznie była wciąż dobra, Mallory mógł widzieć wielkie głazy rafy na czterech piętach w dół. Potem nagle skuter Anny wywrócił się o granitową półkę, a ona zanurzyła się w to.

Posuwali się zamglonym skalnym tunelem, światło słoneczne przebijało się przez szczeliny i pokonywało w dachu drgającymi pasmami promieni: Miejscami przesmyk przypominał katedralną nawę, skały zbiegały się w łukowe sklepienia podtrzymujące dach z obu stron, potem ciemno rozjaśniała się, ponieważ znaleźli się na odcinku wychodzącym na otwarte morze.

Anna była dwadzieścia lub trzydzieści stóp z przodu i przystanąła, czekając na niego. Gdy się zbliżył, zanurkowała. Mallory popłynął za nią, szkarłatny dziób jego skutera pruć wodę, przeganiając ryby na drugą stronę. Na głębokości dziesięciu stóp znalazł się w tajemniczym zielonym półmroku, a widoczność znacznie się zmniejszyła.

Anna zeszła jeszcze niżej. Zatrzymała się ponad jakimś występem. Kiedy dotarł do niej, zauważył, ku swemu zdziwieniu, trzytonowy ciężarówkę Bedforda zaklinowaną na boku w wielkiej szczelinie. Brezentowa powłoka już dawno temu zniknęła, ale kiedy się zbliżył, zobaczył wymalowaną na boku biały gwiazdę, jak miały wszystkie pojazdy aliantów w D-Day i potem.

Znow się oddalili, a w chwili potem z mroku wynurzył się zarys rufy statku. Każde słupki, każda lina były ozdobione girlandami dziwnej podwodnej roślinności. Mallory

przesuwał się wzdłuż burty do miejsca, gdzie postrzypiony otwór torpedowy zionął na niego ciemno ci.

Pod spodem, w szczelinie, tkwił czołg Churchill, za nim było widać kształty ciarówek, pojedyncze działa polowe z lufą skierowaną pod kątem ostrym do powierzchni.

Pod kątem ładem Anny, Mallory przemierzył pokład w kierunku sterowni. Jej otwarte drzwi kołysały się łagodnie z prądem, pokład wokół był rozbity i zgruchotany jakby przez wewnętrzną eksplozję. Koło sterowe pozostało nietknięte, podobnie jak kompas, tkwiący w bogato inkrustowanej obsadzie. Kiedy Mallory znalazł się w środku, miał dziwne wrażenie, że ktoś powinien tam być, czego brakuje.

Kiepski koniec dobrego statku - pomyślał i wydostał się na zewnątrz. Anna klepnęła go w ramię i razem popłynęli ku górze, w stronę światła, które była powierzchnia wody.

Wywlekli się na płaski wierzchołek olbrzymiej skały, wysuszonej na słońcu. Anna podciągnęła swoją maskę i zrobiła kilka głębokich wdechów.

- Zna pani jego historię? Wzruszyła ramionami.

- Statek z armady D-Day, który w ogóle nie wszedł do akcji. Storpedowano go w pobliżu Guernsey. Kiedy silniki przestały działać, prąd przyniósł go wprost na rafę. Widocznie załoga wcześniej wydostała się w łodziach ratunkowych.

- Skąd pani o tym wie?

- Od Owena Morgana. Jest mnóstwo wraków w tych wodach, a Owen zna je wszystkie... I ich dzieje. To dla niego rodzaj hobby.

- Ciekawe - powiedział Mallory. - Chciałbym przyjrzeć się raz jeszcze. Ma pani ochotę?

- Raczej nie. Zaczekam na pana tutaj. Proszę nie pozostawać zbyt długo. Kiedy fala zaczyna się odwracać, przydnie przesmyku jest naprawdę silny prąd.

Zdał sobie z tego sprawę prawie natychmiast - jakby niewidzialna ręka pchała go w jedną stronę, kiedy opuszczał się po krawędzi rafy. Cinienie wody wgniatało mu maskę. Skręcił w bok, gdy stalowy pręt przebił ciemno.

Zawisł nad przechylnym pokładem, rozważając następane posunięcie. Widok czarnego, stojącego otworem wejścia pod pokład przekonał go. Dostał się do środka, naciskając przycisk umieszczony na górze skutera.

Płynął pochylnym korytarzem i otworzył pierwsze drzwi, na jakie natrafił. Powoli opadły do środka, za nimi był ciemny pokój. Poczucił dziwny, irracjonalny lęk. Jednak miało parę naprzód, a światło rozpraszające się w wodzie ukazało mu stół przybity do podłogi, stojący przy jednej ze ścian, butelki i inne szczątki pływające przy suficie.

Opuścił kajutę i ruszył dalej korytarzem aż do miejsca, gdzie poskręcana masa elastyczna tarasowała się przed nim. Przewody elektryczne zwisały ze stropu, ale najwięcej wrażeń robił dźwięk węgla przygniatającego pogruchotane resztki ludzkiego szkieletu.

Szybko przemierzył korytarz z powrotem i gdy tylko wydostał się spod pokładu, wbił się w powierzchnię. Na głębi dwudziestu stóp przystanął dla rozpróśnienia, czując przy tym szarpnięcie jego ciała. Znalazł się na powierzchni o kilka jardów od skały i ujrzał Annę Grant na krawędzi rafy; zanurzona do pasa, poprawiała sprzęt.

- Musimy zabierać się stąd! - krzyknęła, gdy zbliżył się i podciągnął maskę. - Jest późno, nie mamy czasu. Już czuję, że zbiera się przytłumienie.

- Czy to może? - zapytał. Przystanął.

- Nawet skutery nie nadają się przy przeciwnym prądzie płynącym z taką szybkością. Już cię wciągną.

Wyruszyła natychmiast, on podał się za nią. Fale atakowały rafę na całej długości, mógł teraz wyczuć bezlitosne ciśnienie prądu. Zaczęła z całej siły trzepotać nogami. Ciepło zbliżył się stopniowo. Anna obróciła się, dała szybki sygnał ręką i zeszła w dół.

Widział pod sobą wodną linę, która chyliła się w jedną stronę, jakby wskazując na rafę. Ciśnienie było tak wielkie, że miał wrażenie przebijania się przez litę ścianę. Walił z całej siły nogami, widział niewyraźnie czarne skały przesuwające się pod spodem, a potem znów znalazł się w spokojnej wodzie i skuter zdawał się skakać naprzód jakby w przypiływie siły.

Wynurzył się i od razu dostrzegł Annę po prawej stronie, trochę wysuniętą do przodu. Podniósł rękę, jeszcze ją przynaglając, i popłynął jej ładem. Kiedy ominął kraniec skalnego cypla, miała nad nim jakieś pięćdziesiąt jardów przewagi i pewnie zmierzała w stronę „Foxhuntera”.

Za drabinką był przycumowany lizgacz. Ktoś siedział na płóciennym krześle obok generała Granta - jakiś wysoki, dostojnie wyglądający mężczyzna w ciemnych okularach i lnianej marynarce. Gdy Anna zbliżyła się, wstał i podszedł do balustrady, osłaniając oczy.

Dosięła drabinki, a on ruszył jej z pomocą. Kiedy wspięła się na pokład, Mallory miał jeszcze do zrobienia dwadzieścia lub trzydzieści jardów i zmniejszył szybkość.

Wkrótce podплыł pod sklepienie rufy lizgacza. Mężczyzna, który siedział przy sterze, odwrócił się, by spojrzeć na niego. Był to olbrzymi, groźnie wyglądający osobnik o twarzy brutala. Jego prawy policzek przecinała brzydka, postrzępiona blizna. Mallory rozpoznał go od razu - to człowiek z fotografii, którą pokazywano mu na odprawie.

Podniósł maskę.

- Halo!

Jacaud patrzył na niego ze spokojem, kiwnął głową na powitanie, po czym odwrócił się. Mallory podciągnęła się do podstawy drabinki, gdzie już czekał na niego Raoul Guyon z rękami wyciągniętymi po skuter.

Mallory przeszedł przez balustradę, przykucał na pokładzie i zdjął swój butel z tlenem. Anna Grant stała o jakieś jard lub dwa od niego, rozmawiała z marynarce; wyglądała atrakcyjnie w białym kostiumie pływackim.

Nie było widać cię w tło, kim on jest. Przystojna twarz arystokraty, swobodna postawa, sposób mówienia widać cię człowiekowi, który z wysoko cię przyjmuje fakt, że de Beaumont został stworzony przez Boga jako pierwszy.

- Cóż za miła niespodzianka - mówiła Anna.

- To czysty przypadek, że przepływałem, zapewniam cię. Wypróbowałem mój nowy lizgacz. - De Beaumont podniósł jej rękę do ust. - Moja droga Anno, za chwilę razem jesteście jeszcze bardziej zachwycającymi.

Zaczerwieniła się uroczo, a generał wtrącił się:

- Teraz, kiedy już tu jesteście, nie wypuścimy cię tak łatwo. Tak dawno cię nie było z nami.

- Proszę zostać - poprosiła Anna. Wzruszył ramionami, nie wypuszczając jej ręki z dłoni.

- Jak mógłbym odmówić?

Raoul Guyon stał z Fioną za budką na pokładzie. Anna spojrzała w ich stronę i zwróciła się do swego rozmówcy:

- Czy poznała już pana Guyona?

- O, tak, poznałem - powiedział de Beaumont. - Oglądałem jego piękne szkice przedstawiające generała. Gdyby pan Guyon mógł poświęcić trochę swego cennego czasu, to może dałby się namówić, aby któregoś dnia odwiedził St. Pierre i narysował mnie?

- To dla mnie przyjemność - powiedział Guyon.

Anna obróciła się do Mallory'ego.

- A to jest pan Neil Mallory. Będzie sterował naszą łodzią przez miesiąc lub dwa, nim same do tego nie przywykniemy.

De Beaumont przez chwilę przyglądał się Mallory'emu, potem powoli zdjął okulary przeciwsłoneczne. W jego oczach - dziwnych, stalowoniebieskich, jakby metalicznych i lodowato zimnych - było coś, co kazało Mallory'emu mieć się na baczność.

- Pani Mallory - de Beaumont wyciągnął dłoń.

Mallory podał mu rękę, zastygli w ucisku. Francuz patrzył mu przez długą chwilę w oczy, po czym zwrócił się do Anny:

- Czas już na mnie. O której godzinie dziś wieczorem?
- O siódmej - powiedziała. - Oczekujemy ci.

Zszedł po drabince do lizgacza i skinął na Jacaud. Silnik zahuczał i łódź odwróciła się z nagłym przypływem mocy.

De Beaumont uniósł rękę w geście pogębienia, wyjął złote pudełko na papierosy z wewnętrznej kieszeni, wybrał jednego i zapalił.

- Czy mam powiedzieć Marcelowi, by przygotował się na przewiezienie pana tej nocy? - spytał Jacaud.

De Beaumont skinął głową.

- I Pierre'owi, ale bóg potrzebował także ciebie, Jacaud.
- Co ciekawego?

- Właśnie nie widziałem ducha - powiedział spokojnie de Beaumont. - Duch z przeszłości, a duchy są zawsze zajmujące.

Oparł się na krzesło; Jacaud, obracając ster w dłoniach, pewnie przeprowadził lizgacz obok cypla. Z jego twarzy nie można było nic wyczytać.

Mallory stał przy sterze „Foxhuntera”, myślał o de Beaurnoncie.

Co tu nie grało, tego był pewien, ale co? Z pewnościami nie spotkali się przedtem. Drzwi za nim otworzyły się z trzaskiem, wszedł Raoul Guyon i zapalał papierosa, oparł się o stół z mapą.

- Co o nim myślisz? Mallory wzruszył ramionami.

- Czarujący, bardzo elegancki. Wydaje się miłki, dopóki nie spojrzysz mu w oczy. Czy jeseń z nimi kolację?

Guyon potrząsnął głową.

- Jestem zaproszony na drinka po kolacji. Jak było tam, na rafie? Widziałe coś ciekawego?

Mallory powiedział mu o wszystkim, co się wydarzyło. Kiedy skończył, Guyon pokiwał głową.

- Z tego, co mówisz, wynika, że ta grota pod wyspą byłaby odpowiednią kryjówką dla „L'Alouette”.

- To właśnie nie musimy ustalić.
- A jak to zrobimy?

- Wykorzystamy skutery wodne. Spróbujemy podejść od strony ródkowego Przesmyku, o którym ci wspomniałem.

- Wprost do groty. My lisz, e nas wpuszcz ?

- To te musimy ustalić. Popłyniemy tam jeszcze dzisiejszej nocy. Prognoza jest dobra i mamy księżyc. Jeśli pogoda utrzyma się, nie powinno być wielkich trudności. Ominiemy cypel w szalupie. To powinno ułatwić nam start.

Guyon westchnął.

- Legrande powiedział mi, że to będzie interesujące. Jak mało wiedział! Zobaczymy się później.

Drzwi zamknęły się za nim i Mallory zwiąkszył szybko. Dziwne było to, że gdy „Foxhunter” płynął w kierunku mola, Mallory nie myślał o niebezpieczeństwie, które czaiło się w pobliżu, o ryzykownej nocnej wyprawie. Myślał natomiast o parze metalicznoniebieskich oczu i zastanawiał się, co takiego w nich zobaczył.

ROZDZIAŁ VIII

CZŁOWIEK Z TANGERU

Trawnik i niel białe za oszklonymi drzwiami, a wielkie brzozy rysowały się na tle wieczornego nieba. Zza drzew dochodził odwieczny, smutny poszum morza.

Wewnątrz był ciepły i wygodny pokój, światło miękko rozproszone, na palenisku jaki pniak trzeszczał i syczał w ogniu. W rogu stał fortepian, dwie stare, wygodne sofy były przystawione do kominka, na ścianach jeden czy dwa sztuchy.

Był to pokój, w którym się mieszka, spokojne, wygodne miejsce.

Pięć osób zgromadzonych wokół ognia rozmawiało cicho, od czasu do czasu miech Fiony Grant przebiegał się na powierzchni jak pcherzyk powietrza na spokojnej tafli wody.

De Beaumont i gospodarz mieli na sobie smokingi. Francuz wyglądał elegancko, czuł się zupełnie swobodnie, rozmawiając z Ann Grant i generałem.

Fiona, ubrana w prostą zieloną suknię z jakiegoś ciemnego jedwabiu, siedziała na poręczach starego, obitego tkanin krzesła.

Guyon stał za nią, paląc papierosa, jedną ręką wsparty na obmurowaniu kominka. Nie miał na sobie smokingu, ale dobrze skrojony granatowy garnitur, który znakomicie pasował do jego silnej postury, nadając mu szczególny wygląd.

Nachylił się nisko nad Fioną, wymruczał jej coś do ucha, po czym ona zachichotała i powstała.

- Raoul i ja idziemy na mały spacer. Ktoś się do nas dołączy?
- A co by zrobiła, gdyby my powiedzieli „tak”? - zapytał jej ojciec.
- M dralo! - Pocałowała go z miłością i podeszła do drzwi.
- Weźm płaszcz, Raoul. Może zrobi się chłodno.

Raoul uśmiechnął się do de Beaumonta.

- Czy zobaczymy się jeszcze przed pana wyjazdem, pułkowniku?

De Beaumont pokręcił głową.

- Obawiam się, że to mało prawdopodobne. Obecnie raczej wcale nie chodzi o spaś.
Takie ścisłe zalecenia mego lekarza.

Guyon podał mu rękę.

- A więc tymczasem.
- Proszę nie zapominać o portrecie - przypomniał mu de Beaumont. - Zależy mi na nim.

Młody Francuz pochylił się z innymi skinieniem głowy i szybko poszedł w stronę drzwi, bo Fiona już wołała go z hallu.

- Zdaje się, że to całkiem miły młody facet - zauważył generał.
 - Fiona na pewno tak myśli - powiedziała Anna. - Jest niewątpliwie utalentowany.
- Zanim wziął się za malowanie, służył przez kilka lat w wojsku w Algierii.

- Jest wybitnie uzdolniony - stwierdził de Beaumont. - Łatwo wyrobi sobie nazwisko.

Generał skinął potakująco głową. Wszedł Jagbir z drinkami na tacy.

- Nic nie wiadomo o panu Mallorym?
- Nie, generale.

Generał otworzył srebrny papierosnicę, którą miał pod ręką, i wyjął krótkie cygaro.

- Zastanawiam się, co się z nim stało.
- Pewnie coś z łodzi - powiedziała Anna. - Pamiętaj te, że on idzie piechotą.

De Beaumont włożył papierosa w srebrny ustnik i zapytał ostro: - Czy znasz go od dawna?

Hamish Grant potrząsnął głową.

- Anna zabrała go z Southampton. Prawdopodobnie, wydostał się z niezłych tarapatów.

- I na tej właśnie podstawie wynajmiesz go?

- Wszystkie papiery miał w porządku. Chyba gdzieś wcześniej dostał wypłatę na tankowcu z Tampico. Czy to ci interesuje?

De Beaumont wstał, niespokojnie przemierzył pokój i zatrzymał się przy oszklonych drzwiach.

- Jest mi naprawdę bardzo nieprzyjemnie. Nie chcę, żebyśmy się wtrącili, ale z drugiej strony czuję, że nie mogę milczeć.

- Wiesz coś o nim? - powiedział generał. - Co, co go kompromituje?

De Beaumont podszedł z powrotem do swego krzesła i usiadł.

- Z pewnościami wiecie, że w ostatnim okresie mej kariery wojskowej byłem oficerem dowodzącym pułkiem spadochroniarzy w Algierii. W pierwszych kilku miesiącach 1959 roku oddano mnie do dyspozycji sztabu generalnego w Algierze i powierzono nadzór nad sprawami bezpieczeństwa.

- Jaki to ma związek z Mallorym?

- Mieliśmy specjalne teczki z aktami ludzi, których podejrzewano o współpracę z FLN lub różnymi innymi organizacjami nacjonalistycznymi. Neil Mallory też miał swoją teczkę. Był kapitanem morskiego jachtu motorowego z Tangerangu. Był przemytnikiem. Zajmował się niezwykle intratnym kontrabandem tytoniu do Hiszpanii i Włoch. Podejrzewano go również o przemykanie broni dla FLN.

Hamish Grant opróżnił szklankę, odstawił ją ostro nie na stół, który stał tu obok, i wzruszył ramionami.

- Innymi słowy, był twardym, nie mającym skrupułów młodym człowiekiem, który gotów był na wszystko, jeżeli mógł zarobić parę funtów. Nie powiedziały mi nic, do czego bym uprzednio sam nie doszedł. - Popchnął swą szklankę w stronę Anny. - Należymy jeszcze jednego, kochanie.

- Kiedy czytałem jego akta, najbardziej zainteresował mnie jednak okres wcześniej, sprzed Tangerangu - powiedział de Beaumont. - Dlatego tak łatwo go sobie przypomniałem. Pamiętasz księżkę, którą mi pokazały jakiś rok temu? Podręcznik Ministerstwa Wojny zatytułowany „Nowa koncepcja rewolucyjnych działań wojennych”? Powiedziały mi wówczas, że napisał go w 1953 roku młody zdolny oficer, po uwolnieniu z chińskiego obozu jenieckiego w Korei. Swego czasu było o nim dosyć głośno.

Generał zeszytnął, zaciskając dłoń na ręczce swej spacerowej laski.

- Na Boga - rzekł. - Mallory! Podpułkownik Neil Mallory.

- Jak oni go nazwali po tych nieprzyjemnościach na Malajach? - powiedział łagodnie de Beaumont. - Rzekł mi Peraku?

Szklanka” do której Anna Grant nalewała w owej chwili whisky, rozprysnęła się gwałtownie na podłodze. Stała, wpatrując się w de Beaumonta z wyrazem zdumienia na twarzy, potem podeszła szybko do swego teścia.

- O czym on mówi?

Hamish Grant poklepał ją po ramię.

- Jest pan pewien, że to ten sam człowiek? De Beaumont wzruszył ramionami.

- Przypadek raczej nie wchodzi w rachubę. Przyznać trzeba, że do dziś znałem go tylko z fotografii, ale ma charakterystyczną twarz. Nie zapomina się łatwo takiej twarzy.

- Ale o co chodzi, Hamish? - dopytywała się Anna.

De Beaumont był wyraźnie skonfundowany.

- Chyba będzie lepiej, gdy sobie pójdę. Proszę mi wybaczyć, że rzuciłem cię na ten uroczy wieczór, ale jako przyjaciel czułem, że nie mam wyboru, że muszę powiedzieć ci, co wiem o Neilu Mallorym.

- Miałe rację. - Hamish Grant podniósł się z krzesła. - Jestem ci bardzo wdzięczny. Zobaczymy się jeszcze, prawda?

- Ale oczywiście.

Generał usiadł ponownie, a de Beaumont i Anna przeszli do hallu.

- Powiem Jagbirowi, żeby zawiózł cię na molo furgonetką - powiedziała.

De Beaumont potrząsnął głową.

- Nie ma potrzeby. Piękny wieczór. Spacer dobrze mi zrobi.

Gdy podniósł jej rękę do ust, była miękka i obojętna. Wziął płaszcz, otworzył drzwi i uśmiechnął się.

- Dobranoc, Anno.

- Dobranoc, pułkowniku de Beaumont - powiedziała oficjalnie i drzwi się zamknęły.

Stał na szczycie schodów ze słabym uśmiechem na twarzy. Anna była w ciekła, bo wykrył kompromitujące szczegóły z burzliwej przeszłości Mallory'ego, a ta w ciekła mogła tylko oznaczać bezwiedną reakcję kobiety głębiej zaangażowanej uczuciowo. Zaciekało go to.

Zszedł po schodach ku głównej bramie. Jacaud wysunął się z krzaków.

- Co się stało?

De Beaumont wzruszył ramionami.

- Cierpliwie ci, mój drogi Jacaud. Pociąłem sprawę w ruch. Teraz trzeba zaczekać na rozwój sytuacji.

Na wirze zachrzcili czyje kroki i Jacaud wci gnł de Beaumonta szybko w cie .
W chwil potem obok przeszedł Mallory i udał si w stron domu.

- Co teraz robimy? - wyszeptał Jacaud. - Wracamy do St. Pierre?

De Beaumont potrz sn ł głów .

- Noc jest jeszcze młoda i mog si wydarzy ciekawe rzeczy. My l , e zajdziemy do hotelu i spróbuujemy troch brandy z kontrabandy naszego dobrego znajomego Owena. Tam poczekamy na bieg wypadków. - Zachichotał cicho i poprowadził Jacauda za bram , ku w skiej polnej drodze, bielej cej w ciemno ciach.

- Kim on był, Hamish? - spytała Anna cicho. - Chc wiedzie .

- Neil Mallory? - Grant wzruszył ramionami. - wietny oficer spadochroniarzy. Pierwszor dna karta wojenna, wielokrotnie dekorowany. Pó niej Palestyna, Malaje, ju inny rodzaj wojny. Pojechał do Korei w pi dziesi tym pierwszym, był ranny i schwytany gdzie na Imjin. Dwa lata w wi zieniu.

- I co jeszcze?

- Z tego wszystkiego mo na wywnioskowa jedno - był typem człowieka, którego ludzie si obawiali, zwłaszcza przeło eni. Troch tak jak Lawrence'a czy Orde Wingate'a, niech spoczywa w pokoju. Rodzaj dziwaka i desperata, który raczej nie nadaje si do słu by w czasie pokoju.

- De Beaumont powiedział, e był pułkownikiem? Musiał by wtedy bardzo młody.

- Prawdopodobnie najmłodszym w armii w owym czasie. Napisał t ksi k „Nowa koncepcja rewolucyjnych działań wojennych” dla Ministerstwa Wojny w 1953 r. Zyskała du y rozgłos. Wi kszo ludzi my lała, e stał si komunist . Wielokrotnie cytował ksi k Mao Tse-tunga, dotycz c walk partyzanckich, jakby ta przekl ta rzecz była Bibli .

- Co działo si dalej?

- Awansowano go na podpułkownika po słu bie w Korei. Musieli znale dla niego jakie zaj cie, wi c wysłali go na Malaje. Sytuacja nie była tam dobra. Niektóre tereny w cało ci kontrolowali komuni ci. Dali Mallory'emu dowództwo nad jakimi miejscowymi ołnierzami. To nie był wła ciwie pułk. Niewiele ponad stu ołnierzy. Były kłopoty z rekrutacj . Mali, kr pi malajscy wie niacy prosto z pól ry owych. Znam ten typ.

- Czy nadawali si na ołnierzy?

- Po trzech miesi cach stali si prawdopodobnie najwspanialszymi ołnierzami w d ungli na Malajach. W ci gu pół roku wykazali tak skuteczno na polu walki, e zdobyli przydomek „Tygrysy Mallory'ego”.

- A co stało si w Peraku?

- Kulminacja dramatu czy tragedii, jak chcesz, bo to wła ciwie była tragedia. W tych czasach Perak był zachwaszczony komunistyczn partyzantk , zwłaszcza na granicy z Tajlandi . Czynniki miarodajne nakazały Mallory’emu uda si tam i wyczy ci Perak raz na zawsze.

- Zrobił to?

- My l , e mo na to powiedzie , ale gdy wrócił, zaskarbił sobie nowy przydomek.

- Rze nik z Peraku?

- Wła nie. Człowiek, który nakazał rozstrzelanie wielu wi niów, który przesłuchiwał i torturował przetrzymywanych w areszcie. Człowiek, któremu udowodniono, e działał z zimn krwi i nie skrywany okrucie stwem.

- I został wyrzucony?

Generał pokr cił przez co głow .

- Wyobra am sobie, e poci gn łby za sob innych. Nie, po prostu zwolnili go. Prasie przedstawili banaln historyjk . Przyj li wersj , e nigdy naprawd nie zapomniał do wiadcze z chi skiego obozu i tak dalej. Nikt nie mógł z tym dyskutowa i cała afera szybko przycichła.

Siedziała przez kilka chwil, wpatruj c si w ogie , po czym pokr ciła głow .

- Człowiek, którego opisujesz, musiał by potworem, a Neil Mallory nim nie jest, co do tego mam pewno .

Wyci gn ł r k i nakrył jej dło .

- Podoba ci si , prawda?

Nie odpowiedziała, a on westchn ł.

- Bóg wie, e ta chwila musiała nadej . Angus odszedł ju tak dawno, Anno. Bardzo, bardzo dawno.

Otworzyły si drzwi i pojawił si Jagbir, a za jego plecami Mallory.

- Pan Mallory przyszedł, generale. Hamish Grant wyprostował si w krze le i powiedział spokojnie:

- Jagbir, wprowad pułkownika Mallory.

Mallory przystan ł w” pokoju, z twarz bardzo blad w łagodnym wietle i dziwnymi, nie okazuj cymi niczego, ciemnymi oczami.

- Kto panu powiedział?

- De Beaumont - powiedział generał. - Kiedy stał na czele Francuskiego Wywiadu Wojskowego w Algierze w pi dziesi tym dziewi tym, prowadzili teczki ludzi takich jak pan. O ile wiem, przemycał pan z Tangeru bro dla FNL. Czy to prawda?

Przez krótką chwilę Mallory odczuł głębię ulgi. To, co de Beaumont zapamiętał go z pobytu w północnej Afryce, było mu nie na ręk, ale przynajmniej rola, jaką pełnił w Tangerze, została zaakceptowana, a to było najważniejsze.

- Czy to ma znaczenie? - spytał. - Myśl o swojej przeszłości.

- Wielkie nieba, człowieku, nie interesuje mnie to, co robiłeś w Tangerze. Chcę wiedzieć wszystko o tym, co wydarzyło się w Peraku.

- A przypuśćmy, że odpowiem: „To nie pana zakochany interes”?

Staruszek zachował zadziwiający spokój, ale Anna postąpiła naprzód i dotknęła ręką kawałki Mallory'ego.

- Proszę, Neil, ja muszę wiedzieć.

Jej oczy zdawały się ogromne, gdy patrzyła na niego; odwrócił się gwałtownie, podszedł do oszklonych drzwi i zszedł po stopniach tarasu na zewnątrz.

Stał przy cieniu nad wejściem do zatoki, w niego cinnym świetle zmierzchu, w dole wiatła statku wypływającego w morze wydawały się bardzo odległe.

Był zmęczony, wyprany z wszelkich emocji i głębię boku przez wiadczony, że wszystko, cokolwiek człowiek by zrobił, w ostatecznym rozrachunku obraca się wniwecz.

Usłyszał za sobą kroki na wirze. Kiedy się odwrócił, Hamish Grant i jego synowa stali u dołu schodów. Podeszli do ogrodowego stołu, staruszek opuszczył się na jedno z krzeseł, a Anna Grant zbliżyła się do Mallory'ego.

Przez dłuższą chwilę przyglądała mu się badawczo, z twarzą ukrytą w cieniu, potem w nagłym odruchu skryła twarz na jego piersi. Ramiona mężczyzny instynktownie ją objęły.

Sylwetka starca odcinała się ostro na tle bladego wieczornego nieba i morza; ręce miał skrzyżowane na łasce, o którą wspierał się mocno, jak jakiś starożytny posąg.

- W porządku, pułkowniku Mallory - powiedział głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Może pan zaczyna.

ROZDZIAŁ IX

RZEŃNIK Z PERAKU

Porucznik Gregson przechadzał się nerwowo w tę i z powrotem, paląc papierosa i próbując okazywać tak samo obojętność jak pół tuzina malajskich ołnierzy, którzy siedzieli w kucki w wysokiej trawie i cicho rozmawiali. Na skraju polany, nad głowami wisiało głowa w dół ciało człowieka. Czaszka odarta była ze skóry. Zapach trupa przyprawiał

Gregsona o mdło ci i z trudem to znosił. W pewnym momencie wzdrygnął się, rozważając, co te mogło zatrzymać pułkownika. Miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, szczupłą sylwetkę i mocne ramiona, a pod czerwonym beretem twarz o delikatnych rysach, ze zbyt gładko osadzonymi oczyma.

Usłyszał warkot landrovera, podjechał tego traktem i szybko strzelił palcami. Nie było to potrzebne. Ołnierze zerwali się jak jeden mąż ze swobodą weteranów, których nie trzeba uczyć dyscypliny, i stali w oczekiwaniu. W chwili później sierżant Tewak torował sobie drogę w kierunku polany, za nim posuwał się pułkownik.

Mallory nosił beret komandosów i maskującą uniformę rozpiętą pod szyją, nie wskazując żadnym oznaczeniem na stopie. Stał patrząc na ciało, nieustannie uderzając bambusową laseczką w prawe kolano, a jego ciemne oczy w dziwnej, białej twarzy pogrzebane były w myślach.

Gdy przemówił, głos miał spokojny.

- Kiedy go znalazłem ?

- Około godziny temu. Pomyślałem, że może pan zechce zobaczyć go w takim stanie, w jakim go zostawiono.

Mallory skinął głową.

- Niech sierżant Tewak obejmie tu dowodzenie. Może zabrać ciało do Malubangu pa skim landroverem. Pan pójdzie ze mną.

Odwrócił się raptownie i skierował w stronę dżungli. Gregson wydał Tewakowi stosowne rozkazy i po pieszył za pułkownikiem. Kiedy doszedł do landrovera, Mallory siedział już za kierownicą, więc Gregson zajął miejsce pasażera.

- Mam nadzieję, sir, że pan nie wini siebie za to, co się stało?

Mallory potrząsnął głową.

- On był dobrym ołnierzem, wiedział, jakie ryzyko podejmuje. Gdyby go przyjęli, dowiedzieliby się cholernie dużo. Pewnie na tyle dużo, by móc ich wszystkich wyrzucić z Peraku. Ale nie przypomina wspomnienia budzącego litość, torturowanego ciała i swąd nadpalonego mięsa Gregson wzdrygnął się.

- Nie dali mu wielkich szans, prawda, sir?

- Rzadko dają - zauważył sucho Mallory. - Te urodzone za biurkiem tępaki z Singapuru mogłyby mi nieźle lekcję dzisiejszego popołudnia. Niestety, zdaje się, że nie wykazują takiej ciekawości. - Wyjął papierosa z kieszeni na piersi, trzymając kierownicę jedną ręką, i zapalił go. - Gdy pana nie było, przyszedł sygnał z kwatery głównej. W piątek przysyłał po mnie samolot. Ma być dochodzenie.

Gregson zapytał szybko:

- W sprawie Kelantangu? Mallory pokiwał głową.

- Najwyraźniej tam, w kraju, gazety coś wywyszyły. - Zwolnił, by pokonać wzgórze. - Nie sędzi, bym tu wrócił.

- Ale to mieszane - zezłościł się Gregson. - Jeden partyzant nie został w Kelantangu. Tygrysy odniosły wielkie sukcesy w ciągu sześciu miesięcy jakiegokolwiek oddziału od początku stanu wojennego.

- Nie podobają mi się moje metody - powiedział Mallory. - O to właśnie chodzi.

- Mnie te sprawy na początku nie podobały, ale teraz wiem, że to jedyny sposób. Jeśli ognia nie zwalcza się ogniem, równie dobrze można się spakować i jechać do domu.

- A na to nam również nie pozwól - stwierdził Mallory. - Wielka Brytania lubi doprowadzać sprawy do końca. Tak mawiał mój ojciec, był Irlandczykiem, miał więc chyba jakieś powody, by tak sędzi.

Landrover pokonał małe wzniesienie, które wyłoniło się z dżungli - pod nim, za rzeką, widać było Maluban. Znajdowało się tam jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt pokrytych strzech domów na palach, tartak i skład kauczuku na przeciwległej stronie mola. Powietrze było nieruchome, dżungla zastygła w tej godzinie spokoju przed zapadnięciem zmroku. Gdy Mallory wjechał landroverem do wioski, ostro zadźwięczał gwizdek i z tartaku zaczęli wychodzić robotnicy.

Zatrzymał się przed swym posterunkiem dowódcy, spłoniętym, oszalowanym bungalowem, wzniesionym na palach z betonu, zaszutował strażnikom i szybko wbiegł po schodach. Wewnątrz, w kabine przy nadajniku radiowym, siedział kapral. Próbował powstać, ale Mallory popchnął go na krzesło.

- Jak się pan czuje? - zapytał po malajsku.

;- adnych, od kiedy pana nie było, sir.

Mallory zbliżył się do wielkiej mapy terenu, przypiętej do jednej ze ścian. Poprowadził palcem wzdłuż biegu rzeki.

- Gdzie tu musi być teraz Jack. Dobrze czterdzieści mil.

Gregson przytaknął i wskazał małą wioskę na południowy zachód.

- Harry powinien być w Trebu, zanim zapadnie noc. Pomiędzy nimi, na całym prawie zachodnim brzegu rzeki, błądzą grasujący partyzanci.

- I nikt ich nie zobaczy. Jaka jest nasza rzeczywista siła w tej chwili?

- Licz się sieranta Tewaka i sześć ludzi przenoszących ciało, tuż. O miu w izbie chorych, wszyscy rzeczywiście chorzy.

- Nie musi mi pan mówić. - Mallory wziął w ręce swój oficerski pasek. - Pan Li wydaje dziś uroczy obiad. Będzie tam zapewne do północy. Proszę zadzwonić, jeśli coś się wydarzy.

- Jaka okazja? Mallory przytaknął.

- Dziennikarz zatrzymał się u niego na parę dni. Kobieta. Nazywa się Mary Hume.

- Czy to ta Hume, która kiedyś posłowała do parlamentu?

- Tak, to ona. Należy do grona „zawodowych” liberałów, którzy odwiedzają miejsca niepokojów, a potem w druku obsmarowują biednych, starców.

- Nie ma się czym przejmować - powiedział Gregson. - Stary Li ma zawsze dobre jedzenie.

- To jaka pociecha. - Mallory podszedł do drzwi, odwrócił się i chyba po raz pierwszy, odkąd znał go Gregson, uśmiechnął się.

- A więc w piątek... mamy tylko trzy dni. Niewiele czasu, by oczyścić Perak, co?

Kiedy wyszedł, Gregson powrócił do mapy. To był rzeczywiście cholernie duży obszar, instynkt podpowiadał mu, że patrole, którym kazał posuwać się wzdłuż rzeki, traciły czas. W Peraku było może sześćdziesiąt tysięcy partyzantów, z pewnością ci nie wystarczy. Ale wystarczyło ich, by sterroryzować cały kraj, posiać w ludziach tak wielki strach, że nie można było liczyć na ich współpracę. A w piątek pułkownik miał polecieć do Kuala Lumpur i stawić się na przesłuchanie, które mogło spokojnie doprowadzić do stanu wojennego i degradacji. Gregson zaklął cicho. Gdyby tylko Mallory mógł wylecieć z wiadomością, że oni i jego Tygrysy zrobili to raz jeszcze. Zniszczyli ostatnią grupę partyzancką działającą na północy. To dałoby do myślenia tym w kwaterze głównej. Zajrzał do umieszczonej z tyłu sypialni, nalał sobie drinka i wyszedł na werandę, patrząc w zamyśleniu na mały pasek niestrzyżonej trawy, udający ogród. Zatrzeszczała poluzowana deska - obrócił się i zobaczył Suwon, sekretarkę pana Li, wchodzącą po schodach.

Miała ze dwadzieścia lat, jej skóra odznaczała się tym mietankowym odcieniem, tak dziwnym u Azjatek, wargi były nadzwyczaj pełne, zmysłowe. Jej szkarłatny strój, wykonany z ciemnego, czerwonego jedwabiu, po obu stronach miał wycięcie powyżej kolana i cięło opinał dojrzałą figurę dziewczyny. Uśmiechnął się nieszczerze i podniósł szklankę.

- Proszę, proszę. Myślałem, że będziesz na przyjęciu.

- Będzie później - powiedziała. - Chciałam się z tobą zobaczyć.

- Niezwykle mi to pochwala. Przyniósł się bliżej, a ona położyła mu rękę na piersiach.

- Jack, proszę, to poważna sprawa. Ona Sabała, przewodnicząca, dopiero co widziała się ze mną. Traci zmysły ze strachu.

- O co chodzi?

- Od trzech dni ukrywaj w swym domu rannego terrorystę, s steroryzowani gro bami. Postrzelono go w tym starciu z patrolem po drugiej stronie rzeki w zeszłym tygodniu. Koledzy zabrali go do domu Sabała, bo poło ony jest na uboczu. Wiesz, gdzie to jest?

Gregson z podniecenia poczuł pustk w oł dku. Gdy odstawił szklankę, trz sła mu si r ka.

- Około pół mili w gór rzeki. Wi c zdecydowali si go wyda ?

Wzruszyła ramionami.

- Je li ten człowiek nie otrzyma pomocy lekarskiej, wkrótce umrze. Sabal jest buddyst . Nie mógłby do tego dopu ci .

- Nie powiedziała nikomu innemu? Pokr ciła głow .

- Nie mam zamiaru sta si celem. Wiesz, jak takie rzeczy łatwo przeciekaj . Dlatego wła nie weszłam od tyłu.

Przypi ł do pasa rewolwer i zapi ł si .

- Nikt si nie dowie, kto udzielił informacji, obiecuj ci.

- Niepokoj si bardziej losem Sabała i jego rodziny.

- Niepotrzebnie. Wezm ze sob tylko kilku ludzi. Niech to wygl da jak zwykła wizyta. - Pocałował j lekko w usta. - Lepiej ju id , bo b d ci szukali. I nikomu o tym ani słowa. Chciałbym zaskoczy pułkownika.

Wyszedł przez inny pokój. Usłyszała, jak podniesionym głosem przywoływał kaprała maj cego słu b . Kilka minut pó niej landrover odjechał. Stała tam nadal, cie padał uko nie na jej twarz, zmieniaj c j w mask . Wygl dało, jakby na co czekała. Dopiero gdy odgłos silnika ostatecznie umilkł w oddali, zawróciła i odeszła.

ma szamotała si bezradnie w szkle lampy naftowej, po czym zgorzała w ciepłe. To, co z niej zostało, opadło na stół. Pan Li strzepn ł resztki ze stołu i si gn ł po karafk . Było oczywiste, e w jego yłach płynie europejska krew. Oczy, w k cikach lekko uniesione, były bystre i uprzejme, wargi pod prostym nosem ładnie ukształtowane i pełne humoru.

- Wi cej brandy, pani Hume?

Kobieta miała nieco ponad czterdziestk , siwiej ce włosy krótko przyci te zgodnie z najnowsz mod . Była wci poci gaj ca w swym prostym perkalowym kostiumie, z kaszmirowym szalem osłaniaj cym ramiona przed chłodem wieczoru.

Popchn ła sw szklankę po blacie stołu, a pan Li mówił dalej:

- Nie ma pani pojęcia, jak przyjemnie ci dla mnie jest gościć we własnym domu posła do brytyjskiego parlamentu.

- Obawiam się, że jest pan nie doinformowany, panie Li - odpowiedziała lekko, podczas gdy Suwon wniosła kawę. - Ju nie zajmuj się polityką. Jestem po prostu dziennikarzem w służbowej delegacji.

- Chce pani sama zobaczyć, jak się rzeczy mają na obszarach przygranicznych? - Pan Li uśmiechnął się. - Jak dobrze się składa, że pułkownik Mallory zgodził się przyjąć mnie gościnnie podczas swego tu pobytu. Jestem pewien, że nie ma większego autorytetu, gdy chodzi o niespokojne czasy, w których żyjemy.

- Ju zorientowałam się nieco w metodach pułkownika Mallory - powiedziała zimno Mary Hume i zwróciła się do Neila, który siedział na przeciwległym krańcu długiego stołu w pięknie uszytym drelichowym mundurze, z baretkami odznaczeniowymi i skrzydełkami SAS nad lewą kieszenią, tworzącymi w świetle barwną plamę. - Gdy tu jechałam, przejeżdżałam przez wioskę Pedak, jakieś dziesięć mil stąd na południe. Kiedy dom spalony do fundamentów. Z pańskiego rozkazu. Kobiety i dzieci bezdomne, a nadchodzi deszcz. Suwon pochyliła się nad Mallorym nalewając kawę do jego filiżanki; czuła jej zapach.

- Jeden z moich patroli wpadł w zasadzkę w Pedaku dwa dni temu. Czterech zabitych, dwóch rannych. Mieszkańcy wsi mogli ich ostrzec. Nie zrobili tego.

- Bo się bali - powiedziała gniewnie. - Przecież to oczywiste. Komunistyczni partyzanci groźbami zmusili ich do milczenia.

- Słusznie - odrzekł Mallory spokojnie - dlatego właśnie nie spaliłem ich domy. Na drugi raz lepiej się zastanowi.

- Ale pan ich stawia przed niemożliwym wyborem - powiedziała. - Mają zdradzać swoich rodaków?

- Dlaczego pani i inni, pani podobni, nie chcą powiedzieć prawdy? Ludzie, którzy zostali zabici w zasadzce, moi żołnierze, byli Malajczykami. Partyzanci, którzy ich zabili, to Chińczycy.

- Nie wszyscy.

- Niektórzy są malajskimi Chińczykami, nie spierałbym się w tej kwestii, ale wiesz, ci to chińscy komuniści, wyszkoleni i uzbrojeni przez armię Republiki Ludowej i przerzuceni na Malaje z Tajlandii.

- To, co mówi pułkownik Mallory, jest szczerą prawdą, pani Hume - wtrcił się pan Li. - Terrorystami są ci ludzie. Przez nich życie w tym kraju stało się bardzo trudne.

- Ma pan na myśli interesy - zauważyła kwaśno.

- Oczywiście, że tak - pan Li wcale nie był zbity z tropu. - Wiele dużych plantacji kauczukowych po prostu wypadło z interesów, a sytuacja będzie wkrótce równie zła w handlu drewnem. W tartaku moi robotnicy są już zatrudnieni na pół etatu. Ci ludzie rzeczywiście cierpią, wie pani. Dwa tygodnie temu zaatakowano katolickie misje w Kota Banu. Proboszcz wtedy nie był, ale zabito dwie zakonnice i trzynastą dziewczynę.

- Marnujesz czas, Li - powiedział sarkastycznie Mallory. - Nie tak opowie pragnęłaby usłyszeć pani Hume. Ten jej szmatławiec zwykle drukuje informacje tego typu w lewym dolnym rogu na siódmej stronie.

Podniósł swój brandy i wyszedł na werandę. Słyszał podniesiony głos gospodarza, biorący go w obronę. W gęstym mroku za rzeką dźwięki zaczynały się, rzekotki wprawiały powietrze w wibrację, a wyjące dopingowały się nawzajem, kołysząc się między drzewami, przez wszystko za przebijało się mocne, pulsujące cykanie wierszczy. Za jego plecami odezwał się suchy, rzeczowy głos Mary Hume:

- Mówi w Singapurze, że rozstrzelał pan więźniów podczas operacji w Kelantangu. Czy to prawda?

- Deptałem po piętach pewnemu gangowi. Potrzebowałem kogoś człowieka. - Mallory wzruszył ramionami. - Więźniowie zatrzymywali mnie.

- Będzie teraz dochodzenie. Wyrzuc pana, wie pan o tym?

Wzruszył ramionami.

- Czy nie tego pani oczekuje? Zmarszczyła brwi.

- Nie lubi mnie pan, pułkowniku Mallory.

- Nieszczególnie.

- Wolno zapytać, dlaczego? Wykonuj tylko swoją pracę.

- O ile pamiętam, tej wymówki użyła pani w Korei, gdy pani i jeszcze kilku pani podobnych przyjęło zaproszenie Chińczyków, by zobaczyć, jak się rzeczy miały po ich stronie.

- Teraz rozumiem - powiedziała, a jej głos zamarł w długim westchnieniu.

- Napisała pani kilka świetnych artykułów o tym, jak dobre są obozy jenieckie - mówił Mallory. - Jak dobrze wszyscy są traktowani. Przeczytałem je już po zwolnieniu. Oczywiście, nigdy nie pokazali pani mojego obozu, czemu zresztą trudno się dziwić. Mniej więcej wtedy, gdy pani zaczynała swój wycieczkę z przewodnikiem, ja odsiadywałem sześć miesięcy w niezwykle małej bambusowej klatce. Prawda mówi ci, takich jak ja było dwudziestu. Uzdrawiające przeżycie, zwłaszcza że zbliżała się zima.

- Opisywałam takty tak, jak je widziałam.

- Ludzie pani pokroju zawsze tak robi . - Przełkn 1 około połowy swej brandy i kontynuował: - Jedna rzecz naprawdę mnie interesuje. Dlaczego dobiega się pani do własnego kraju? Dlaczego nigdy nie jest to strona przeciwna? Chodzi mi o to: co naprawdę zatruwa pani umysł?

Najwyraźniej trzymała nerwy na wodzy tylko nadludzkim wysiłkiem woli. Kiedy odpowiadała, jej głos lekko drżał.

- Gdy chodzi o zasady moralne, nie pozwalam na to, by ktoś powątpiewał we mnie fałszywie pojmowany nacjonalizm.

- Naprawdę? - ironizował Mallory. - Mam dla pani wiadomość, pani Hume. Wolałbym przebywać z tymi ludźmi tam, w Anglii, niż z takimi jak pani. Oni przynajmniej walczą o to, w co wierzą. Mogą być za to szanowani .

- Nawet wtedy, gdy urządzają zakonnice i dziewczęta?

- Robiliśmy podobne rzeczy w bardziej imponującej skali podczas wojny. Przecież dla moralistki takiej jak pani nie może być żadnej różnicy między granatem terrorysty a bombami zrzuconymi przez naciśnięcie przycisku z czterdziestu tysięcy stóp.

Znieruchomiała nagle, a on powiedział łagodnie:

- Czy dobrze pamięta tam? Pani może być, zdaje się, pilotem bombowca w czasie wojny? Jestem przekonany, że jego zdanie byłoby najciekawsze.

- Mój mój nie żyje, pułkowniku Mallory. Zginął na wojnie.

- Wiem, pani Hume - powiedział Mallory cicho.

Odwróciła się gwałtownie, weszła do rodzka, a Mallory wyjął papierosa i zapalił go, pocierając zapalniczką o poręcz werandy. W dole zaszeleciły krzaki, usłyszał głos sieranta Tewaka:

- Pułkowniku, złe wieści z posterunku. Lepiej, żeby pan przyszedł.

Mallory rzucił okiem przez ramię. Pan Li i Mary Hume siedzieli przy stole, rozmawiając poważnie, z głowami zwróconymi ku sobie. Suwon zajęta była przygotowywaniem drinków przy kredensie. Neil przeskoczył przez poręcz i podał na przełaj za Tewakiem. Mały Malajczyk szedł po piesznie, nic nie mówiąc; prowadził Mallory'ego ku tylnej bramie, a potem w dół zbiega do wsi. Ulice były puste, ale przed posterunkiem Mallory zobaczył coś, co okazało się całym oddziałem stojącym dwójkami i trójkami - wszyscy byli uzbrojeni i gotowi do wymarszu.

Gdy Tewak prowadził go naokoło do baraku przylegającego do ciany bungalowu, Mallory czuł ssanie w dołku i czajcy się 1 k. Malajczyk otworzył drzwi, zapalił światło i wprowadził go do rodzka.

Ciało było przykryte peleryną i leżało na stole zbitym z desek w samym rodku pokoju. Mallory od razu domyślił się, że to Gregson, gdy zobaczył jego buty amerykańskiego komandosa, które kupił sobie trzy miesiące wcześniej w sklepie z używanymi rzeczami w Singapurze. Tewakci gnił peleryną i czekał z kamienną twarzą.

Zabity miał zaciśnięte zęby, wargi zaś lekko rozchylone w mierzelnej agonii. Ręce były związane na plecach, oczy wylupione - z pewnościc jeszcze za życia. Reszta ciała przypominała kawał surowego mięsa.

Mallory wziął głębioki oddech i odwrócił się.

- Kiedy to się stało?

- Około pół godziny temu. Powiedziano mi w tajemnicy, że ranny terrorysta ukrywa się w domu Sabala, przewoźnika. Wróciłem mniej więcej godzinę po jego wyjeździe. Wziął ze sobą jedynie dwóch ludzi. Kiedy nie wracał, pomyślałem, że lepiej to sprawdzić.

- Czy wszyscy nie żyją?

- Tak, Sabal, jego żona i czworo dzieci.

Mallory wolno pokiwał głową, płytkie zmarszczki pojawiły się na jego czole. Ponownie spojrzął na ciało leżące na stole, teraz znów przykryte peleryną.

- Idź do bungalowu pana Li. Jest tam Angielka, niejaką pani Hume. Powiedz jej, że chciesz z nią widzieć. Jeżeli nie zechce przyjść, użyj siły.

Drzwi zamknęły się cicho, Mallory wyjął papierosa i zapalił, myślał o Gregsonie, o bezsensownym, niepotrzebnym okrucieństwie jego śmierci. Była pomyślana jako pogroźka, przynajmniej tyle było wiadomo, i to wymierzona właśnie w niego. Ktokolwiek sprawował władzę nad tymi sześćdziesięcioma terrorystami w Peraku, wykorzystał Gregsona jako bilet wizytowy.

W chwili późniejszej drzwi otworzyły się i Mary Hume została wepchnięta do rodku. Za nią w drzwiach Mallory dostrzegł zaniepokojoną twarz Li.

Kobieta drżała ze złości, gdy postąpiła naprzód z mocno pobladłą twarzą. Zanim zdążyła otworzyć usta, Mallory powiedział:

- Przykro mi, że niepokój pani, pani Hume, ale jeden z moich młodych oficerów bardzo pragnie pani poznać.

Bruzda na jej czole pogłębiła się, a on szybkości gnił z Gregsona peleryną. Stała wpatrzona w stół, z wyrazem zdziwienia zastygłym na twarzy, potem głowa jej zaczęła się chwiać w obie strony, a usta zadrżały. Pan Li wziął ją łagodnie w ramiona i trzymał blisko przy sobie.

- To nie było ładnie z pana strony, pułkowniku.

- Id do diabła! - warknął Mallory. - Mo esz j zabra ze sob . - Odwrócił si i starannie przykrył ciało Gregsona.

W oddali grzmotnęło, potem błyskawica rozjaśniła niebo. W ułamku sekundy, gdy trwała iluminacja, Mallory zobaczył wyraźnie jak dywan mebel w swej sypialni. Rzucił na łóżko beret i laseczkę, otworzył okiennice. Gdy wyszedł na werandę, zerwał się gwałtowny, ulewny deszcz, napełniając powietrze jednostajnym szumem. Odetchnął głębiej, wciągając powietrze w płuca, a kto odezwał się cicho:

- Nocne powietrze nie jest dobre, gdy zaczyna się deszcz, pułkowniku.

Suwon stała przy balustradzie o kilka stóp od niego i kiedy błyskawica znów rozjaśniła niebo, jej twarz zdawała się wyskakiwać z ciemności, a smok wyszyty na jej szkarłatnym stroju - ożywał jak jakieś dziwne nocne stworzenie.

- Miałem nadzieję, że przyjdiesz - powiedział.

Przysunęła się bardzo blisko, a ich ciała spotkały się i poczuł w nozdrzach jej gorące i mocny dotyk jej spiczastych piersi. Jedną ręką dotknęła jego szyi, usta miała rozleniwione i pełne podniecenia, tymczasem on mówił miękko:

- Dlaczego powiedziała Gregsonowi, że ranny terrorysta ukrywa się w domu Sabała?

Gdy jego ręce ze liznęły się po jej plecach do talii, czuł, jak to ciało sztywnieje, napina się jak cięciwa łuku. Z przerażenia ledwo złapała oddech, obróciła się i rzuciła po schodach w stronę trawnika. Gdy na wskoczyła, znów błysnęło - w krótkiej chwili jasno ci się przed oczami i jego sześciu ludzi ruszyło półokręgiem. Kiedy Tewak złapał ją, niebo zdawało się rozwarzać szeroko, a grzmot pioruna wprawiał ziemię w drżenie, tłumiąc krzyk przerażenia, który wydała, gdy zawrócono ją stanowczo i popchnięto w stronę schodów.

W swym pokoju Mallory zapalił lampę, wyciągnął krzesło i usiadł. Strój Suwon był przemoczony, przylegał do niej jak druga skóra. Kiedy Tewak przyprowadził ją do Mallory'ego, jej twarz była całkiem biała.

- Wczynie, dziś wieczorem, odwiedziła posterunek, wchodząc od strony ogrodu. Powiedziała Gregsonowi, że w domu Sabała ukrywa się ranny terrorysta. - Usiłowała zaprzeczyć, potrzebując słabo głowę, ale Mallory ciągnął dalej: - Nie trać czasu na głupie kłamstwa. Dywizyjny kapral podsłuchał całą rozmowę. - Łzy zaczęły toczyć się po jej twarzy, więc powiedział: - Gregson nie żyje, ale nie winie za to ciebie. Chodzi o człowieka, który wydał ci rozkazy. Kto to jest? Nie musisz się bać. Dopilnuj, by zapewniono ci ochronę.

Desperacko potrzebowała głowę i próbowała uwolnić się z elastycznego uścisku Tewaka. Traciła tylko czas. Malajczyk uniósł pytającą brew. Mallory skinęła głową i wtedy Tewak uderzył ją zaciętymi piętami w usta tak, że zataczała się przez cały pokój i upadła na łóżko.

Kiedy Mallory podniósł ją, usta miała zmiażdżone i krwawiące; wypadło jej kilka zębów.

- Dwa tygodnie temu twoi przyjaciele spalili misję katolicką i wymordowali trzynaście małych dziewczynek - powiedział spokojnie. - Nie dalej jak w lipcu wykoleili pociąg, zabijając lub raniąc prawie stu chłopów. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że warto się tobą zająć. Albo powiesz mi to, co chcesz wiedzieć, albo pozwól Tewakowi zabrać się do ciebie na powa nie i mogą ci obiecać jedną rzecz - już nigdy nie będziesz chciała przejrzeć się w lustrze.

Tewak zaczął zdejmować pas, a ona słabo potrzaskała głową; pęcherzyki powietrza uciekały przez jej rozbite usta.

- Pan Li - wyjęła. - Chodzi o pana Li.

Li obejrzał się w lustrze łazienki, w rękę trzymał pincet. Bardzo ostro nie usunął kilka złotych włosów znad górnej wargi, potem otworzył wielką butelkę ze złotą nakrętką, zawierającą perfumowany rodek cygański, i nalał go sobie na dłonie. Ostro nie natarł twarzą, krzywiąc się nieco na szczypiąc zimno, odwrócił się i wszedł do swojej sypialni.

Mallory stał przy otwartym oknie, które wychodziło na werandę. Miał na sobie czerwony beret, w prawej ręce trzymał lasceczkę, którą nieustannie uderzał o udo. W jego oczach Li dojrzał swój los, w tych dziwnych, niegłębokich oczach, przypominających dziury na białym tle twarzy, przewiercających go na wylot.

Nie miał nic do powiedzenia, zupełnie nic. Stał tam niepewnie, ostro nie się uśmiechając, z rękami tkwiącymi w kieszeniach jedwabnego szlafroka. Mallory nieznacznym gestem dłoni przywołał Tewaka i jego ludzi, by weszli do pokoju.

Pan Li przysunął się do małego stolika, przy którym zwykle pito kawę, wybrał papierosa z jadesitowego pudełka i zapalił.

- Kto panu powiedział? Mallory pokręcił głową.

- Suwon to błąd. Takie dziewczyny zbyt cenią swój wygląd. Tylko nim mogła handlować.

Biblioteczka stojąca przy przeciwległej ścianie runęła, rozbiła się z trzaskiem, a trzech żołnierzy zaczęło walić kolbami karabinów w drewnianą boazerię. W chwili potem wypadł duży segment, ukazując kredens, a w nim nadajnik radiowy i różne akta. Mallory zbadał znalezisko, pokiwał głową i szybko się odwrócił.

- Jak na razie całkiem nieźle. Teraz przystąpmy do rzeczy. Według doniesienia naszego wywiadu ma pan od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu partyzantów działających w Peraku. Chciałbym wiedzieć, gdzie oni są.

- Traci pan czas, mój drogi Mallory - powiedział Li. - A chyba wła nie na czasie bardzo panu zależy, prawda? Kiedy to oni po pana przyjdą - w piątek? To tylko trzydzieści sześć godzin.

Zaczł się mia i Tewak podniósł rękę, ale Mallory powstrzymał go ruchem głowy.

- Darujmy sobie czynności wstępne. Zaprowadzi go od razu do pokoju stołowego, tam gdzie jest ogień.

Li poczuł, jak odrodka przenika go chłód. Słyszał różne historie o tym Mallorym, o jego Tygrysach, o ich sposobie działania. Nikt w to nie wierzył naprawdę, bo Anglicy nie walczyli w taki sposób. Nie stosowali podobnych metod, co było wszakże ich największą słabością. Pranie mózgu, naciski psychologiczne, na nie był przygotowany, ale nie... na to!

Wprowadzili go do długiego pokoju i doprowadzili do szerokiego kamiennego paleniska, na którym trzaskał ogień - Li kazał go rozpałać w obawie przed wilgocią deszczów; Mallory skinął głową i Li został pozbawiony szlafroka i góry odpiamy. Ręce brutalnie wykręcono mu do tyłu i związano długimi linami.

Za drzwiami było jakieś zamieszanie; Mallory usłyszał uniesiony, piskliwy głos Mary Hume. Przeszedł przez pokój, wymiął swych ludzi i znalazł się na korytarzu.

Ciemne obwódki pod oczami uwydatniały bladą jej twarz; widano, że płakała.

- Co tu się dzieje? - zapytała. - Domagam się wyjaśnienia.

- Przesłuchuj pana Li - odpowiedział Mallory. - Właśnie odkryli my, że nie jest tym, za kogo się podaje.

- Nie wierz panu.

- Cóż, nic na to nie poradzę. W późniejszym terminie z przyjemnością pani nadajnik, który Li ukrył w swym pokoju, ale teraz jestem zajęty. - Zwrócił się do kaprała, stojącego po lewej: - Odprowadź pani Hume do jej pokoju i dopilnuj, żeby go nie opuszczała.

Wrócił do stołowego, trzaskając drzwiami w odpowiedzi na jej gwałtowny wybuch oburzenia, i podszedł do ognia. Usiadł na krześle naprzeciwko Li, wyjął papierosa i zapalił.

- Czy był pan kiedyś torturowany? - Li nie odpowiadał, więc Mallory ciągnął dalej. - W 1943 roku konspirowałem we Francji. Złapało mnie gestapo. Pierwsze dwa dni trzymałem się całkiem nieźle, ale pod koniec tygodnia mówiłem wszystko, co chcieli wiedzieć. Oczywiście, Londyn zmienił już wszystko, więc nie miało to żadnego znaczenia.

- Naprawdę bardzo ciekawe - powiedział Li.

- Spodziewałem się takiej odpowiedzi. - Mallory wziął do ręki pogrzebacz i wsadził go do ognia. - Obawiam się, że nie będzie mógł czekać tydzień, wiadomo dlaczego, ale nie

s dz , bym był do tego zmuszony. Mam przewag dwóch lat sp dzonych w chi skim obozie. Wiele mnie nauczyli ci pa scy przyjaciele.

Li zerkał na pogrzebacz z przera eniem i ciekawo ci . Zaszło mu w gardle. Zwił ył usta j zykiem i wykrztusił:

- Nie zdob dzie si pan na to. Na moim ciele zostałyby lady, które wszyscy mogliby zobaczyć . Pani Hume byłaby wiadkiem wszystkiego, co tu zaszło.

- Kazano mi wyczy ci Perak - powiedział Mallory - i mam na to czas tylko do pi tku. To oznacza, e zmuszony jestem i na skróty. Mam nadziej , e pan to rozumie.

Wyj ł pogrzebacz z ognia. Był rozpalony do biało ci. Odwrócił si i powiedział łagodnie:

- Prosz mi wyjawi , gdzie s pa scy ludzie, jedynie to chc wiedzie .

- Traci pan swój czas - odrzekł Li. - Lepiej, gdyby pan mnie od razu zastrzelił i sko czył z tym.

- Nie s dz . - Mallory przyjrzał mu si uwa nie i pokr cił głow . - Przewiduj , e wytrzyma pan dwie godziny, ale i to w tpliwe.

Jakie trzy godziny pó niej Li odzyskał przytomno na łó ku w chłodnej ciemno ci własnego pokoju. R ce miał prowizorycznie zabanda owane, ból przenikał całe jego ciało, przyprawiaj c o zawrót głowy.

A jednak zacz ł mówi . Wstydził si tego. Wy piewał wszystko temu okropnemu Anglikowi z blad twarz i oczami, które przeszywały człowieka na wskro .

Z trudem zwiłókił si z łó ka i poku tykał przez pokój, zaciskaj c z by, by nie krzykn z bólu. Zatrzymał si przy oknie i wyjrzał na zewn trz. Weranda była pusta i nikogo w polu widzenia. Stał tak przez chwil , wdychaj c wie o deszczu. Zaczynał odczuwa lekkie podniecenie, które pozwoliło mu zapomnie o bólu. Wygra. Pokona w ko cu Mallory'ego, i to jest najwa niejsze.

Stoczył si po schodach i wszedł na trawnik. Był mniej wi cej po rodku, gdy usłyszał zgrzyt zamka i odgłos repetowania broni. Odwrócił si , z ustami otwartymi do krzyku, ze wiadomo ci , e nawet teraz Mallory był gór .

Smuga ognia wydobyła si z krzaków, obróciła go dwukrotnie wokół osi i powaliła na ziemi . Przez chwil czuł w nozdrzach zapach mokrej trawy, potem ju nic.

W swym biurze na posterunku Mallory wyra nie słyszał grzechot r cznej broni maszynowej. Nasłuchiwał przez chwil z podniesion głow , potem powrócił do le cej przed nim mapy. Kilka minut pó niej otworzyły si drzwi i wszedł Tewak, otrz saj c wod ze swej peleryny.

Mallory odchylił się do tyłu.

- Co takiego?

- Strażnicy złapały go, gdy uciekał przez ogród. Pani Hume jest na zewnątrz. Wygląda na to, że wybiegła z domu, gdy usłyszała strzelaninę. Widziała go - Proszę ją wprowadzić - polecił Mallory.

Miała na sobie stary płaszcz firmy „Burberry”, o wiele na nią za duży, i plecy przemoczone na deszczu. Tewak podprowadził ją naprzód. Opadła na krzesło. Siedziała patrząc na Mallory'ego, z postarzałą i zgniatą twarzą.

- Widziałam pana Li - powiedziała głucho. - Widziałam, co pan z nim zrobił.

- Pan Li był bezpośrednio odpowiedzialny za torturowanie i morderstwo porucznika Gregsona i jego ludzi - odrzekł Mallory. - Był także odpowiedzialny za morderstwo trzynastu uczennic dwa tygodnie temu i wielu innych niewinnych ludzi w ciągu dwóch ostatnich lat.

- Pan go torturował... torturował z zimną krwią, a potem zastrzelił.

- Gdyby pojechał do Singapuru, byłby oszczędzony i skazany najwyżej na dziesięć lat jako przestępca polityczny - powiedział Mallory. - Przyjaciele wydostaliby go wcześniej, proszę mi wierzyć.

- Ty głupcze - wyszeptała - straciła wszystko. Wszystko. Czy tego nie widzisz? Mallory pochylił się ku niej.

- W Peraku, pani Hume, jest sześćdziesięciu trzech komunistycznych partyzantów. To wydobyłem od Li. Około trzydziestu z nich obozuje w tej chwili na opuszczonej plantacji kauczukowej w pobliżu Trebu. Wysłałem tam potajemny patrol. Będzie na pozycji wyjściowej do ataku o drugiej w nocy. Reszta partyzantów popłynie rzeką, ukryta w dwóch łodziach rybackich w ciągu najbliższej godziny. Jak się dowiedziałem, planowali zniszczyć owoce most kolejowy w Pegu. Obawiam się, że będą rozczarowani.

Lekko zmarszczyła brwi, jakby miała trudno ci z przyswojeniem sobie tego, co powiedział.

- Ale dysponuje pan garstką ludzi. Nie spodziewa się pan chyba, że zdoła pokonać tak duże grupy.

- Jest pani zadowolona o moje powodzenie w tej akcji, pani Hume? - Podniósł się i przypiął rewolwer. - Niech się pani nie martwi, mamy swoje sposoby. - Podeszedł do drzwi, otworzył je i rzekł: - Proszę tu zostać, tym razem mówi poważnie.

Mary Hume otworzyła usta, chcąc protestować, ale nie wydobył się z nich ani dźwięk. Nagle zaczęła się bać. Bała tego groźnego, młodego mężczyzny. Nie mogła nic zrobić, w żadnym sposobie zapobiec tragedii, jaka się dokonywała. Wgłąbiła duszę była dziwnie

przekonana, że Neil Mallory, niszczył zło, którego nienawdził, niszczył również samego siebie. A najdziwniejszą rzeczą było to, że zależało jej na nim.

Mallory zbliżył się do nabrzeża i przystanął obok dwóch ludzi, którzy przykucaли za nim karabinem maszynowym. Drugi umieszczony był na szczycie niewielkiego wzniesienia pięćdziesiąt jardów dalej, i w ten sposób dwa karabiny pokrywały rzekę łukiem ognia.

Na skraju nabrzeża czekał Tewak z resztą ludzi. Dwóch z nich kucnął za woskim murem, zbiorniki miotaczy ognia wybrzuszały się nieprzyzwoicie.

Deszcz wpadał do rzeki z nim, syczącym poszumem. Mallory zdawał sobie sprawę z dziwnego, przyniósł tego smutku. Czuł się tak, jakby już to wszystko robił w innym czasie, w innym miejscu. Jakby życie było kręgiem nieustannie się obracającym. Wszystko, co zdarzyło się w ciągu ostatnich godzin, było nieokreślone, jak sen na wpół zapomniany;

I wtedy Tewak chrząknął. Słychać było kłopoty wody o kil, i coś ciemniejszego od nocy, jaka bezkształtna masa poruszyła się na rzece. Mallory lekko poklepał Tewaka po ramieniu.

Małty sierant podniósł przenośny wózek i wcisnął go. Snop jaskrawego światła przeszył noc, wyławiając dwie wielkie łodzie rybackie płynące burta przy burcie, ze zwiniętymi aglami. Na każdym rufie stał człowiek przy długim wiosle.

Rozległ się okrzyk trwogi - pierwsza łódź na wpół wynurzyła się z wody, gdy natrafiła na cum promowy, którego Tewak i jego ludzie zawiesili nad rzekę godzin wcześniej.

Łódź obróciła się, wpadając na siadki; rozległ się kolejny okrzyk, po czym nastąpiła kanonada z broni małego kalibru wycelowanej w nabrzeże.

Na rozkaz Mallory'ego powstał ognierze z miotaczami ognia. Strumień ognia łukiem przecięł noc, rozlewając się po dwóch łodziach. Ich nadbudowa i agle zaczęły natychmiast płonąć, a ludzie będący pod spodem wynurzali się na pokład.

Dwa ciękie karabiny maszynowe zaczęły przeczesywać pokłady, cinając powstaćców, gdy tylko zdążyli się pojawić. Tewak zostawił wózek, chwycił swój ręczny karabin maszynowy i dołączył do reszty ognierzy.

W ciągu kilku minut było po wszystkim. Mała grupka wyskoczyła z piekła płomieni i desperacko szukała schronienia w wodzie, ale i tam wyszukały ich miotacze ognia - wygłodniały ogień pełzał po powierzchni rzeki, wyłapując jednego po drugim.

W tym momencie rzeka i wioska były już wspaniale iluminowane. Mallory patrzył, nie biorąc udziału w rozgrywającym się dramacie. Zerknął na zegarek. Było akurat po drugiej, zastanawiał się, jak radzi sobie Harrison.

Odwrócił się i zobaczył Mary Hume stojącą o kilka jardów od niego. Kiedy podszedł do niej, zobaczył, że płacze.

- Ty rzeżnik - powiedziała. - Rzeżnik. Zawiesz na szubienicy za to, co zrobiłeś.

- Jestem pewien, że tak będzie, pani Hume - powiedział spokojnie i minął ją, poszedł wzdłuż nabrzeża.

Do przylotu samolotu pozostało jeszcze dwadzieścia cztery godziny, ale czasu wystarczy. Gdyby wyruszył szybko na spotkanie Harrisona i jego ludzi, posuwając się wzdłuż brzegu rzeki, mogliby z pewnością ci wyłapać tych, którzy przetrwają starcie na plantacji kauczukowej. Jeszcze dwadzieścia cztery godziny, a potem... Gdy szedł w górę rzeki, w stronę posterunku, pierwsza łódź zniknęła pod wodę z głośniejącym sykiem pary.

ROZDZIAŁ X

SPRAWA HONORU

Rozbłysła zapalka, ukazując ostre rysy Hamisha Granta, zapalającego krótkie cygaro.

- A ledztwo?

Było już zupełnie ciemno, ponieważ fale pieniały się na skałach u wejścia do małej zatoczki. Zapadła ciepła, łagodna noc, niebo było usiane gwiazdami aż po horyzont, a kiedy chmura odsłoniła tarczę księżyca, taras został skąpany w ostrym, białym świetle. Mallory przestał spoglądać w stronę morza i wzruszył ramionami.

- Rezultat z góry przesądzony. Uywali określe w rodzaju: „dotychczasowa nienaganna służba”. Nadmienili, że nie w pełni doszedłem do siebie po dwóch latach ciężkiej pracy w chińskim obozie jenieckim.

- I oszczędzili ci najgorszą hańbę.

- Rzeczywiście, nie zdegradowali mnie, jeżeli o to panu chodzi. Można powiedzieć, że zostałem wysłany na emeryturę tak cicho, jak to było możliwe. Dla dobra służby, oczywiście.

- Naturalnie - powiedział starszy. - Kiepski interes. Takie sprawy wyciskają piętę na karku, kto się w nie wplątuje.

- To, co ja zrobiłem z Li, on zrobiłby ze mnie - powiedział Mallory. - Celem terroryzmu jest sianie terroru. To powiedział Lenin. Od tego zdania rozpoczyna się kady komunizm, czyli podręcznik rewolucyjnych metod walki. Ten ogień można zwalczyć tylko

ogniem. W przeciwnym razie może na siebie najwyżej położyć i poczekać, a przetoczyć się nad tobą fale. To do wiadomości wyniosłem z chińskiego obozu, generale.

- Interesujący punkt widzenia.

- Jedyne w danych okolicznościach. Zrobiłem to, co trzeba było zrobić. Gdy skończyłem, w ciągu jednej nocy ustał taki terror w Peraku. Nie było już żadnych Kota Banu. Ani mordowania małych dziewczynek. Na Boga, to chyba powinno się liczyć.

Zaległa cisza. W świetle księżyca twarz Anny Grant wydawała się bardzo blada, a oczy, ciemne i tajemnicze, nic nie zdradzały. Kiedy chmura znów zasłoniła księżyc, kobieta stała się nieruchomym cieniem; twarz zwróciła ku niemu, ale wci milczała.

Mallory westchnął i wyrzucił za mur papierosa, który nakreślił w powietrzu błyszczącą krzywą.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, może zechce mi pan wybaczyć, generale? Wyszło na to, że to jeden z tych wieczorów, kiedy przydałby mi się drink. - Odwrócił się i wszedł na górę po schodach. Odgłos jego kroków zamilkł szybko w ciemności.

Po chwili Hamish Grant powiedział cicho:

- Nieczęsto spotyka się takiego człowieka. Kogoś, kto chce wziąć na siebie winę za pozostałych. To wymaga szczególnego rodzaju odwagi.

Obróciła się ku niemu, jej twarz była białą plamą. Potem, jakby zdobywszy się na decyzję, powstała.

- Czy masz coś przeciwko?

Sięgnął po jej rękę i cisnął ją mocno.

- Zostaw mi samochód, dobrze? Może dołóż do was półniej.

To było to - powiedział sobie Mallory. To było naprawdę to. Wtedy w głębi serca do tego, co o nim pomyślała. Jej milczenie, jej bezruch były wystarczającą odpowiedzią. I coś dziwnego, to miało dla niego znaczenie: po raz pierwszy od wielu lat. Ta ochronna skorupa, którą na siebie włożył, pękła i teraz stał się bezbronny.

Z brodem wsparł się na piersi, z rękami w kieszeniach wkroczył na sprężystą drogę, która opadała ku przystani, białą w świetle księżyca.

Lekki wiatr zdawał się lizać go po twarzy. Wcisnął rękę w powietrze. Nie słyszał nic, ale wiedział, że ona idzie za nim. Zapytał spokojnie, z lekką irlandzką intonacją, odziedziczoną po ojcu, zawsze pojawiającą się w chwilach wielkiego napięcia:

- Na co miałaby ochotę, Anno Grant?

- Na drinka, Neilu Mallory - odpowiedziała dopasowując się do nastroju. - I może na jeszcze jednego. Czy prosiłabym o zbyt wiele?

Zatrzymał się i odwrócił, by spojrzeć jej w twarz, z rękami wciąż w kieszeniach. W świetle księżyca wyglądała pięknie, pięknie, nie spodziewał się, że jakakolwiek kobieta może wyglądać tak. Miała łzy w oczach. Otoczył jej plecy ramieniem i razem zeszli po zboczu w stronę wiatel hotelu.

W wysokiej trawie na wzniesieniu ponad klifami Raoul Guyon leżał na plecach i gapił się na nieskończoną mnogość gwiazd; ręce miał splecione za głową. Przy nim, czesząc włosy, siedziała ze skrzyżowanymi nogami Fiona Grant.

Obróciła się do niego i uśmiechnęła. Jej twarz jaśniała w świetle księżyca.

- No dobrze, czy wobec mnie zachowasz się honorowo?

- Jak zawsze, masz talent do zadawania trudnych pytań - powiedział Guyon.

- Wystarczyłoby zwykłe tak lub nie. Jestem dobrze wychowana... Ale i rozsądna.

- Słowo, którego żadna kobieta nie ma prawa używać - rzekł z powagą i zapalił papierosa. - Życie nie zawsze jest tak proste, jak „tak” i „nie”, Fiono.

- Nie zgadzam się z tobą. To ludzie wszystko komplikują. Mój ojciec cię lubi, jeżeli dla ciebie ma to w ogóle jakiegokolwiek znaczenie, nie rozumiem tego, na co miałby narzekać twój rodzic. Poza tym mogłabym uchodzić za Francuzkę.

- Jestem absolutnie pewien, że moja matka byłaby tobą zachwycona. Tylko że my, Bretończycy, jesteśmy bardzo starożytni w pewnych kwestiach. Matka nigdy nie pozwoliłaby mi oeni się z dziewczyną bez pojęcia o posagu.

- Czy jedenaście tysięcy funtów wystarczyłoby? - zapytała Fiona. - Mój ukochany wuj zmarł w marcu zeszłego roku...

- Jestem pewien, że Maman byłaby pod wrażeniem - odpowiedział Guyon.

Uśmiechnęła się niecierpliwie, opierając głowę na jego piersi.

- A tak w ogóle, dlaczego mamy się martwić o pieniądze? Wiem, że większość artystów musi borykać się z trudnościami, ale ilu z nich maluje tak jak ty?

- Dobry argument.

Miała rację. Sprzedał już wiele obrazów, namalowanych w chwilach, gdy nie miał zleceń na rodzinnej farmie koło Loudeac, którą matka jego wciąż tak sprawnie prowadziła. Wspominał poranki nad brzegami Quest, liście opadające z brzozy na powierzchnię rzeki, zapach mokrej ziemi. Kraj, w którym wyrósł i który kochał. Nagle, zaskoczony, zdał sobie sprawę z tego, że chciałby zabrać tam tę dziewczynę, zobaczyć znów razem z nią stary, szary dom na farmie, wrotnię w kotlinie pomiędzy drzewami, przejść się z Fioną po rodzinnej ziemi, do której był tak bardzo przywiązany.

- Oczywiście, zawsze mógłby być ktoś inny - powiedziała.

Jej głos był niefrasobliwy, ale nie pozbawiony zjadliwo ci. Niew tpliwie zdawał sobie spraw , jak łatwo j zrani . Raoul instynktownie przyci gn ł j do siebie.

- Fiono, kiedy w Algierze była pewna dziewczyna, dawno temu. Dała mi wytchnienie wtedy, gdy potrzebowałem go bardziej ni czegokolwiek na wiecie. Zapłaciła za ten dar własnym yciem. Wysoka cena. Od tej pory cały czas próbuj od niej uciec.

Na chwil zapanowała cisza. Przerwała j Fiona, mówi c powa nie:

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, e to od Algierii uciekasz? e ta dziewczyna stała si dla ciebie symbolem wszystkiego, co tam si zdarzyło?

W jednej chwili zrozumiał, e to, co powiedziała, było prawd . e z jakim przedziwnym wyczuciem trafiła w samo sedno sprawy.

- Wiem, Raoul, e jestem młoda - ci gn ła - i e miałam na ogół do czynienia z jas n stron ycia, ale wiem te i to: wojna w Algierii nie była pierwsz , z której ludzie wrócili do domu z krwi na dłoniach, i nie b dzie ostatni . Takie jest ycie. Nie ma ró y bez kolców. Ludzie to przyjmuj .

- Gdyby przyszło mi zgadywa , powiedziałbym, e musisz mie jakie tysie c lat.

Pocałował j nami tnie, a ona splotła ramiona na jego karku i przywarła do niego całym ciałem. Po chwili odwróciła si i le ała na plecach, bez tchu, z roziskrzonymi oczami.

- A teraz, jak my lisz, czy mogłabym zobaczyć t farm w Bretanii?

Podniósł j na nogi i trzymał na wyci gni cie ramion.

- A czy kiedykolwiek miałem jaki wybór?

Wyci gn ła r ce, by go pocałowa , potem wywin ła mu si i uciekła z boczem w dół. Guyon dał jej przewag około dwudziestu jardów i pognął za ni . Poczul wzbieraj cy, spontaniczny miech - po raz pierwszy od lat.

Hotelowy bar był długim, przyjemnym pokojem z pobielonymi cianami i oknami wychodz cymi na morze. Dwie olbrzymie naftowe lampy zwieszały si z jednej z d bowych belek, podtrzymuj cych niski strop.

Jacaud i dwóch innych m czyzn siedzieli przy stole w k cie i grali w karty. Owen Morgan, oparty o kontuar, obserwował gr . Był małym, siwiej cym m czyzn z gor cymi walijskimi oczyma i twardym wyrazem twarzy, nabytym w ci gu ycia sp dzonego na morzu. Przy otwartym oknie, naprzeciwko siebie, przy małym stoliku siedzieli Mallory i Anna, pał c papierosy. Daleko na morzu wiatła statku przesuwwały si powoli wzdłu linii horyzontu jak zjawia z innego wiata. Anna westchn ła.

- Wielki statek. Ciekawe, dok d płynie?, - Tanger, Azory. Prosz wybiera .

- To zaproszenie?

- Takie najbardziej niewłaściwe - powiedział i uśmiechnął się .

- Powinieneś robić to czego cię - odparła. - Dobrze ci z tym.

Zanim zdążył odpowiedzieć , na stół padł cie . Obok stała Juliette Yincente, na tacy miała pół butelki szampana i dwa kieliszki. Była prostą , około trzydziestopięcioletnią kobietą , wyglądała raczej przeciwnie w swej niebieskiej, wełnianej sukience. Przytyła nieco w talii, ale skóra miała wciąż jasną , a na policzkach odrobinę różu.

- Od księcia pana, madame - powiedziała i postawiła na stole butelkę oraz kieliszki.

Na drugim końcu baru kilka szerokich stopni prowadziło do następnego pomieszczenia, gdzie przy kominku siedział de Beautmont.

Anna podziękowała skinieniem głowy, a on podniósł puchar w zapraszającym cie.

- Mały rewanż za wspaniały posiłek.

- Czy mam go poprosić do nas? - zapytał Mallory.

Potrzebna głowa .

- Tylko jeśli sobie życzysz.

W chwili późnej przed hotelem zatrzymała się furgonetka, wysiedli z niej Raoul Guyon i Fiona, pomagając następnie wysiść generałowi. Starszek pewnie pokonał drogę po schodach i wszedł do baru.

- Tutaj, Hamish! - zawołała Anna, a on obrócił się i podszedł do ich stolika.

Mallory wstał i podsunął krzesło Pionie, ale ona zajęła miejsce przy oknie, obok Anny. Guyon podniósł butelkę i pokiwał głową z aprobatą .

- Heidsieck, rocznik 1952. Jakże to typowe dla Anglików: rezerwuj dla siebie zawsze to, co najlepsze. Naprawdę musisz coś zrobić , by wyprowadzić go z równowagi.

Podszedł do baru, a Hamish Grant wyjął pudełko na cygara z brzozy i podsunął je Mallory'emu.

- Proszę spróbować jednego. Wiem, że to prawda, ale nie znam nic lepszego. Przyzwyczaiłem się do nich w Indiach.

Mallory wziął cygaro i podał starszemu ogień , tymczasem wrócił Guyon.

- Nasz dobry znajomy Owen przeprowadza rajd po swej piwnicy. Nie może zagwarantować , że wszystko pochodzi ze sprawdzonych źródeł, ale to nic. Powiada, że urzędnik skarbowy zjawia się tylko raz w roku i zawsze z góry go uprzedza.

- Nic dziwnego - zauważył generał. - Przecież służyli razem w marynarce.

Owen Morgan pojawił się w kilka chwil później i podszedł z szerokim uśmiechem.

- Nie trzeba lodu - zwrócił się do Guyona, podaj mu butelkę do złustrowania. - Tam, gdzie była, jest wystarczająco zimno.

- Doskonale - rzekł Guyon. - Otwórz ją, a pan niech w tym czasie przyniesie kieliszki.

Jego wesołość była bardzo zaraźliwa, w ciągu kilku minut doprowadził wszystkich do śmiechu, opisywał jakiegoś oburzonego, oczywiście zmyślonego, wydarzenia z przeszłości. Potem rozmowa potoczyła się już swobodniej.

Raz czy dwa Mallory pochwycił niechętne spojrzenia trzech mężczyzn siedzących przy stole. Byli wyraźnie zirytowani hałasem wybuchami śmiechu Fiony i Guyona. Jeden z nich bębnił palcami w stół i głośno domagał się od Owena Morgana więcej koniaku.

Mallory nachylił się do Annie.

- Ten po lewej, ostrzyżony, stał za sterem łodzi de Beaumonta dzień po południu. Kto to jest?

- Nazywaj go Jacaud - powiedziała. - To wszystko, co o nim wiem. Zdaje się nie rozstawał z de Beaumontem. Inni chyba się go boją.

- Trudno się dziwić - włączył się Guyon. - Siedzi tam dwieście dziesięć funtów kości i mięsiw; siedzą przy jego wyglądzie, głównie mięsiw.

Jacaud podniósł się, przeszedł przez bar i po schodach dotarł do drugiego pokoju. Oparł się o stół de Beaumonta i przeprowadził krótką rozmowę. Mallory obserwował ich z nadbrzeżnego kieliszka. Nagle de Beaumont obrócił się i spojrzał w ich stronę. Przez chwilę mierzył Mallory'ego zimnym wzrokiem, po czym wrócił do rozmowy.

Gdy potężny Francuz powrócił do swoich przyjaciół, Owen Morgan włączył radio i dźwięki muzyki wypełniły pokój. Guyon podniósł Fionę z miejsca i zabrał ją.

- Chodź, rozruszamy trochę towarzystwo.

Tworzyli ładny par, gdy zataczali kręgi po pokoju. Piękna, młoda dziewczyna na progu kobiecości i Guyon, ze szczupłą, ogorzałą na słońcu twarzą, pełną życia.

Anna Grant patrzyła na nich z zadumą. Zaczzerwieniała się, gdy spostrzegła, że Mallory spojrzę na nią.

- Fiona zawsze mnie postarza - powiedziała.

- Nie nazbyt. - Mallory zwrócił się do generała: - Sir, wybacz nam pan?

Generał dotknął lekko butelki szampana i podniósł swój kieliszek.

- Bawcie się, póki możecie. Mnie wystarczy to.

Ruszyli ku rodkowi parkietu. Anna otoczyła szyję Neila ramieniem i ta czyła z głową wtuloną w jego ramiona, tak mocno przywierając do niego ciałem, że Mallory czuł

jego zarys od piersi do ud. Na chwilę zapomniał o wszystkim, poza tym jednym - że ta czył z gorącą, podniecającą dziewczyną, której perfumy drażniły mu nozdrza, powodując miłą, tęskny ból w dołku.

Upłynęło wiele czasu od chwili, gdy po raz ostatni spał z kobietą, ale to nie wyjaśniało jego obecnego nastroju. Fakt, że Anna Grant podobała mu się, był niezaprzeczalny, niemniej krył się za tym coś jeszcze, coś głębszego, czego na razie nie próbował nawet zrozumieć.

Kiedy muzyka ucichła, powrócili do stolika. Inni podłżyli za nimi nieco później. W momencie gdy Fiona siadała na swoim miejscu, przy stoliku Jacauda i jego dwóch kolegów rozległ się głośny wybuch śmiechu, po którym dało się słyszeć komentarz po francusku, dosadny, grubiański i zupełnie niecenzuralny.

Guyon odwrócił się, twarz mu stała. Trzej mężczyźni nie patrzyli mu hardo w oczy. Zrobił szybko krok w ich stronę, ale Mallory złapał go za rękaw i posadził z powrotem na krzesło.

- Daj spokój.

Guyon kipiał od powstrzymywanej wściekłości.

- Słyszałaś, co on powiedział? Fiona nachyliła się i położyła dłoń na jego ramieniu.

- Niech to ci nie wyprowadza z równowagi, Raoul. Po prostu trochę za dużo wypili, to wszystko.

Cie znowu padł na stolik i Mallory, podnosząc wzrok, zobaczył człowieka, który, siedząc z tego, jak zwracał się do niego przed chwilą Owen Morgan, nazywał się Marcel. Był średniego wzrostu, ubrany w dżinsowe spodnie i niebieski marynarski golf. Miał mocno w czubie, uczeplił się brzegu stołu, by utrzymać równowagę.

- Myślę, że byłoby lepiej, gdyby pan usiadł - zwrócił się do niego po francusku Mallory.

Marcel zlekceważył go, nachylił się nad stołem, przewracając kieliszek, i wziął Annę za rękę.

- Zataczy pani ze mną? - wybełkotał, kalecząc angielski.

Mallory chwycił go za prawe ramię nieco powyżej łokcia, wbijając kciuk w bolesny splot. Gdy Marcel obrócił się, z twarzą wykrzywioną grymasem bólu, Guyon kopnął go poniżej prawej kostki. Mężczyzna zatoczył się, stracił równowagę i wywrócił się na siedzieliści. Jacaud podniósł się, odepchnął go na bok i ruszył naprzód.

Stanął przy stoliku Mallory'ego kołysząc się lekko, jakby był pijany, ale ciemnoszare, zimne jak lód oczy nieustannie czuwały.

- Dwóch na jednego, messieurs - powiedział znakomit angielszczyzn . - Wyrównajcie szans . Owen Morgan wybiegł z za baru, miał bardzo blad twarz, oczy mu błyszczały. Wielki Francuz jednym pogardliwym pchni ciem dłoni odesłał go z powrotem na miejsce i roze miał si nieprzyjemnie.

- Sam si tego dopraszał.

- Jacaud - zawołał gwałtownie de Beaumont. - Daj temu spokój.

Jacaud zignorował go, a de Beaumont nie uczynił adnego ruchu, by podej do baru, nie dał adnego znaku, e potrafi i chce zapanowa nad sytuacj . Został przy ogniu z wyrazem czujno ci na twarzy.

W tej samej chwili Mallory zdał sobie spraw z tego, e wszystko zostało ukartowane. e z jakiego , jemu tylko znanego powodu de Beaumont celowo zaaran ował t scen .

Guyon chciał powsta , ale Mallory powstrzymał go.

- Ja to załatwi .

Jacaud wci lekko si chwiał, przez cały czas usiłuj c udawa pijanego. Wielkie łapska miał haczykowato zgi te, ka dy mi sie napi ty i gotowy. Podszedł, słaniaj c si na nogach, i stan ł nad nimi.

- Oczywiście, mój przyjaciel mógłby zgodzi si na drinka. - Wskazał skinieniem głowy na stół. - Butelka szampana załatwiłaby spraw .

- Do usług - powiedział spokojnie Mallory. Si gn ł po butelk i odwracaj c si , zmienił uchwyt, a nast pnie rozbił j na głowie Francuza. Anna krzykn ła, Jacaud zachwiał si i upadł na jedno kolano. Mallory pochwycił krzesło, ruszył szybko do przodu i roztrzaskał je o masywne plecy Jacauda. Ten zamruczał co i zacz ł chyli si na bok, a Mallory tłukł go połamanym krzesłem raz za razem, a z krzesła zostały tylko drzazgi. Wtedy odrzucił je na bok i czekał.

Powoli, z bólem Jacaud dosi gn ł kraw dzi baru i podci gn ł si do góry. Wisiał tak przez chwil , po czym obrócił si w stron Mallory'ego, niedbale ocieraj c krew z twarzy. A potem niespodziewanie zaszar ował z pochylon głow , jak zraniony byk, i r kami wyci gni tymi, by zabija . Mallory bezbł dne ocenił wła ciwy moment, usun ł si na bok, pozwalaj c Francuzowi polecie do, przodu, i wtedy uderzył go po nerkach ciosem karate wymierzonym kantem dłoni.

Jacaud wrzasn ł i upadł na podłog . Przez krótk chwil kl czał, podpieraj c si r kami, a kiedy wstał, linił si jak zwierz . Zatoczył si w przód, a Mallory podci ł mu nogi.

Jacaud ponownie zwałił si na podłog , przetoczył po niej i znieruchomiał.

W ciszy, jaka zapadła, de Beaumont zszedł wolno po schodach. Przyklknął na jedno kolano przed Jacaudem, obejrzał go i uniósł głowę.

- Jest pan twardym facetem, pułkowniku Mallory.

- Tylko kiedy musz - powiedział Mallory. - Mógł pan coś zrobić, żeby temu zapobiec. A pan nawet nie kiwnął palcem. Dlaczego?

Odwrócił się, nie czekając na odpowiedź, i wrócił do stolika.

- Myślę, że to wystarczy jak na jedną noc. Idziemy? - Twarz Hamisha Granta była blada. Gdy wstawał, nozdrza lekko mu się rozszerzyły. - Wiesz, myślę, że naprawdę nadszedł czas, bym ci postawił drinka, Neil. Mam trochę wyjątkowej whisky tam, w domu. Tak irlandzkiej, może na wyczu zapach torfu. Chciałbym, żeby wyraził swoje zdanie na jej temat.

Twarz Anny również była bardzo blada. Cała się trząsała. Mallory cisnął uspokajając jej ramiona i wszyscy poszli w stronę drzwi. De Beaumont ruszył się, by zagrozić im drogę.

- Chwileczkę, generale. Może pozwoliliby mi państwu wyrazić ubolewanie z powodu tej awantury. Jacaudowi zdarza się, że go ponosi. A kiedy jeszcze wypije...

- Wystarczy, de Beaumont - powiedział zimno Hamish Grant. - Myślę, że sprawa została załatwiona we właściwy sposób.

De Beaumont został na miejscu, uśmiech zamarł mu na twarzy, potem odwrócił się gwałtownie, a oni wyszli nie oglądając się.

Fiona zasiadła za kierownicę, Guyon przy niej, a generał i Anna usadowili się z tyłu. Mallory zatrzęsł drzwiczki i nachylił się do otwartego okna.

- Jeśli pan pozwoli, generale, przyjmę pańskie zaproszenie na drinka kiedy indziej. Miałem już do wrażeń, jak na jedną noc.

Gdy Anna gwałtownie zwróciła ku niemu głowę, odsunął się po piesznie, nie zostawiając czasu na dyskusję, i zaczął schodzić z boczem w kierunku mola. W parę chwil potem silnik zakaszłał gdzieś z tyłu i furgonetka odjechała.

Przy molu skręcił w prawo i podył opadając ostrymi uskokami ciętką, która poprowadziła go na dół, na wąski pas piasku, biały w świetle księżyca. Fale zwijały się na kamkach, wydając cichy, sykliwy odgłos.

Siadł na jakimś głazie i lekko drącymi palcami zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko, wpuszczając dym w płuca, a potem wydechając go z długim westchnieniem.

Za sobą usłyszał głos Anny Grant:

- Nie robisz niczego połowicznie, prawda?

- A o co chodzi?

- Zdaje się, że prowadzili my już te rozmowy.

Kiedy wyszeptała jego imię, objęli się naturalnie i swobodnie. Jej ręce pocierają jego głowę na dół, usta ich szukały się nawzajem, a jej słodycz wygnała wszelkie inne myśli z głowy Neila.

Wziął ją w ramiona, a potem ułożył delikatnie na miękkim piasku.

ROZDZIAŁ XI

W OPUSZCZONYM MIEJSCU

Wiał orze wiąjący wiatr, wzbijający białe grzywy na falach, a kiedy szalupa okrążyła cypel, woda przelewała się przez burtę. Guyon zaczął ostro nie balastować łódź. Miał na sobie gruby sweter i dwurzędową kurtkę chroniącą przed zimnem. Na jego szyi wisiała luneta nocna, a jeden ze skuterów leżał za nim na dziobie.

Mallory siedział na rufie w czarnym gumowym stroju pływackim, z ciemnym aparatem tlenowym przywiązany do pleców. Kiedy przeciwny prąd zaczął spychać szalupę w stronę klifów, otworzył zawór w motorze poza burtę, by zrównoważyć ten wpływ, i spojrzał na podświetloną tarczę swego zegarka.

Była 11.45 i niebo prawie bezchmurne, usiane gwiazdami. Wiatło księżyca tańczyło na falach, pozostawiając na wodzie srebrzysty ślad. Łódź unosiła się wysoko na olbrzymiej fali i posuwała się w stronę skalnego palca, który wyznaczał zachodni kraniec wyspy. Mallory ponownie otworzył zawór. Przez chwilę szalupa stała jakby w miejscu, potem skoczyła naprzód. Okrążyła cypel, walczyła z przeciwnymi prądami; Guyon klął siarczyście, gdy woda przelewała się przez burtę. Potem wpłynęli na spokojniejsze wody. Za nimi St. Pierre i gotyckie wieże zamku czerniały na tle nieba.

Mallory znów przyhamował i szalupa popłynęła wzdłuż wybrzeża, odgłos jej motoru był zaledwie pomrukiem na wietrze. Wielka rafa, biegnąca pomiędzy dwiema wyspami, wyglądała niewinnie w świetle księżyca. Fale napływające od morza rozpryskiwały się leniwie po ród skał, tu i tam zasłona białego pyłu wodnego unosiła się w ciemności jak srebrne koronki.

Wprowadził szalupę na spokojne wody rodowego Przesmyku, a wreszcie osiągnęli pierwszy punkt, gdzie sklepienie się zamykało, a woda kipiała pomiędzy wielkimi, postrzępionymi zboczami skał. Wyłączył silnik, szalupa zwolniła i przybiła łagodnie do

pochyłego, pokrytego wodorostami grzbietu skalnego. Guyon zahaczył cum w jakiej szczelinie i spojrzął w stronę St. Pierre przez nocną lunetę.

- Około czterech mil. Długi dystans.

- Ze skuterem nie taki długi - powiedział Mallory.

Guyon przerzucił skuter przez burtę, szalupa niebezpiecznie się przechyliła.

- Raczej ty, nie ja. Woda jest jak lód. Jak długo ci to zajmie?

Mallory wzruszył ramionami.

- Nie wiemy niżej niż pół godziny. Nie mam zamiaru kręcić się przy tamtym krańcu.

Wpasował gumowy ustnik między żebra i ustawił dopływ powietrza, pośpiesznie dotknął noża przy pasie i niezdarnie wygramolił się przez burtę na rufę. Brodził w wodzie, przeszedł do drugiej burty szalupy i sięgnął po skuter. Guyon uśmiechnął się, Mallory w odpowiedzi kiwnął głową i zniknął pod powierzchnią.

Światło księżyca przenikało przez wodę, sondując głębiny. Kiedy Mallory przedostał się przez rufę i wpłynął w wąski Przesmyk, wkroczył w ciemniejszy, bardziej złowrogi wiat.

Wyłączył potężny reflektor umocowany na grzbiecie skutera i snop światła rozproszył ciemność przed nim, załamując się na skałach, tworząc sklepienie nad jego głową.

Nachylił dziób skutera i szedł łagodnie w dół, wyrównując poziom na głębokości dwudziestu stóp. Chociaż nie osiągał szybko ciemności, w końcu zaczął się, a kiedy wprawił się w przerażającym tempie na ciemną szarą mgłę, która określała kres jego pola widzenia. Wielka, sklepiona nawa rafy sięgnęła się przed nim w nieskończoność, a woda rozbijała się o jego maskę.

Potem posunął się dalej i wpłynął w dziwny, nierzeczywisty pejzaż porzucanych skał i lasów wodorostów, kołyszących się ospale w rozproszonym księżycowym świetle. Wynurzył się i spojrzął na klify St. Pierre, spiczaste wieże zamku ciemniejce na tle nieba.

Światło księżyca rozbryzgiwało się na cianie klifu, odsłaniając ciemny wylot groty. Fala była teraz wysoka i przez chwilę miał nie więcej niż dziesięć-dwana stóp. Wyłączył reflektor i ruszył w zieloną, fosforyzowaną mgłę.

Pod nim pojawił się wielki uskoki w dnie morskim - co najmniej dziesięć stóp, tak powiedziała Anna - wrzynający się w serce wyspy. Mgła zdawała się odchylić na jedną stronę jak zasłona, ukazując wejście do groty, mające dobre sześćdziesiąt stóp szerokości, które rozszerzało się w miarę posuwania w dół. Płynął naprzód, mijając po obu stronach szarozielone ciany. Woda rozjaśniała się, szaro przeszła w akwamaryn - z góry świeciło się sztuczne światło. Przysunął się blisko ciany i posuwał ostro nie naprzód.

Zatrzymał się gwałtownie, wyciągnął skuter. Od tego miejsca nierówna ściana groty przechodziła w molo. Wielkie kwadratowe bloki kamienia przypominały fundamenty jakiegoś starożytnego fortu opadającego w głąb biny. Ostro nie ruszył w górę i natychmiast z mgły wynurzyło się szaroczarne podbrzusze łodzi podwodnej. Znalazł to, czego szukał, i pozostawiając tam dłużej było tylko szukaniem guza. Odwrócił się i popłynął motylkiem w stronę wylotu. Wiatło przygasło, czuł te szarpnięcia nim przed wodny.

Wpłynął znów w ten dziwny, szary, fosforyzujący wiat i zatrzymał się, by wyciągnąć skuter. W tym samym momencie usłyszał jakiś metaliczny dźwięk i coś wyszarpnęło mu uchwyt z ręki - fala udarowa, rozprzestrzeniając się w wodzie, rozprysła się wokół niego.

Odwrócił się. W odległości około dwudziestu stóp zobaczył nurka zawieszzonego w wodzie, dziwaczne morskie stworzenie, sięgające groz; wiatło księżyca migotało na jego masce, gdy ładował ponownie swoje działko harpunnicze.

Mallory popłynął w jego stronę, wyciągnął go z pochwy ciężki nóż. Kiedy był może o jakieś dziesięć stóp, działko wystrzeliło ponownie, wzniesając chmurę srebrzystych białek. Odskoczył desperacko w bok. Harpun przemknął tuż obok, a wtedy on rzucił się naprzód, przebijając nożem gumę i ciało.

Męcząc się rzucał się w agonii, krew uchodziła z niego ciemną chmurę. Mallory wyciągnął nóż i szarpnął za rurę doprowadzając tlen. Gdy ją trzymał w dłoni, powietrze pod ciężkim nieniem wybuchło, a pęcherzyki znaczyły jego łódź w drodze ku powierzchni.

Mógł teraz całkiem dobrze przyjrzeć się twarzy napastnika, wytrzeszczonym oczom, z białkami tym w agonii. Nagle ciało męczycy odpięło się i spychane w dół ciężarem butli tlenowej. Opadało wzdłuż krzyw, jak jesienny liść wirujący ku ziemi. Mallory wybił się ku powierzchni, wyciągnął swój skuter, który powoli unosił się w górę. Chwycił za rączki i wyciągnął go, czując już kolejne fale udarowe szmerzące w wodzie, odbijające się od jego ciała.

Skuter popłynął, wspomagany przez wzbierające fale. Dno morskie zaczęło znów opadać, ponownie ujrzawszy blade lasy wodorostów, strzępy czarnych skał, białe pocztkami rafy. Raz jeszcze zdał sobie sprawę, że wokół jego ciała owija się fala udarowa, i spojrzawszy na prawo. Jakieś pięćdziesiąt jardów od siebie dojrzał wielki podwodny skuter, co najmniej dwukrotnie dłuższy od jego pojazdu. Zbliżył się szybko, sunąc przez przesyczone księżycowym wiatłem wodę; za nim wlokł się nurek.

Mallory rozpaczliwie wierzgnął nogami, przynaglając ruch skutera. Potem skały wyroiły się z ciemności po obu stronach i popadł w mrok rodowego Przesmyku. Wyciągnął swój reflektor, opadając w dół, by nie wpaść na zwisający strop. Słyszał jakiś stłumiony

warkot i obejrzał się. Szeroki snop rozproszonego wiatła przenikającymi mgłami powiedział mu, że jego przeładowca nie znajduje się daleko od niego.

Przeplłynął przez odcinek, w którym wiatło

księżyca przeszczało się przez puknięcia i szczeliny, to znaczyło, że jest mniej więcej w środku drogi przez Przesmyk, gdzie ponad wrakiem frachtowca. Gdy dotarł do czystego odcinka, zanurzył się głębiej i dziesięć sekund pod powierzchnią z mroku wychynął spiczasty maszt. Mallory przytrzymał się jednego końca i czekał.

Ciemno napierała na niego ze strasznie, dusząca siła, a maszt zdawał się nieco poruszać, jakby stary frachtowiec zakołysał się. Pamiętał mroczne schody pod pokład, szkielet człowieka zgnieciony pod stalowym dźwigarem i wzdrygnął się, nagle odczuwając chłód. Zauważalne stało się także wzburzenie wody, falowanie się gałęzi w dół. Gdy podniósł wzrok, zobaczył dziwacznie przez wiatło reflektora na innym skuterze, który przeplłynął nad jego głową. Odczekał chwilę czy dwie, potem wolno popłynął w górę. Na głębi bokoć dwudziestu stóp wyrównał poziom, wyłączył silnik, ale nie reflektor, i popłynął za tamtym skuterem. Tylko fragmentami widoczna była bardzo zła; na tej głębi bokoć wiatło księżyca przenikało przez szczeliny w skale jak równomiernie rozmieszczone latarnie przy ciemnej drodze.

Kiedy wreszcie wydostał się z wielkiej centralnej nawy na spokojną wodę, włączył skuter i wyszedł na powierzchnię.

Raoul Guyon siedział na rufie łodzi. Jarda, może dwa od niego po pas w wodzie, na pochylonej skale stał ze swym skuterem nurek, trzymając w ręku działko harpunnicze. Wyglądało to niemal tak, jakby prowadzili rozmowę.

Mallory wypuścił skuter z ręki, zszedł pod powierzchnię i popłynął w jego kierunku. Wskoczył w przypląwie siłą, prawą ręką chwycił mocno za szyję i upadł do tyłu, ciężko go za sobą w głębię wody, jednocześnie odrywając rurę z tlenem od jego ust.

Pogrążyli się w przejrzystej toni, działko wirując poleciało w bok. Mallory szarpnął ponownie, wolną ręką zrywając może nie maskę, i wtedy ukazała się jego twarz, wykrzywiona przerażeniem. Mallory trzymał go kurczowo, nawet wtedy, gdy ręka nurka sięgnęła w tył, odrywając jego własną maskę. Zaciśnięte usta i wzmocniły chwyt. Krew zaczęła wyciekać z nozdrzy mocno, tworząc dwa ciemne obłoki, a już po chwili jego ciało zwiślało bezwładnie na ramieniu Mallory'ego. Neil rozluźnił palce, ciało odskoczyło, obróciło się dwukrotnie i zaczęło tonąć.

W uszach mu huczało, łomotało w skroniach. Przebił się na powierzchnię i uderzył o burtę szalupy, dławiąc się i cięko dysząc. Guyon wychylił się i pochwycił jego wycięgnięty

r k , po czym Mallory wdrapał si na pochył półk skaln i wsparty na r kach i kolanach oddychał z wysiłkiem.

Guyon wskoczył przy nim do wody i pomógł mu powsta , zdejmuj c te jego mask . Twarz miał napi t i pełn niepokoju, a głos słaby i jakby nieswój. Kiedy pytał, co si stało, Mallory kilkakrotnie potrz sn ł głow . Huk w uszach powoli si uciszył, wtedy wykrztusił:

- Nie czas na pytania. Wpadłem w małe tarapaty. Lepiej si st d zabierajmy.
- Znalazłe „L’Alouette”?
- W porz dku, jest tam. Przycumowana do mola pod wysp , tak jake my my leli.

S dz c z tego, co widziałem, starczyłoby jeszcze miejsca na kilka innych.

Odpi ł ci ki aparat tlenowy, zawiesił go na dziobie i wgramolił si na pokład szalupy. Gdy uruchomił silnik za burt , Guyon odczepił cum i poszedł w jego lady. Nim upłyn ła sekunda, szalupa płyn ła ju z powrotem w stron Ile de Roc, posuwaj c si kr tym kanałem mi dzy wielkimi skałami, które ju wyłaniały si po obu stronach, w miar jak zaczynał si odpływ.

- Co teraz poczniemy? - zapytał Guyon.

- Wezwiemy Lewiatana, jak tylko wrócimy. Te łodzie torpedowe z St. Helier b d tutaj, zanim si spostrze esz.

Szalupa zakołysała si na wzburzonej wodzie, sun c z szybkim pr dem pomi dzy wysokimi czarnymi cianami, potem skr ciła w stron cypla. Nagle powietrze rozdarł pot ny ryk. Guyon podniósł nocn lunet i spojrzał w tył. Kiedy si odwrócił, jego twarz wydawała si bardzo biała w wietle ksi yca.

- To ten przekł ty lizgacz de Beaumonta. Zbli a si szybko po tej stronie rafy. Musi robi jak nic pi tna cie w złów.

Mallory obejrzał si , chwytaj c wzrokiem cienki snop wiatła, które pochodziło z reflektora lizgacza, po czym otworzył zawór silnika za burt . Silny pr d płyn ł wprost na nich, gdy próbowali wzi kurs na przył dek. Lekk łodzi rzucało na wszystkie strony, fale przelewały si przez jej dziób.

- Wyrzu butl za burt ! - krzykn ł Mallory.

Guyon opadł na kolana, si gn ł po paski, podniósł butl i spu cił j do wody. Od razu była wyczuwalna ró nica, dziób przeskoczył ponad nast pn fal , omin li cypel i ruszyli w kierunku wody wygl daj cej na spokojniejsz .

Pr d pływowy cierał si w tym miejscu ze zwykłym silnym pr dem przybrze nym. Wsz dzie wokół nich wielkie połacie białej wody ł czyły si z innymi, wywołuj c

nieregularne fale, które kaskadami opadały na klify. Cofajca się fala odpychała ich z powrotem na morze.

Szalupa nurzała się między dwiema wielkimi falami, jej szybko zmniejszyła się o połowę, a z tyłu nieubłaganie przybliżyła się ryklizgacza.

- Nigdy nie dotrzemy do przystani! - zawołał Guyon. - Jeszcze kilka minut i nas zauważy.

Wielka wznosząca się fala wzbierała po prawej burcie. Gdy się przetaczała, unosząc szalupę wysoko w górę, Mallory na mgnienie oka zobaczył dom Hamisha Granta, wciśnięty w fałd na szczycie klifów, i wiatło palące się w jednym z pokoi na parterze. Przesunął rumpel z jednej strony na drugą i prędko poniósł szalupę w stronę klifów z zawrotną szybkością.

Otwór zatoki miał mniej więcej dwadzieścia jardów szerokości, ale prawdziwy problem stanowiła linia postrzępionych skał, blokujących wejście tak szczelnie, jakby to była spuszczana stalowa krata w bramie. Istniała niewielka szansa, że fale, wpływając do rowka, podniosą poziom wody i przeniosą ich ponad skałami.

Mallory krzyknął do Guyona:

- Będzie chyba gorzej! Trzymaj się mocno i przygotuj na pływanie!

Francuz obejrzał się, jego usta poruszały się w odpowiedzi, ale ryk morza zagłuszył słowa. Mallory chwycił rumpel obiema rękami. Dziwne wiry obracały nimi w kółko - szalupa bezlito nie znosiła na skały.

Wejście do zatoki ukazało się nagle we frontowej ścianie klifu, woda kłóbiła się tam z piekielną siłą. Po jednej stronie biały pył unosił się wysoko w powietrzu, a jednocześnie wszędzie wokół tworzyły się brudne, kremowe płyty, zza których wзираły skały. Szalupa obróciła się burtą do wejścia, uniosła wysoko i uderzyła z trzaskiem o wielką, zieloną płytę skalną. Rumpel wyskoczył Mallory'emu z ręki, jednocześnie nie wyrwało zewnętrznego silnika z kawałkiem rufy.

Szalupa ześlizgnęła się po powierzchni rafy i zatrzymała na wyszczerbionej krawędzi skały, która zdruzgotała kil. Guyon pierwszy poleciał głową naprzód i wypadł przez dziób, za nim Mallory.

Francuz próbował stanąć, Mallory brnął do niego przez kipiącą topiel, próbując go dosięgnąć wyciągniętymi rękami. Na chwilę przywarli do siebie, a potem zmiotła ich kolejna fala, przewalając się przez rafę.

Guyon poszedł pod wodę i Mallory, podążając za nim, znalazł się na głębi. Chwycił Francuza za kołnierz jego kurtki i najszybciej, jak mógł, popłynął w stronę brzegu, unoszony prądem. Jego stopy dotknęły piasku, stanął więc na nogi, podtrzymując Guyona. Woda znów

kipiała na wysoko ci pasa, szarpili ci ich za ręce i nogi. Gdy fala się cofnęła, staniając się ruszyli naprzód. Stopy lizgały się na kamieniach, ale wreszcie wytoczyli się na wski pasek plaży u podnóża klifów.

Kto grał na fortepianie stary, przedwojenny numer Cole'a Portera. Utwór miał w sobie coś z nocy, coś z ciepła, miłości i nadziei, które zdawały się pochodzić z innej epoki.

Kucnąc w krzakach pod tarasem, Mallory ugrzęzł na chwilę w miejscu, nie mając siły, by iść naprzód, ani by się cofnąć. Guyon jęczał za jego plecami, wykastłując wodę. Neil pomógł mu stanąć i razem powlekli się schodami na górę.

Oszklone drzwi były uchylone, kraniec czerwonej aksamitnej zasłony wyfruwał na zewnątrz, unoszony podmuchem wiatru. Mallory nabrał tchu w piersi i otworzył szeroko drzwi.

Ogień płonął jasnym płomieniem na kamiennym palenisku. Siwe włosy Hamisha Granta błyszczały jak srebro w ciepłym świetle lampy. Generał siedział w bujanym fotelu, paląc krótkie cygaro, Anna naprzeciwko niego, wpatrzona w ogień, Fiona zaś grała na fortepianie.

Pierwsza dostrzegła ich Fiona. Nagle zaparło jej dech, a palce uderzyły w fałszywy ton. Poderwała się od instrumentu. Anna również wstała, ale bez pośpiechu, a Hamish Grant, odwróciwszy głowę, patrzył w stronę drzwi.

- Przepraszam za to - powiedział Mallory, posuwając się naprzód.

Jedną ręką obejmował plecy Guyona.

Francuzowi zebrało się nagle na wymioty i znów zaczął kaszlać. Mallory podprowadził go do krzesła przy kominku, na które Guyon opadł z ciężkim.

Anna zachowała zadziwiający spokój.

- Brandy, Fiona - powiedziała. - Szybko. Dwie szklanki.

Mallory podszedł do kominka, rozprostowując ręce przy ogniu. Woda tymczasem ciekła z jego gumowego kostiumu. Zadygotał mimowolnie, gdy poczuł ciepło. Hamish Grant wyciągnął rękę do tej ciemnej postaci o zamazanych konturach i dotknął mokrego gumowego kostiumu.

- Dziwna pora na pływanie.

- W zaistniałych okolicznościach nie mieliśmy wyboru. - Mallory zwrócił się do Anny, która przyglądała mu się badawczo. - Macie tu telefon, prawda?

Skinęła głowę.

- Połączony kablem z Guernsey, ale nie działa od wczorajszej burzy. To zdarza się często. Jest też, oczywiście, radiotelefon na „Foxhunterze”. Czy to ważne?

- Mo na by tak powiedzie . - Mallory zwrócił si nast pnie do Guyona, który łykał brandy podan mu przez Fion . - B d musiał natychmiast uda si na przysta . Skorzystam z nadajnika.

- Pójdziemy razem - powiedział Guyon. - Przebywanie tam, na dole, mo e by niebezpieczne.

- Czy mo na spodziewa si jakich wyja nie ? - zapytał ogl dnie Hamish Grant.

Mallory wzi ł swój szklank brandy, opró nił j do połowy i zakaszłał, gdy ognisty napój podra nił jego podniebienie.

- Uwa am, e w tej sytuacji powinienem wtajemniczy pana w szczegóły. Zostałem tutaj wysłany, przez wywiad brytyjski, a kapitan Guyon przez jego odpowiednik po drugiej stronie kanału. Polecono nam błyskawicznie sprawdzi de Beaumonta.

- Rozumiem - powiedział Hamish Grant. - Zakładam, e jest niebezpieczny.

- Bardzo. Jego obecne poczynania w bezpo redni sposób zagra aj interesom rz du francuskiego. To, e mo e działa z terytorium brytyjskiego, powoduje powa ne komplikacje. A poza wszystkim nie podoba nam si to, co on robi.

Hamish Grant u miechn ł si lekko.

- Jakie to dziwne. Dwa wielkie narody, zawsze jeden przy drugim od stuleci. Kłócimy si , prawda, ale s to jakby sprawy rodzinne. Kiedy sytuacja tego wymaga, wyruszamy sobie na pomoc tak szybko, e jest to a zastraszaj ce.

- Czy mog zapyta , co stało si z van Sondergardem? - powiedziała Anna.

- Zapłaciłem mu dwa razy tyle, ile ty by zaproponowała, i wyprawilem go w rejs.

- A ten incydent na nabrze u? To te było ukartowane? Tak? Przytakn ł.

- Troch wymkn ło si spod kontroli. To dlatego musiałem by tak brutalny. Przykro mi.

- Mnie nie - powiedziała zwyczajnie.

Wyci gn ł r k i dotkn ł jej twarzy. Co zaiskrzyło si g ł boko w jego oczach. Uniosła r k , przytrzymuj c jego dło przy policzku, po czym odwróciła głow , przyciskaj c usta do zimnej skóry. Przez krótk chwil wydawało si , e s sami. Inni jakby przestali istnie . Hamish Grant był tym, który uwolnił si spod uroku.

- Mam wra enie, e pierwszy krok to suche ubrania. Potrzebujecie te auta.

- Wyprowadz samochód z gara u - powiedziała szybko Fiona.

Stała przy krze le Guyona. U miechn ła si do niego, potem znikn ła za oszklonymi drzwiami. Guyon podniósł si i wyszedł tak e. Za nim z pokoju wyszli Anna i Mallory, zostawiaj c za sob stru k morskiej wody na dywanie.

Znalazła w szafie Hamisha Granta suche skarpetki, jakie stare marynarskie spodnie i par grubych swetrów i zostawiła obu przemoczonych mężczyzn w garderobie tej, by się przebrali. Kiedy dziesięć minut później zeszli na dół, Jagbir nalewał kawę do filiżanek ustawionych na stoliku przy kominku. Hamish Grant cięgle siedział w swoim fotelu, ale nie było ładnych dziewcząt. Mały Gurka podał im kawę. Jego twarz nie okazywała żadnego podniecenia. Generał powiedział:

- Wspominałem o moich kłopotach, kiedy znajdziecie się na dole, na przystani. Jak rozumiem, chodzi o groźbę ataku. Czy jesteście uzbrojeni?

Guyon odpowiedział:

- Miałem rewolwer w kieszeni kurtki. Straciłem go w morskich falach.

- Znajdziesz inny w górnej szufladzie po prawej stronie biurka, stoję tego za tobą - powiedział starzec. - Pół pudełka naboju gdzieś z tyłu. Powinien być tam również luger, ten jest już naładowany.

Guyon otworzył szufladę i wrócił z rewolwerem w jednej dłoni, a lugerem w drugiej.

- Weźcie swoje lugery - powiedział starzec. - Ja zatrzymam webleya, o ile nie macie nic przeciwko temu.

Guyon wsunął lugera do kieszeni i zaczął ładować webleya. Weszły Anna i Fiona. Obie miały na sobie grube kurtki z kołej skóry, a Anna przewidywała sobie, zwyczajem wieśniaczek, chustkę na głowie. Umiechnęła się do Mallory'ego.

- Czekamy tylko na ciebie. Łagodnie pokręć głowę.

- Nigdy w życiu. Zostaniesz tutaj.

Płytko zmarszczyła się między jej oczami, Fiona zaczęła protestować. Hamish Grant wtrącił się ostro:

- Majcie tak do kłopotów bez was obu. Fiona zwróciła się do Anny, ale jej bratowa westchnęła i potrząsnęła głową.

- Ma rację, Fiono. Tylko by my zawadzały. - Umiechnęła się do Mallory'ego. - Wiacie siedzimy i czekamy? Jak długo?

- Przy odrobinie szczęścia wszystko powinno pójść jak z płatka.

- Trzymam cię za słowo.

Dotknął na moment jej dłoni, a potem wyszedł do hallu. Furgonetka stała przy samych schodach, silnik chodził na luzie.

Usiadł za kółkiem i czekał na Guyona. Młody Francuz stał u szczytu schodów z Fioną, Anna w drzwiach za nimi. Dziewczyna wspięła się na palce, pocałowała go i po piesznie weszła do rodzka. Guyon zszedł po schodach i zajął miejsce pasażera. Twarz miał ponurą.

Mallory ruszył natychmiast. Wyjechał z bramy na białą drogę, prowadząc z boczem w dół, w kierunku przystani.

Hotel wchłonął ciemność, a zatoczka wyglądała dokładnie tak samo jak w chwili, gdy ją opuszczali: „Foxhunter” przycumowany był do jednego brzegu mola, a wynajęta łódź Guyona do drugiego.

Mallory zatrzymał się przy krańcu mola, zgasił silnik i wysiadł. Wiatło księżyca osrebrzało wodę, a niebo w nocy było jak poduszka z ciemnego, ciepłego aksamitu usiana diamentami.

- Jak na razie nie le - rzekł do Guyona i pierwszy ruszył w stronę jachtu.

Wskoczył na pokład „Foxhuntera” i wszedł do sterowni. Włoczył wiatło i zaklął cicho. Radiotelefon został wyrwany ze swej osady przy tylnej ścianie i leżał w kacie, całkowicie zniszczony. Za nim widać było toporek przeciwpożarowy.

- Tu nas jednak pobili - rzekł do siebie i popadł na pokład, a stamtąd przez salon do kabiny na rufie. Przyklękł na jedno kolano, otworzył szafkę pod swoją koją i zaczął w niej grzebać.

- Czy tego pan poszukuje, pułkownika Mallory? - spytał miękko Raoul Guyon.

Mallory zerwał się na nogi i odwrócił. Guyon stał po drugiej stronie stołu, przy otwartej szufladzie, trzymając mały elektroniczny nadajnik, który był jedynym wiązaniem Mallory'ego z jego wydziałem.

- Dobry człowiek - pochwalił Mallory i zrobił krok naprzód.

Guyon rzucił aparat na podłogę i dwukrotnie wbił w niego obcas, jednocześnie wydobywając lugera z kieszeni kurtki.

Mallory stał, wpatrując się w niego, z czołem zmarszczonym na czole, a jakiś głos powiedział:

- Znakomicie, kapitanie Guyon. Już zaczynałem w pana wtopić się.

Gdy Mallory odwrócił się, de Beaumont wyszedł z głębi bokiego cienia pokładowej kuchni. Przy jego boku stał Jacaud z rękoczynym karabinem maszynowym w dłoniach.

ROZDZIAŁ XII

DO CIEMNEJ WIECZNY

Byli teraz blisko wyspy. Marcel do połowy zmniejszył obroty silnika i powoli prowadził „Foxhuntera” w stronę ciemnego sklepienia. Lizzgacz podskakiwał za nimi na

długiej linii holowniczej. Gdy Mallory spojrział w niebo, cie napłynął od strony horyzontu i za miął gwiazdy.

Guyon stał przy barierce kilka stóp od niego, rozmawiając niskim głosem z de Beaumontem, a Jacaud opierał się o sterowni, nadal trzymając karabin maszynowy w dłoniach. Jedno oko miał na wpół przymknięte, prawą stronę twarzy obrzmiał i zeszpecon wielkim purpurowym siniakiem, ale bacznie przyglądał się Mallory'emu.

Wpłynęli w ciemne wejście. Mallory wzdygnął się, czując wilgotny chłód powietrza; potem znaleźli się w grocie. Od krańca do krańca miała około stu jardów długości i pewnie z pięćdziesiąt szerokości. Pod powierzchnią, co już odkrył wcześniej, była nawet szersza.

Długie kamienne moło było rzysięc oświetlone przez dwie lampy łukowe. Płynęli wzdłuż brzegu, po czym przycumowali za wspaniałym, czterdziestostopowym jachtem motorowym o stalowym kadłubie. Nazwa „Fleur de Lys” wymalowana na sklepieniu rufy.

Łódź podwodna była przycumowana po drugiej stronie, czarna i przysadzista w wodzie. Wyglądała nawet na mniejszą, niż Mallory przypuszczał. Około tuzina ludzi w mundurach Marynarki Francuskiej było zajętych pracami - ładowali zapasy na pokład pod nadzorem szczupłego, wyglądającego raczej chłopca co porucznika w czapce z daszkiem i dwurzędowej kurtce. Gdy weszli po krótkiej drabince na moło, podszedł do nich, niedbale salutując de Beaumontowi.

- Jak tam sprawy stoją, Fenelon? - zapytał de Beaumont. - żadnych przeszkód? Fenelon potrząsnął głową.

- Będzie gotowi zgodnie z planem.

- Dobrze, ostateczna odprawa odbędzie się o dziewięć tej rano.

Fenelon powrócił do swoich ludzi, a de Beaumont zwrócił się do Mallory'ego: - Wspaniała, prawda? I w sam raz na nasze potrzeby. Mała, nie zajmuje miejsca, potrzebuje tylko szesnastoosobowej załogi. Zna pan ten typ?

- Tylko na papierze.

- Ta ma swoją historię. Zbudowana w Deutsche Werft w 1945 roku i zatopiona z całą załogą po miesiącu działań bojowych. Po wyłowieniu została przekazana Francuzom.

- A teraz jest pańska - zauważył Mallory. - Burzliwe dzieje.

Przy przeciwległej ścianie leżało ciało przykryte brezentem, stopy w płetwach zwrócone były w jedną stronę, krew ciekła do kałuży morskiej wody, w której leżało.

- Nie udało nam się znaleźć drugiego. Pręd musiał zanieść go pod rufę. - De Beaumont pokręcił głową. - Paskudny miał mierz.

Słowa zdawały się zawierać ukrytą groźbę, ale Mallory nie dał się wciągnąć w rozmowę. De Beaumont uśmiechnął się blade i poprowadził go do miejsca, gdzie kondygnacja schodów wznosiła się na sto stóp w ciemności, okrążając się wokół jednej ze ścian grotu. Wspiął się po schodach i znalazł na kamiennym podłożu. De Beaumont prowadził dalej, ku odległemu korytarzowi. Szli mijając jakieś drzwi. Tu i ówdzie były otwarte, ukazując w ścianach olbrzymie łóżka i równo poskładane szare koce. Z bocznego wejścia dochodziły zapachy kuchenne.

Francuz otworzył drzwi do obszernego hallu, w którym wielkie drewniane belki tworzyły łuki sklepienia z cegły w mroku. Były tam szerokie marmurowe schody, a nad nimi galeria. Przy jednej ze ścian w ogromnym renesansowym kominku płonął ogień.

- Niezły widok, prawda? Jakże pięknie musieli ci wiktoriańscy przemysłowcy rzucać na prawo i lewo! I kałdym kamieniem przywieziono tu łodzi.

Jego ton był niewymuszony, wytworny. Mógłby należeć do zadowolonego z siebie gospodarza, oprowadzając go przyjaciela po swoim nowym domu. Weszli po marmurowych schodach i przemierzali galerię aż do samego końca. De Beaumont otworzył drzwi, skrywające w ścianie spiralną klatkę schodową. W pewnych odstępach rozmieszczone były szczelinowe okna i Mallory wybiegał wzrokiem daleko w morze, w miarę jak wspinali się coraz wyżej.

Doszli do kamiennego podestu i zatrzymali się przed kolejnymi drzwiami. De Beaumont wszedł, zostawiając je uchylone. W pokoju było mnóstwo sprzętu radiowego. Operator siedział przed nadajnikiem ze słuchawkami na uszach. Powstał, gdy pojawił się de Beaumont. Doszedł ich szmer rozmowy, po czym pułkownik wyszedł na zewnątrz.

Szedł dalej w górę po spiralnych schodach, za nim podążali Mallory, Guyon i Marcel, pochód zamykał Jacaud. W końcu wyszli na mały podest i de Beaumont otworzył ostatnie drzwi.

Pokój miał kształt kolisty, był całkiem spory, wygodnie umeblowany. Podłogę pokrywały perskie kobierce, w szerokim kominku jasno płonął ogień. Ściany zakrywały rzędy księgi, z wyjątkiem odcinka mającego około dwadzieścia stóp, przysłoniętego aksamitną zasłoną.

De Beaumont odciągnął ją na bok, odkrywając okno z gładką szybą.

- Jedno z moich małych ulubionych. W pogodny dzień można ujrzeć Francję. - Wskazał krzesło przy ogniu. - Proszę siadać.

Mallory usiadł na krześle, a Jacaud podszedł i stanął za nim, trzymając karabin w pogotowiu. Marcel zajął miejsce przy oknie, z rewolwerem, który trzymał w prawym ręku na

wysoko ci uda. Guyon pozostał przy drzwiach. Mallory spojrział na niego, ale Guyon spokojnie odwzajemnił spojrzenie, nie zdradzając się z niczym. Mallory odwrócił się teraz do de Beaumonta, który siedział naprzeciwko.

- Nic b d obra ał pana inteligencji, bawi c si w słown szermierk , pułkowniku Mallory - powiedział Francuz. - Przez jaki czas byłem wi niem Wietnamczyków w Indochinach. Jest niewiele rzeczy, których nie zd yli mnie nauczy , je li chodzi o wyci ganie informacji od niech tnych do współpracy. Jacaud był w moim pułku starszym oficerem dyplomowanym. Miał podobne do wiadczenia. Nie potrzebuj chyba dodawa , e powitałby z rado ci okazj do eksperymentowania.

- To wystarczy - powiedział Mallory. - Rozumiem pa skie intencje.

- wietnie - rzekł de Beaumont. - Mo emy zatem przej do interesów. Jak zd ył pan ju zapewne sam wywnioskowa , kapitan Guyon jest jakby podwójnym agentem. Kiedy Deuxieme zaoferowała mu prac , nie zdawali sobie tam sprawy, e jest ju lojalnym członkiem OAS. Najdogodniejszy układ. Guyon potwierdza fakt, e Bureau nie ma powa nych podstaw, by podejrzewa , e „L'Alouette” jest tu ukryta. Ale przydzielono go do pracy z panem na pro b brytyjskiego wywiadu; chciałbym wiedzie , dlaczego.

- Mieli my tu człowieka, który pana obserwował - powiedział Mallory. - Po prostu rutynowo, ze wzgl du na to, kim pan jest i czym pan jest. Którego wieczoru przyniósł go przyływ. Przypadkowe utoni cie - taki był werdykt koronera.

- Miał zwyczaj chodzenia na długie spacery po klifach o zmierzchu, i w dodatku z nocn lunet - powiedział de Beaumont. - Niebezpieczne zaj cie. Kto powinien był go uprzedzi .

- Tu popełnił pan bł d - odrzekł Mallory. - Dla mego szefa oznaczało to jedno: nasz człowiek zobaczył co wa nego. Zwa ywszy, e Francuzi przeczesuj ka d najmniej zatoczk po ich stronie kanału, dało to nieprzyjemne wra enie, e łód mo e by przetrzymywana na Channel Islands.

- Szkoda - powiedział de Beaumont. - W tej sytuacji musz si wyprowadzi wcze niej, ni zamierzałem. Z drugiej strony, ani moje najbli sze, ani długofalowe plany nie zostan w najmniej sposób zakłócone. - Powstał i u miechn ł si uprzejmie. - W szcz liwszych okoliczno ciach nie odmówiłbym sobie rozmowy z panem. Musimy mie ze sob sporo wspólnego. My l , e pan zrozumie, i dysponuj ograniczonym czasem.

- Naturalnie - z ironi przyznał Mallory i równie powstał.

Cz sto zastanawiał si nad tym momentem, jak przyjdzie i kiedy. Dziwne było to, e si nie bał. Był raczej zadowolony. Jacaud kr cił si za nim bez ustanku, a Marcel odszedł od ciany, ci gle trzymaj c bro przy nodze.

De Beaumont wyj ł rewolwer z kieszeni, podszedł do Guyona i podał mu go.

- Czy mo e pan pełni honory domu, kapitanie? ołnierska mier , tak my l .

Dło Guyona zacisn ła si na kolbie rewolweru. Spojrzał na Mallory'ego, twarz miał kredowobiał . Zupełnie niespodziewanie chwycił de Beaumonta za poły płaszcz, poci gaj c do przodu, po czym przytkn ł luf rewolweru do jego gardła.

Na moment wszyscy znieruchomieli, po chwili de „Beaumont za miał si cicho.

- Wie pan, nasi przyjaciele w Pary u byli ju od pewnego czasu niespokojni o pana, Guyon. Teraz rozumiem powody. Popelnia pan bł d. Spodziewałbym si , e oficer z takim do wiadzeniem poradzi sobie z odró nieniem wagi rewolweru załadowanego lepymi nabojami i tego z prawdziw amunicj .

Si gn ł po rewolwer Guyona i wyj ł mu go z r ki. Guyon rzucił okiem na Mallory'ego i u miechn ł si kwa no.

- Czasami mo na by za sprytnym, przyjacielu.

- Miło znów mie ci po swojej stronie. De Beaumont otworzył drzwi i skin ł na Marcela.

- Zabra go na dół i dobrze pilnowa . Pułkownika Mallory wy l na dół pó niej.

Zamkn ł drzwi za nimi i obrócił si do Mallory'ego z u miechem.

- Teraz wierny ju , gdzie ka dy z nas jest, i mo emy chyba wypocz przez jakie pół godziny. - Wzi ł butelk , dwa kieliszki z kredensu w rogu i powrócił na krzesło. - To naprawd jest wy mienity koniak. My l , e b dzie panu smakował.

Mallory siadł na s siednim krze le, czuj c za sob obecno Jacauda, i czekał na to, co miało nast pi . Przyj ł kieliszek koniaku, wypił odrobin i oparł si wygodnie.

- Nie rozumiem, co spodziewa si pan osi gn tym wszystkim. Morderstwa i zamachy odbior panu t odrobin poparcia, jakim pan rozporz dza.

- Dyskusyjna kwestia - powiedział de Beaumont. - Jedyna polityka, która liczy si we współczesnym wiecie, to polityka przemocy. Palestyna, Cypr i Algieria były przykładami zwyci stwa osi gni tego przez celowe i starannie przygotowane u ycie przemocy i zamachów. Mo emy zrobi to samo.

- Okoliczno ci s całkowicie odmienne, a przykłady, które pan wymienił, nietrafne, poniewa tam elementy nacjonalistyczne przeciwstawione były władzy kolonialnej. W tym wypadku Francuzi morduj Francuzów.

- Nie są godni tego miana te winie, z którymi, jak dotychczas, mieliśmy do czynienia. Krzykacze, liberałowie i polityczni intryganci. Wymocili sobie gniazdko w czasie, gdy ja i mnie podobni gniliśmy w obozach Wietnamczyków. - De Beaumont zaś miał się gorzko. - Pamiętam tam bardzo dobrze nasz powrót do domu. Dokerzy komunistów ci wygwizdy wali nas na całej drodze do Marsylii.

- Dawne dzieje - powiedział Mallory. - Nikt nie chce o tym pamiętać. W każdym razie, gdyby nie doświadczyli czegoś podobnego, nie wiedzieliby nawet, o czym pan mówi.

- Ale pan doświadczył - powiedział de Beaumont. - W głębi duszy rozumiem, o co panu chodzi. Dostał pan twardą lekcję od Chińczyków. Klaramente pan to wyłożył drukiem w swojej książce. Co się stało, gdy teoria przeszła w praktykę?

Wpatrywał się w ogień, ze zmarszczonymi brwiami.

- W Algierii zanosilo się na coś innego, byliśmy tego pewni. Walczyliśmy z fellami w jebeli w górach Atlasu, w spiekocie Sahary, na ulicach Algieru i zwyciężaliśmy ich. W końcu mieliśmy nóż na gardle. - Odwrócił się do Mallory'ego. - Brałem udział w zamachu wojskowym 13 maja 1958 roku. Nie dali nam żadnego wyboru. Zaaresztowaliby mnie i moich przyjaciół, osadzili pod zmyślonymi zarzutami okrucieństwa, fabrykowanymi po to, by zadowolić krzykaczy i ich popleczników tam do domu, w Paryżu. Doprowadzili my de Gaulle'a do władzy, bo uwierzyli my w ideał francuskiej Algierii, wielkiej Francji.

- A kiedy stanął u steru władzy, zrobił dokładnie coś przeciwnego waszym zamiarom - zauważył Mallory. - Jedną z wielkich ironii powojennej historii.

De Beaumont przełknął jeszcze trochę koniaku i mówił dalej.

- Na jeszcze większą ironię zakrawa fakt, że ja, Filip de Beaumont, potomek jednej z najwzrostszych francuskich rodzin wojskowych, pomogłem obywatelom, którzy zniszczyli wielkość tego kraju.

- To się jeszcze okaże - odparł Mallory. - Wydaje mi się, że poczynaniami de Gaulle'a kierowała jedna jedyna rzecz - głębi patriotyzm. Cokolwiek robił, robił to, ponieważ sądził, że najlepiej służy Francji.

De Beaumont wzruszył ramionami.

- Wiem, nie zgadzamy się? Ma to niewielkie znaczenie. Po wizycie w St. Mało trzeciego następnego miesiąca nie będzie stanowił problemu.

- Nie wiem, co pan ma na myśli, ale nie liczyłbym na nic. Ile razy pańscy ludzie zawiedli? Osiem, czy nie tak?

- Pochlebiam sobie, że moja organizacja odnosiła większe sukcesy. Te sprawy wymagają wyuczonego umysłu, Mallory. Operacja militarna, którą opracowałem,

zaplanowana jest do najdrobniejszych szczegółów w warunkach cisłej tajemnicy. Spraw „L’Alouette” zajmowałem się osobiście od samego początku. Moi współpracownicy w Paryżu nic o tym nie wiedzą. Pracuj wyłącznie na własny rachunek i używaj ich tylko jako dostawców informacji.

Mallory pokręcił głową.

- Nie udało się panu przetrwać tak długo. Działa pan na zbyt wielką skalę. Już „L’Alouette” stała się ciężarem w każdym niemal przypadku.

- Jest pan w błędzie. - De Beaumont podniósł się, wziął parę map z kredensu obok krzesła i podszedł do małego stolika.

- Pan pozwoli tutaj. Zainteresuje to pana.

Były to mapy admiralicji obejmujące obszar między Guernsey i wybrzeżem Francji; złączył je szybko.

- Tu jest Ile de Roc i St. Pierre, trzydzieści mil na południowy zachód od Guernsey. Najbliższym skrawkiem Francji jest Point de Chateau, tylko dwadzieścia mil stąd. Zna pan ten obszar?

Mallory potrząsnął głową.

- Najbliższym miejscem, gdzie byłem, jest Brest.

- Niebezpieczne wybrzeże, pełne małych wysepek i raf, opuszczone i dzikie. Zauważ pan Ile de Monte jedynie kilka mil od brzegu, na wprost bagien Gironde. Na wyspie jest mała chata, może jakie pół mili w głąb bagien, przy głównej zatoce. Osiem mil od drogi i zupełnie samotna. Nawet telefonu nie ma. Mieszka tam obecnie tylko dwoje ludzi.

- I są panu potrzebni?

- Tylko on. Henri Granville.

Mallory wyprostował się, marszcząc brwi.

- Ma pan na myśli sędziego Granville’a, prokuratora generalnego, który odszedł na emeryturę w zeszłym miesiącu?

- Gratuluję panu drobiazgowej znajomości spraw Francji. Przybył tam z nim wczoraj. Są zupełnie sami. Oczywiście, nikt o tym nie może wiedzieć. On lubi samotność. Samotność i ptaki. Na jego nieszczyście mój łącznik w Paryżu zdobył wiadomości o jego wyjeździe zeszłej nocy i od razu mi to przekazał. Wysłałem tam dzielną Jacauda na „L’Alouette”. Egzekucja sędziego powinna wywołać niemały wstrząs.

- Oszalał pan - powiedział Mallory. - To starzec. Lada dziekiemu czy osiemdziesiąt lat. A nade wszystko to jeden z najbardziej lubianych ludzi we Francji. Na miłość boską, jak dywielbia Granville’a. Polityka nie ma tu nic do rzeczy.

- Jak dotąd trzy razy przewodniczył trybunałom, które skazały moich starych towarzyszy na śmierć - odparł de Beaumont. - Teraz musi ponieść tego konsekwencje. Uderzając w Granville'a, udowodnimy raz na zawsze, że jesteście mi siłą, z którą należy się liczyć. Nie ma człowieka, nawet u szczytu władzy, niezależnie od jego pozycji społecznej, który nie umknie przed naszym zemstwem.

- Henri Granville nigdy w życiu nie skazał nikogo nie mając po temu podstaw. Zróbcie mu jakkolwiek krzywdę, a ci gniecie na siebie gromy. - Mallory pokręcił głową. - Nie ujdzie wam to na sucho.

De Beaumont uśmiechnął się lekko, podszedł do ognia i nalał sobie jeszcze koniaku.

- Myli pan, czy nie? - Przełknął łyżeczkę i westchnął. - Odłóż pańską egzekucję do wieczora. Do tego czasu wróci już Jacaud. Sprawi mi satysfakcję posłanie pana na śmierć z wiadomością, że poprzedził pana Henri Granville.

- To się jeszcze okaże - powiedział Mallory. De Beaumont odwrócił się i wskazał postrzępiony sztandar bitewny, wiszący nad kominkiem.

- Jeden z moich przodków uniósł go spod Waterloo, kiedy zastrzelono chorążego. Ten kawałek materiału był też ze mną w Dien-Bien-Phu. Udało mi się przetrwać z nim wszystkie gorzkie miesiące niewoli. Proszę zwrócić uwagę, że nosi on dewizę de Beaumontów.

- Kto o nim miał się, zwycięzca - przeczytał Mallory.

- Pamiętałbym o tym na pana miejscu.

- Ale pan zdaje się o czym zapomina - powiedział Mallory. - Gdy pański przodek podnosił ten sztandar pod Waterloo, nie niósł go do boju sam. Przez całą drogę wspierał go pułk gwardii, a pod Dien-Bien-Phu, o ile pamiętam, dowodził pan pułkiem spadochroniarzy kolonialnych. Tak więc ja mówię o Francji. O prawdziwej Francji. Tej, której pan wcale nie zna.

Co przez chwilę zapaliło się w oczach de Beaumonta, ale powściągnął swój gniew i zmusił się do uśmiechu.

- Zabierz go na dół, Jacaud. Niech on i Guyon spędzą swe ostatnie godziny, próbując rozwiązać nierozwiązalny problem. Ta myśl bawi mnie.

Jacaud pchnął Mallory'ego w stronę drzwi. Gdy je otwierał, de Beaumont powiedział cicho:

- Aha, Jacaud, kiedy po raz kolejny ujrzę pułkownika Mallory, chcę, żeby był w takim stanie jak teraz. Jasne?

Jacaud odwrócił się gwałtownie, pomruk wydobył się z jego gardła. Przez chwilę wydawało się, że sprzeciwi się de Beaumontowi, jednak obrócił się i popchnął Mallory'ego naprzód.

Zeszli po spiralnych schodach w dół, Mallory przodem; cały czas czuł karabin maszynowy za swymi plecami. W galerii panował półmrok, ogień był już tylko kupa arcycego się popiołu. Minęli hali i przeszli przez drzwi prowadzące do pomieszczeń mieszkalnych i grotty.

Na końcu długiego, wybielonego korytarza natknęli się na Marcela. Siedział na krześle przed drzwiami z rewolwerem przypiętym do pasa. Czytał gazetę.

Podniósł głowę i pytając spojrzał na Jacauda.

- Kiedy?

- Dziś wieczorem, gdy wrócisz z 1 du.- Jacaud zwrócił się do Mallory'ego, poklepując swój karabin. Czerwone wiatelko zdawało się rozpraszać jego zimne oczy. - Osobiście, pułkownik Mallory.

Mallory wszedł do celi. Gdy szczyknęły za nim drzwi, Guyon wyciągnął nogi na podłogę i siedział patrząc na niego. Nagle uśmiechnął się.

- Czy jakimś przypadkiem nie masz przy sobie takiej rzeczy jak papieros?

ROZDZIAŁ XIII

RADA WOJENNA

- Straciłem wszelką wiarę, a także zainteresowanie tym, co dobre i złe. W końcu wierzy się tylko przyjaciółom, towarzyszowi walki, któremu poprzedniej nocy podcięto gardło. Tego właśnie nauczyło mnie sześć lat spędzonych w Algierii.

Raoul Guyon stał przy małym, okratowanym okienku, wpatrując się w noc. Kiedy się odwrócił, wyglądał na zmęczonego.

- I z tego powodu wstąpiłeś do OAS? - zapytał Mallory.

Guyon pokręcił głową.

- Byłem w Algierii w 1958 roku. Widziałem tyle krwi, że przyprawiało mnie to o wymioty. Była tam jedna młoda Mauretanka. Jakiś czas próbowaliśmy razem znaleźć schronienie przed burzą. Któregoś ranka znaleźliśmy ją na plaży, obnażoną, okaleczoną. Musiałem być przy identyfikacji zwłok. Następnego dnia zostałem ciężko ranny. Wysłano

mnie do Francji na rekonwalescencję. Kiedy wróciłem, moi koledzy zdawali się widzieć tylko jedno wyjście. Przywrócić de Gaulle'a.

- Brałem udział w pierwotnym spisku? Guyon wzruszył ramionami.

- Byłem na jego marginesie. Jeszcze jeden młody oficer. Ale dla mnie de Gaulle oznaczał porządek przeciw chaosowi. Później więc nas przeniesiono do innych oddziałów. Ja spędziłem pięć miesięcy z Korpusem Wielbłądów w Hoggarze.

- Czy znalazłeś to, czego szukałeś?

- Prawie tak - odrzekł Guyon. - Był taki dźwięk upału i pragnienia, kiedy prawie to miałem, kiedy lśniły skały, góry tańczyły w niebieskiej mgiele, a ja byłem człowiekiem tego wszystkiego. Prawie, ale nie do końca.

- Co się potem wydarzyło?

- Wysłano mnie z powrotem do Algierii, do jednego z najgorszych okręgów. Tylko strach i drut kolczasty. Przemoc szerzyła się tam jak epidemia, a życie nie było już nawet aktem wiary. Zostałem ponownie ranny w zeszłym roku, przed nieudanym zamachem generała Challe'a. Niegroźnie ranny, ale to wystarczyło, by dać mi usprawiedliwione wymówki przy składaniu prośby o przeniesienie na bezpłatny urlop. W noc przed moim wyjazdem odwiedził mnie w pokoju hotelowym Legrande. Zaproponował mi pracę w Deuxieme Bureau.

- Którą przyjmiesz?

- W jakim specyficznym sensie był to dla mnie rodzaj ucieczki. Później, w Paryżu, zainteresowali się mną agenci OAS. Jako były oficer komandosów, zwolennik pierwotnego zamachu, który przywrócił de Gaulle'a do władzy, musiałem wydawać się oczywistym celem.

- Poinformowałeś o tym Legrande'a?

- Gdy tylko zdołałem się z nim skontaktować. To było mieszane. Nie musiałem nawet dokonywać wyboru. Stało się tak, jakby to zostało już za mnie zrobione. Powiedział mi, bym przyjął propozycję.

Z jego punktu widzenia agent, mający również i takie kontakty, był oczywiście cenny.

- A jednak poinformowano nas, że Deuxieme w zasadzie nie podejrzewa de Beaumonta. Z pewnością ci musiało coś o nim wiedzieć przez swoich paryskich współpracowników z drugiej strony?

- Niezupełnie. Tak naprawdę działałem na peryferiach organizacji. Nazwisko de Beaumonta wymieniano jako nazwisko człowieka sympatyzującego z naszymi celami. Z drugiej strony, jego poglądy polityczne są szeroko znane we Francji. Z pewnością ci nie było nigdy żadnej wskazówki, że mógłby być aktywnym działaczem.

- I tak przez cały ten czas nie mieli do ciebie zastrzeżeń ?

- Tak oczywiście myślałem. Byłem nowym pracownikiem Deuxieme, dlatego moje źródła informacji z konieczności ci musiały być ograniczone, ale przekazywałem wybrane wiadomości ci o rozkazach Legrande'a. Nigdy nie udało mi się zbliżyć do jakichś naprawdę znaczących osób, ale pracowałem na to. W dwóch przypadkach Legrande zezwolił mi nawet uprzedzić jakieś plotki, kiedy groziło im aresztowanie.

- A co z „L'Alouette”?

- To była rzecz, która zdumiewała nas od początku. Zupełny brak informacji na temat miejsca jej pobytu, nawet w kręgach OAS. Ze względu na to Legrande polecił mi, abym poinformował moich paryskich współpracowników, że wysłano mnie na Channel Islands tylko w celu przeprowadzenia rutynowej kontroli de Beaumonta, upewnienia się, że prowadzi się należytą pracę. Legrande uważał, iż w ten sposób raz na zawsze udowodni, że istnieją jakieś określone powiązania.

- Nie widział potrzeby informowania o tym mojej strony.

- Przykro mi z tego powodu, ale Legrande nigdy nie żyje w teraźniejszości - tylko w przyszłości. Przewidywał możliwą sytuację, w której by inne moje poczynania mogły okazać się użyteczne. W tych okolicznościach wydawało się rozsądniejsze przedstawić mnie po prostu jako Raoula Guyona, akredytowanego agenta Bureau i nic ponadto.

- Widzisz, że stary lis ci głębiej jest wyznawcą zasady, iż nie należy przedwcześnie ujawniać swych atutów - powiedział Mallory. - Widział to w jego pokerowej rozgrywce.

- Uwaga osobliwie zbliża ona do opinii, jaką wygłosił o tobie tu przed moim odjazdem. Mallory za nią miał się.

- Jedną rzecz przynajmniej okazała się niezaprzeczalna. De Beaumont na pewno ma powiązania z OAS w Paryżu, ponieważ ostrzeżono go, że ty przybywasz. Nie rozumiem tylko jednego: dlaczego nie zdziwiło go to, że nie powiedziały im o sprawie „L'Alouette”?

- To była pierwsza rzecz, o którą zapytał, gdy pojawił się na łodzi. Trudno na takie pytanie odpowiedzieć.

- Cóż ci mu powiedziały ?

- ... że Bureau uważa, iż cała ta sprawa jest dziełem niezależnej grupy. Że osobiście upewniła mnie o tym całkowite niewiedza o sprawie w kręgach OAS. Że jako były oficer komandosów, który brał udział w zamachu z czerwca pięćdziesiątego ósmego tylko po to, by zostać zdradzonym przez de Gaulle'a, o wiele bardziej wolałbym pracować z nim.

- I uwierzył ci?

- Na to wtedy wyglądało.

- Mnie się ta argumentacja wydaje mocno naciągana.

- Tak samo musiał myśleć de Beaumont. - Guyon uśmiechnął się kwaśno. - Z drugiej strony nie zdążyłem wymyślić lepszego i zrobiłem ruch przeciwko tobie, zanim oni się na zdobylili, pamiętasz?

- To było pomyślane błyskawicznie. Młody Francuz wzruszył ramionami.

- Kiedy zobaczyłem, co zrobili z radiotelefonem, logiczne było przypuszczenie, że wciśnięta na pokładzie i że jesteście pod obserwacją. Wydawało mi się rozsądne uwiarygodnić moje postępowanie, kiedy jeszcze było to możliwe, a pamiętałem, że tego popołudnia wkładała nadajnik do szuflady w stole.

- To nigdy przedtem nie spotkałaś de Beaumonta?

Guyon pokręcił przecząco głową.

- Jak ci już wspominałem, widziałem go tylko jako człowieka z tłumu. Oczywiście, sporo o nim wiedziałem. Był, jak wiesz, jednym z naprawdę wielkich oficerów komandosów.

- Rozważałem wszystko, co mówił mi tam, na górze - powiedział Mallory. - Nic z tego tak naprawdę nie ma sensu. W końcu musi przegrać. Zabicie tak wspaniałego staruszka, jakim jest Henri Granville, wystarczy, by odebrał jemu i tym, którzy mylą jak on, sporo sympatii... De Beaumont jednak posuwa się dalej. Zastanawiam się, dlaczego.

- Zawsze był dziwnym człowiekiem. Ascet. Skrzykaniem fanatyka religijnego i ołnierza. Kapitulacja pod Dien-Bien-Phu, upokorzenia wietnamskich obozów i błądce ich konsekwencji wycofanie się z Indochin były dla niego źródłem palącego wstydu. Jak wielu jemu podobnych przysięgł sobie, że to się więcej nie powtórzy.

- A mimo wszystko sprawił, że się powtarza. Guyon przytaknął.

- De Beaumont jest ostatnim potomkiem bardzo czcigodnej rodziny. Jej spadkobiercą jest brat Filipa, profesor historii politycznej na Sorbonie. Człowiek o zdeklarowanych sympatiach lewicowych. Jeden z jego przodków należał do nielicznych arystokratów, którzy w pełni poparli rewolucję w 1789 roku, inny był generałem za Napoleona. Przez sto pięćdziesiąt lat de Beaumontowie tworzyli jedną z najwładniejszych rodzin francuskich.

- Gdyby musiano aresztować Beaumonta, byłoby to coś w rodzaju klęski narodowej.

- Dokładnie. Rzecz nie posiadała się z radością, gdy de Beaumont zdecydował się osiedlić na Channel Islands. Wtedy władzom wydawało się, że pozbywają się kłopotliwego problemu.

- Który teraz powraca - wtrącił Mallory. - Właściwie nie problem, lecz problemy.

- Myślisz o jego groźbie pozbycia się de Gaulle'a podczas wizyty generała w St. Mało w przyszłym miesiącu? - Guyon wzruszył ramionami, położył się na innym łóżku, układając

rece pod głow . - Ja się tym zbytnio nie przejmuję . Nie dostanę de Gaulle'a. On jest niezniszczalny. Jak jedna z tych skał tam, na rafie, po sztormie. Trochę bardziej zwietrzała, ale wciąż stoi.

- Pozostaje jednak sprawa Granville'a - przypominał Mallory. - A najgorsze w niej jest to, że, do diabła, nic nie możemy zrobić .

Zapalił papierosa i położył się na plecach. Patrzył w sufit, jeszcze raz przebiegał myślą o wydarzeniach ostatnich kilku godzin. Po chwili powiedział miłośnikowi:

- Podstawową zasadą w tej grze jest to, że zadanie musi być nieważniejsze od wszystkiego. Wiem, że ludzie, z którymi pracowałem, znalazłszy się w twojej sytuacji, grałoby dalej z Beaumontem, nawet rozstrzeliby mnie, gdyby to było konieczne.

- Byłbym może widziałem tę sytuację w inny sposób - odrzekł Guyon.

- Poruszała się tak szybko, że nawet nie zauważyła różnicy w wadze naboju... były lekkie. Dlaczego?

- Sam siebie pytałem o to przez ostatnią godzinę, a może i dłużej. Niełatwo mi wytłumaczyć ten fakt. Powiedzmy, że nagle ludzie stali się dla mnie znowu ważni, i na tym poprzestałem.

Odwrócił się twarzą do ściany, a Mallory, leżąc paląc papierosa i myślał, jakie to dziwne, że młody człowiek, który czuł się całkowicie wypalony płomieniami dwóch okrutnych wojen, został przywrócony do życia przez to najstarsze i najbardziej elementarne ludzkie uczucie - miłość .

Był zżymiony, zeszywniał i bolały go wszystkie członki. Naciągnął koc na nogi i spojrzał na zegarek. Dochodziła pięta rano. Leżał w ciemności, wsłuchując się w deszcz i wiatr. Po chwili znów zapadł w sen.

Poczuł, że ktoś go szturchnął, i otworzył oczy. Raoul Guyon kucnął przy nim. Szare światło syciło się do pokoju przez okratowane okno. Mallory spuścił nogi na podłogę .

- Ci głębiej pada? Guyon przytaknął.

- Nie przestawało przez całą noc. Jest prawie ósma.

Mallory podszedł do drzwi i wyjrzał przez szklaną kratę na korytarz. Młody marynarz siedział na krześle i coś czytał. Ciężki Słubowski rewolwer zwisał w kaburze u pasa.

Mallory podszedł do okna. Otworzyło się z łatwością, ale kraty, wmurowane po obu stronach w skałę, były mocne i trwałe. Spojrzał na szary poranek, wodząc wzrokiem od rafy do Ile de Roc. Deszcz padał ukośnie i widocznie była słaba, zimna mgiełka unosiła się tuż nad powierzchnią wody.

- Zastanawiam się, co oni tam robią - powiedział za jego plecami Guyon.

- Musieli si zorientowa , e co poszło le. - Mallory wzruszył ramionami. - Je eli maj troch rozs dku, sprowadzili ju Owena Morgana, a sami udali si twoj łodzi na Guernsey szuka pomocy.

- Z pewno ci de Beaumont rozwa ył i tak mo liwo .

- Tak s dz . Wła nie to mnie martwi.

Szcz kn ły zasuwy i otworzyły si drzwi. Gdy obaj si odwrócili, wszedł Marcel i z rewolwerem w prawej r ce stan ł przy cianie. Za nim ukazał si młody marynarz, nios cy tac , któr postawił zaraz na łó ku. Wycofali si , nie mówi c ani słowa, i ponownie zaryglowali drzwi.

Jedzenie było skromne, chleb, ser i gor ca kawa. Nagle Mallory u wiadomił sobie, jak bardzo jest głodny. Usiedli po obu stronach tacy, zjedli i zako czyli posiłek dziel c si ostatnim papierosem. Pó niej Mallory le ał na łó ku czekaj c, a co si zdarzy, podczas gdy Guyon spacerował nieustannie po celi. Deszcz tłukł o szyb . Była prawie dziesi ta, gdy drzwi otworzyły si ponownie i weszli de Beaumont z Marcelem.

De Beaumont wydawał si w dobrym humorze, u miechn ł si rado nie.

- Dzie dobry, panowie. Ufam, e spali cie dobrze. Macie odpowiedni kwater ?

- Widziałem gorsze - przyznał Mallory.

- Czy mog co dla was zrobi ?

- Ostatnie yczenie skaza ca? - Mallory wzruszył ramionami. - Przydałaby si nam paczka papierosów. To chyba wszystko.

Marcel wyj ł z kieszeni pudełko gauloise'ów i rzucił je na łó ko.

- Co jeszcze? - uprzejmie zapytał de Beaumont.

Mallory wło ył papierosa do ust i rzucił paczk Guyonowi.

- Nie s dz .

- W takim razie panowie mi wybacz ? Zaciekawi was pewnie, e Jacaud i jego ludzie wyruszyli w stron Point du Chateau pi tna cie minut temu, zgodnie z planem. W tej sytuacji my l , e nadszedł czas, bym zło ył wizyt naszym przyjaciołom na Ile de Roc.

- Nie liczyłbym na to, e kto b dzie tam na pana czekał.

- O, na pewno tam b d , zapewniam pana. De Beaumont u miechn ł si niewyra nie, jakby bawił go jaki jemu tylko znany dowcip, skin ł na Marcela i wyszedł. Drzwi zamkn ły si , a zasuwy zatrzasn ły ze zgrzytliw ostateczno ci .

Guyon odwrócił si z gestem rozpaczy, a Mallory dał mu znak, by si nie odzywał. Kiedy podszedł do drzwi, młody marynarz siedział ju z powrotem na krze le, czytaj c jakie czasopismo. Mallory podszedł do okna i wyjrzał przez nie. Minut czy dwie wcze niej słyszał

odgłos silnika. W polu widzenia pojawił się „Foxhunter”, sunący wzdłuż brzegu rafy ku Ile de Roc.

- Płyń tam.

Guyon ruszył w stronę okna, wyjrzał na zewnątrz i spochmurniał.

- Ale dlaczego wziął „Foxhuntera”?

- Podczas krótkiego rejsu, łatwiejszy w obsłudze niż „Fleur de Lys”, a dla lizgacza z kolei trasa za długa.

Guyon, myśląc o Pionie, rzucił papierosa i ze złości wgniół go w podłogę.

- Nie podobała mi się jego ostatnia uwaga. Brzmiało to, jakby był całkowicie pewny swego. Jakby wiedział na pewno, że generał i dziewczyny wciąż będą na wyspie.

- Przypuszczam, że wie - powiedział Mallory. - To była długa noc. Mógł w tym czasie wiele zrobić, ale nie o to w tej chwili chodzi. Prawdopodobnie chce je tutaj przywieść, by przetrzymał w odosobnieniu, dopóki nie będzie mógł się wyprowadzić.

- Możesz mi rację.

- Myśl raczej o Henri Granville’u, który siedzi w środku bagien Gironde, nie wiadomo tego, że jeszcze dziś po południu ktoś zapuka do jego drzwi. Widz już ten uśmiech Jacauda.

- I nic na to nie możemy poradzić.

- Moglibyśmy wiele, gdyby udało się się wydostać. Na wieś jest przecież pokój radiotelegrafisty, a może lepiej postawić na „Fleur de Lys”? Łódź tej wielkości musi mieć radiotelefon.

Guyon pokręcił głową.

- Te bagna są jednym z najbardziej odosobnionych miejsc na całym wybrzeżu. Nawet gdybyśmy zdołali skontaktować się z moimi ludźmi w Paryżu, byłoby za późno, by pomóc Granville’owi. Nie dotarliby do niego na czas.

- Ale my możemy dotrzeć - powiedział Mallory. - „L’Alouette” będzie musiała odbyć cały kurs przy zanurzeniu. To zabierze jej dobre trzy godziny..

- Wypłynęła już prawie godzinę temu - zauważył Guyon.

- „Fleur de Lys” osiągnie dwukrotnie większą szybkość. Wciąż jeszcze możemy pokazać figę Jacaudowi.

Pod warunkiem, że wydostaniemy się stąd w ciągu najbliższych trzydziestu minut - powiedział Guyon. - Ale ja przestałem wierzyć w cuda już dawno temu.

- Nie potrzebujemy cudu. Tylko nieco szczęścia. - Mallory posadził go z powrotem na łódkę. - Teraz uważaj.

W korytarzu było zimno, młody marynarz zadygotał i podniósł się z miejsca. Potupał z werwą, by pobudzić krwawienie, i odszedł kilka kroków od krzesła. Był znudzony. Trochę się równie bał. Na początku cała ta akcja wydawała się wielką przygodą, jak krucjata. Teraz nie był już tego pewien. Zawrócił z powrotem do krzesła i wtedy z celi dobiegł stłumiony krzyk.

Przystanął z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Rozległ się kolejny krzyk, po czym nastąpił trzask przewracanego łóżka. Podeszedł do kraty w chwili, gdy Guyon walił Mallory'ego pięścią po twarzy, posyłając go na ścianę.

- Ty mnie w to wrobiłeś, ty gnoju! - krzyczał młody Francuz. - Zabijcie go! Zabijcie go!

Rzucił się naprzód, Mallory uchylił się przed kolejnym ciosem, przysunął się blisko i podstawił Guyonowi nogę. W chwili później klęczał na piersi Guyona, zaciskając ręce na jego kołnierzu, i dusił z wprawą.

Młody marynarz podniósł ostrzegawczy krzyk. Odryglował drzwi i wkroczył do celi z odbezpieczonym rewolwerem w prawej dłoni. Chwytnie chwycił ręką za kołnierz Mallory'ego, ale wtedy, ku jego zdumieniu, Guyon zerwał się z podłogi, gwałtownie cisnął go za nadgarstek i wytrącił mu broń z ręki. Usta marynarza otworzyły się, by podnieść alarm, ale nie wydostał się z nich ani dźwięk, bo pięść Mallory'ego zatoczyła krótki łuk i wylądowała na jego szczękach.

Mallory podniósł rewolwer, skinął na Guyona i szybko wyszli z celi. Było cicho i spokojnie. Guyon zaryglował drzwi i objął podbródek przed siebie.

Wszędzie panował dziwny spokój, a doszli do głównego korytarza, gdzie usłyszeli głosy dobiegające z pewnej odległości i brzęk garnków z kuchni. Korytarz kołysał się drzwiami. Mallory ostro nie je otworzył i wstąpił na podest u szczytu schodów, które prowadziły do grotty.

Molo było puste. „Fleur de Lys” i lizgacz były jedynymi statkami przycumowanymi do ciany. Szybko zeszli po kamiennych schodach, zatrzymali się na chwilę u ich podnóża, po czym po pieszyli ku „Fleur de Lys”.

Kiedy weszli do sterowni, zobaczyli od razu, że radiotelefon został usunięty ze swego miejsca na ścianie. Mallory uśmiechnął się szeptem.

- To ostro wygląda, trzeba mu to przyznać.

- Należałoby się tego spodziewać. - Guyon wzruszył ramionami. - Dobry żołnierz stara się przewidzieć każdą ewentualność. - Rozejrzył się wokół i pokręcił głową. - Cholernie duży to miejsce jak na nas dwóch.

- Poradzimy sobie - powiedział Mallory. - Będziemy musieli.

W zbiorniku jest pod dostatkiem paliwa, to najwłaśniejsze. Idź odczepiemy cumy i wyruszamy.

Guyon szybko poszedł naprzód i odwiął pierwszy link. Gdy zabierał się za to na rufie, usłyszał chrapliwy krzyk. Kiedy uniósł głowę, zobaczył marynarza stojącego na podłożu u szczytu schodów. Pobiegł przez pokład i odrzucił kolejny link. Marynarz wyciągnął rewolwer i schodząc po schodach, oddał dwa strzały na odep. Ale było już za późno. Silniki zaczęły pracować i Mallory wyprowadził „Fleur de Lys” z groty. Pył wodny rozpryskiwał się na oknach, fale przelewały się przez pokład, kiedy jacht przechodził przez zawietrzną stronę rafy. Następnie Mallory ustawił kurs na Point du Chateau.

ROZDZIAŁ XIV

PRÓBA SIŁ

Hamish Grant otworzył drzwi, wsłuchując się w odgłos spokojnego oddychania. Fiona wyciągnęła się na sofie, Anna spała na krześle, koc okrywał jej nogi.

Gdy zamykał drzwi, podniosła powieki i spytała cicho:

- Która godzina?

- Trochę po ósmej. Jagbir zaparzył ci herbaty.

Powstała, otuliła kocem Fiona i wyszła za nim.

- A ich ani śladu? Staruszek potrzebował głowę.

- Jeszcze nie.

Kuchnia wychodząca na dziedziniec była wielkim i przyjemnym pokojem, z niskim stropem, podpartym belkami. Jagbir smażył jajka na piecu. Kiedy ujrzał Annę, nalał filiżankę herbaty i podał jej. Stała na wprost ognia, pijąc powoli.

Na zewnątrz, za szerokim oknem, widać było chmury wiszące nad polami. Deszcz ciekł z rynien, a brzozy cię przesuwają się po kocich łbach. Podeszła do okna i spojrzała na deszcz myślała o Mallorym.

Hamish Grant stanął za nią i uciszył jej rękę.

- Powiedział, że to zabierze czas aż do niadania. Nie przejmowałbym się za bardzo o twoim miejscu.

- Nie przejmuj się - odrzekła. Jedyną rzeczą, której jestem pewna, to to, że Neil potrafi zadbać o siebie. Spodziewałam się jednak, że wcześniej się do nas odezwie.

- Z dużym prawdopodobieństwem wkrótce to zrobi.

Skończyła herbatę i ruszyła w stronę drzwi.

- Chyba pobiegła na dół do przystani i zobacz, co się tam dzieje.

- Wyłóż z tobą Jagbira. Potrzebujemy przeczco głowę.

- Niech szykuje dalej wiadanie. Nie zabawi długo. Nie ma potrzeby budzić Fiony, dopóki nie wróci. Sen dobrze jej robi.

Przeszła przez halę, naciągnęła kurtkę z kołnierzykiem i wyszła frontowymi drzwiami. Padał rzysisty deszcz. Gdy schodziła podjazdem w kierunku bramy, przewięzała sobie włosy chustką. Widocznie była słaba; szara, lepka mgła napływała płatami nad wodę. Główne wzniesienie wyspy wyglądało bardzo zielono na tle ołowianego nieba. Pospieszyła dalej drogą i zatrzymała się na szczycie wzgórza, by spojrzeć na przystań. Przycumowana była tam tylko jedna łódź, motorówka Raoula Guyona, a furgonetka stała zaparkowana przy krańcu mola.

Szybko zeszła po zboczu, skracając sobie drogę przez mokre trawy. Furgonetka była pokryta rosą, silnik zimny. Przystanęła na chwilę, marszcząc brwi, potem przemierzyła nabrzeże i wstąpiła na pokład motorówki Guyona. Zajrzała do saloniku, lustrując przez chwilę wnętrza, po czym wyszła.

Przystanęła znowu, marszcząc nos. W wiełym porannym powietrzu wyczuła cięski, gryzący zapach benzyny. Wyciekała do wody spod drzwi maszynowni. Otworzyła je i ujrzała platanin rozszarpanych przewodów i rozkręconych zaworów.

Przyklękła na jedno kolano, by obejrzeć silnik. Miała kompletną pustkę w głowie. Gdy zamierzała powstać, na drewnianym pomoście mola zadudniły głucho kroki. Owen Morgan zawołał:

- Halo, tam w dole!

Anna wyszła po schodach na górę, gdy on wchodził na pokład. Miał na sobie starą, niebieską kurtkę pilota i gumowe buty. Deszcz posrebrzył jego siwe włosy. Uśmiechnął się, ale mina mu zrzędnęła na widok jej zatroskanej twarzy.

- Co złego?

- Proszę rzucić okiem na silnik. Szybko zszedł pod pokład. Kiedy powrócił, miał poważny wyraz twarzy.

- Dlaczego ktoś zrobił coś takiego?

- Chciał mnie pewnie, ale nie wydestaniemy się z wyspy - powiedziała. Spochmurniał nagle.

- Słuchaj, może by cię tak dopuścił mnie do tajemnicy i wyjaśnil, co się dzieje? Gdzie jest „Foxhunter?” Słyszałem, jak wypływał dziś wczesnym rankiem.

- To musiał by pułkownik Mallory i monsieur Guyon - powiedziała. - Powinni ju by z powrotem. Mam powa ne obawy, czy co im si nie przytrafiło.

- Mog mie jakie kłopoty?

- Mog , ale nie ma teraz czasu na wyja nienia, Owen. Musimy jak najszybciej dosta si do Guernsey. Co z twoj motorówk ?

- Dwa dni temu przyholowałem j do przystani i zabezpieczyłem na zim - powiedział. - Nie ma problemu, eby sprowadzi j z powrotem na dół, je li to takie pilne. Mog przygotowa j do rejsu w ci gu pół godziny.

- Zrób to - poleciła Anna. - Ja pójd do domu po innych. Wytlumacz wszystko obszerniej po powrocie.

Przebyła szybkim krokiem molo, zasiadła za kierownic i wł czyła stacyjk . Silnik długo si dławił, wreszcie zapalił.

Owen szedł z boczem. Był ju w połowie drogi do przystani znajduj cej si przy hotelu, kiedy wreszcie odjechała. Twarz Walijczyka pokra niała z podniecenia. Cokolwiek si działo, musiało to by powa ne. Tyle mo na było wywnioskowa z zachowania si i poczyna Anny Grant, a u człowieka, którego całe ycie było pasmem przygód, perspektywa działania wywoływała równe o ywienie co kieliszek mocnego trunku. W odległo ci kilku jardów od hangaru przypomniał sobie, e ci kie drzwi były zamkni te na kłódk . Zawrócił i poszedł szybko w gór zbocza, ku bocznym drzwiom hotelu.

Kiedy wszedł do kuchni, Juliette stała przy zlewie, zmywaj c naczynia po niadaniu.

- Gdzie jest klucz do hangaru? - zapytał. Odwróciła si , ze zdziwieniem unosz c brwi.

- Tam gdzie zawsze, na gwo dziu za drzwiami. Co si stało?

- Musz wyprowadzi łód - powiedział. - Grantowie chc , bym zawiózł ich na Guernsey. Nie chc wytłumaczy , dlaczego. Ja sam te nie wiem. Ale musi to by co powa nego.

Zdj ł klucz i znowu wyszedł. Po jego odej ciu Juliette Yincente stała przy zlewie, patrz c t po na drzwi. Po chwili wytarła dokładnie r ce, powiesiła r cznik i poszła tylnymi schodami do swojej sypialni.

Owen Morgan otworzył ci kie drzwi hangaru i wsun ł si do rodka. Motorówka była porz dne umocowana w betonowej szczelinie, stalowa lina nawini ta na kołowrotek przy burcie utrzymywała j w miejscu. Zeskoczył na pokład, podniósł klap obudowy silnika i nagle znieruchomiał czuj c, jak zasycha mu w gardle. Silnik był dokładnie w takim samym stanie jak ten na łodzi Guyona. Delikatne przewody i zawory nie nadawały si nawet do naprawy, ci ki młotek z jego własnej torby z narz dziami le ał na wraku.

Na kamieniach za nim zaszurały czyje buty. Obejrzał się i podniósł oczy na Juliette. Miała na sobie jego starożytny kurtk, rękawice trzymała głęboko w kieszeniach.

- Co nie tak, Owen? - spytała.

I wtedy w jednym niewytłumaczalnym przeblasku intuicji zrozumiał, że to ona była za to odpowiedzialna, i oczy mu się rozszerzyły.

- Dlaczego, Juliette? - powiedział. - Dlaczego to zrobiła ?

- Mego brata zabito w Algierii, Owen. - Jej głos był płaski, jakby martwy. - Umarł za Francję. Odpłacili mu, zdradzając ideały, za które zginął. Nie mogłam przyglądać się temu beczynnemu.

Gniew ogarnął go tak szybko, jak płomień ogarnia suche liście.

- Co za idiotyczne bzdury opowiadasz mi, dziewczyno? Co z moją łodzi ?

Zaczął gramolić się ku niej, ona wycofywała się, wyciągnęła rewolwer z kieszeni. Stali tak oko w oko, zupełnie nieruchomo, jego twarz zbieleła tak, że była prawie przezroczysta, malował się na niej wyraz ogromnego zdumienia.

- To ja, Juliette, Owen. - Zrobił krok naprzód.

- Przejdź obok mnie bardzo powoli, Owen - powiedziała. - Trzymaj rękawice za plecami. Nie pozwól, bym cię zabiła.

Stał gotowy, z rozstawionymi stopami, i nagle wybuchnął dzikim miechem.

- Zabiła! Ty, dziewczyno, mnie?

Ruszył do przodu, jedną ręką sięgnął po broń, drugą łapiąc ją za kurtkę. W tej samej chwili coś jakby poruszyło się w jej oczach i zrozumiał, że najbardziej złowrogą pewnością siebie popełnił ostatni w swoim życiu błąd.

Ogłuszający odgłos wystrzału odbił się od ścian hangaru, a pocisk, rozszarpując mu ciało, odrzucił go, słaniając go na nogach, w tył. Przez chwilę kołysał się na krawędzi pochylni, przyciskając rękawice do brzucha. Krew rzuciła mu się z ust jasnym strumieniem i upadł na pokład.

Juliette Yincente podeszła do krawędzi pochylni i spojrzała na niego. Leżał zupełnie nieruchomo, ciemne oczy wpatrywały się w punkt znajdujący się o milion mil za nim. Włożyła rewolwer z powrotem do kieszeni, wyszła na zewnątrz i zaczęła zamykać drzwi. Kiedy odwróciła się, „Foxhunter” włączył się i nie mijając cyfry i podpływał do przystani.

W kuchni Hamish Grant siedział przy końcu stołu, przed nim znajdowały się resztki posiłku. Słuchał z powagą tego, co Anna miała do powiedzenia.

Gdy skończyła, pokręcił głową.

- Nie ma sensu udawać, że rzeczy przedstawiaj się dobrze. Nie jest dobrze. Ale jedno jest pewne. Nie możemy wiele zrobić na własną rękę.

- W takim razie Guernsey jest naszą jedyną nadzieją?

Skin ł głowę i podniósł się.

- Myślę, że byłoby lepiej, gdybyśmy wszyscy poszli. Nigdy nie opłaca się ryzykować, a sytuacja może okazać się nieprzyjemna.

Z hallu weszła Fiona, niosąc jego ciuchy, wełniany płaszcz.

- Powinieneś to włożyć, tato. Jest całkiem zimno.

To był pierwszy raz, gdy nazwała go inaczej, nie generałem, pierwszy, od kiedy była zupełnie małą. Jego serce zabiło szybciej. Wyciągnął rękę ku jej słabo widocznej twarzy i poklepał ją po policzku.

- Nie martw się, Fiono. Jako wszystko uładzimy.

Przez chwilę ciskała jego dłoń, potem odwróciła się i poszła pierwsza do hallu. Anna już siedziała za kierownicą furgonetki, silnik chodził na luzie. Generał i Jagbir usiedli z tyłu, Fiona z przodu i Anna po piesznie ruszyła. Ciężko padał ulewny deszcz, włączyła wycieraczki i pochyliła się do przodu, wypatrując dołach dziur w błotnistej drodze. Gdy samochód wspiął się na szczyt wzniesienia, wrzuciła niższy bieg, przygotowując się na zjazd ku przystani. Przejechali właśnie szczyt, gdy nagle Fiona wydała alarmujący okrzyk i Anna gwałtownie zahamowała.

De Beaumont, Marcel i trzech marynarzy stało na drodze, spoglądając w stronę morza. Około czterech mil od brzegu znajdowała się „Fleur de Lys”, płynąca zdecydowanie na południowy zachód, ku wybrzeżom Francji. Marcel pokazywał coś, wyciągając jedno ramię. Kiedy obrócił się do de Beaumonta, zobaczył furgonetkę. Mógłby natychmiast rozłożyć się wachlarzem w poprzek drogi. Anna, działając odruchowo, z całej siły nacisnęła na pedał gazu. Furgonetka skoczyła naprzód. Anna widziała usta wykrzykujące ostrzeżenia, ale głosy ginęły zupełnie w ryku silnika. Tamci rozbiegli się na obie strony drogi. Samochód przeleciał między nimi, pognął w dół, zbaczając z trasy na zakręcie u podnóża wzniesienia, i wreszcie pojechał na skróty przez trawę w stronę mola.

Zahamowała ostro i pojazd obrócił się w długim, zapierającym dech po luzgu. Przez chwilę wydawało się, że wyrzuci ich za krawędź, na plażę i skały znajdujące się poniżej. Samochód stanął, zderzak stuknął o jakiś głaz. Anna otworzyła drzwi i wysiadła.

Nigdzie nie było ładu Owena Morgana ani jego łodzi, a kiedy spojrzała w górę na hangar, zobaczyła, że wielkie drzwi są wciąż zamknięte. Odwróciła się. Właśnie Gurkha pomagał generałowi wygramolić się z auta. Płaszcz małego Gurkhi był rozpięty, odsłaniając

kukri z rkoje ci zko ci słoniowej i srebra, z zakrzywionym ostrzem ukrytym w skórzanej pochwie, wci ni tej za pas.

Gdy Fiona podeszła z drugiej strony, ze wzgórza dobiegł słaby krzyk. Anna podniosła oczy i zobaczyła de Beaumonta i jego ludzi biegnących w ich stronę. Jeden z nich zatrzymał się, podniósł strzelbę i oddał ostrzegawczy strzał - pocisk zajczał nad mołem i wpadł do wody.

- Hamish Grant rzucił nagle:

- Co z Owenem?

- Nie ma ładunku po nim ani po łodzi - powiedziała Anna. - Za to „Foxhunter” przycumowany jest na końcu mola.

Jaka nikła nadzieja, że mogliby zdobyć łódź, zanim pojawi się de Beaumont i jego ludzie, została rozwiana przez marynarza, który wyszedł ze sterowni, spojrzał w ich stronę, po czym po piesznie wszedł do hangaru.

- Lepiej zabierajmy się stąd. Do hotelu - zdecydowała Anna.

Ruszyli pod górę, Fiona na przedzie, za nią Hamish Grant, pomagając sobie laseczkami. De Beaumont znowu co krzyknął. Marynarz stojący na straży „Foxhuntera” wyskoczył na pokład z karabinem i oddał po pieszny strzał, który odłamał kawał drewna z drzwi hangaru.

Anna poczuła na ustach krew i ból w piersiach. Chwyła Hamisha Granta za rękę i powlokła się dalej. Stopy jej lizgały się na mokrej darni, ale wreszcie znalazły się na tarasie i weszli na ganek.

Fiona pierwsza wpadła do hangaru. Bar był zupełnie pusty, ale ogień płonął na palenisku. Cisza była tak absolutna, że Anna słyszała, jak łomocze jej serce. Hamish Grant oparł się o stół, z trudem łapiąc oddech, a ona zawołała:

- Owen! Owen Morgan! Gdzie jesteście?! Nie było słycho kroków, a jednak czyj cichy głos odezwał się z zadziwiająco raptownie ci:

- Nie ma go tutaj.

Anna szybko się odwróciła i ujrzała spokojną twarz Juliette Yincence.

- Na miłość boską, Juliette! Gdzie on jest? Co się dzieje?

- Był może pojawiła się pani w niewłaściwym miejscu? - Reka Juliette wysunęła się z kieszeni z pistoletem w dłoni. - A teraz poczekamy wszyscy grzecznie na księcia de Beaumont.

W tej samej chwili Jagbir rzucił się naprzód, a z jego gardła wydobył się straszny okrzyk bitewny Gurkhów. Reka wyszarpnęła spod płaszcza kukri, tnąc powietrze ze wistym.

Juliette Yincente dwukrotnie nacisnęła spust. Pociski dosięgły jego drobnego ciała, ale trzymał się jeszcze. Gdy wypaliła ponownie z bliska, ciękie ostrze opadło, na wpół rozrucił jej szyję. Upadli razem, Jagbir na wierzchu, z dłoni równie mocno zacięniętą na kukurki w chwili śmierci jak i za życia.

Gdy Fiona podniosła wrzask, drzwi rozwarły się na oścież. Hamish Grant odwrócił się, dobywając webleya z kieszeni i mierząc z niego w de Beaumonta, który, stojąc pod światło, był ciemnym, bezkształtnym cieniem.

Z tyłu trzasnęło okno i w tej samej chwili do pleców Granta przytknięto tobole nie luf karabinu.

- Jeśli pan generał ma trochę rozszedku, proszę rzucić broń - powiedział Marcel.

Hamish Grant wahał się przez moment decyzji, ale na cokolwiek było już za późno. De Beaumont podszedł i łagodnie wyjął webleya z jego dłoni.

- A teraz, stary przyjacielu, może zachowasz rozsądek?

ROZDZIAŁ XV

„FLEUR DE LYS”

„Fleur de Lys” - łódź niewielkiej długości, posuwała się pod wiatr, przeskakując ponad fale. Woda przelewała się przez jej dziób. W sterowni Mallory pochylał się nad stołem z mapą. Za nim ster z niesamowitym trzaskiem przechylił się na bok, by zrównoważyć zmiany kursu statku na prawo - automatyczny pilot kontrolował sytuację. Mapy admiralicji, które znalazł w płaskich szufladach pod stołem, były kompletne. Ta, która obejmowała linię brzegu Point du Chateau i bagna Gironde, dostarczyła mu wszelkich potrzebnych informacji.

Drzwi do salonu pod pokładem rozwarły się na oścież i pojawił się w nich Guyon. Miał na sobie ciemny nieprzemakalny kurtkę, w obu dłoniach trzymał olbrzymie kubki kawy.

- Jak nam idzie? Mallory zerknął na zegarek.

- Prawie południe. Już niedługo. Robimy około piętnastu w złów.

- Zanim tu przyszedłem, słyszałem w kuchni radiową prognozę pogody - oznajmił Guyon. - Nie była optymistyczna. Wzmagają się wiatry i spodziewana mgła w obszarze przybrzeżnym.

- Już w nią wchodzimy.

Mallory wypił trochę swej kawy, Guyon tymczasem wyglądał przez okno. Mgła, jak wilgotny całun, czekała na nich w oddali, a szare, nabrzmiałe niebo zwisało niemal nad wodą. Na północnym zachodzie na falach podnosiły się już białe grzywy.

- Jak się dzisiaj, daleko jesteście my teraz za „L'Alouette?” - zapytał Guyon.

Mallory wzruszył ramionami.

- Przy zanurzeniu ma szybko o połowę mniej niż od nas. Zakładajcie przewagę, jak zyskała na starcie, powinniśmy dotrzeć mniej więcej w tym samym czasie.

Znowu nachylił się nad mapę.

- Będzie musiała wynurzyć się przy brzegu Ile de Yeu przed wpływieniem do głównego ujścia wychodzącego z bagien.

- Jaka tam jest głębokość? Mallory ledził trasę ołówkiem.

- Cztery lub pięć metrów. „Silne prądy przybrzeżne nieustannie się zmieniają”. Informacje mogą być niecisłe. Ja wiem, co to znaczy. Jednego dnia jest piaszczysta łacha, drugiego - sześć metrów czystej wody. Te pływowe bagna są wszędzie takie same.

- Ale na „Fleur de Lys” dostaniemy się tam?

- Tak myślimy. Zapewne nie do samej głównej wyspy, na której jest chata. Zresztą zaznaczona na mapie. Pół mili w głąb.

Guyon wyprostował się i wykrzywił usta w niepodrabialnym, cierpkim uśmiechu.

- Może by ciekawie, prawda?

- Może na by to chyba tak określić.

Stopniowo ogarnęła ich mgła i potem płynęli przez dziwny, zamknięty wiat. Mallory przejął ster i ograniczył szybkość do dziesięciu węzłów. Jakieś trzydzieści minut później wypłynęli na skrawek czystej przestrzeni i ujrzeli wybrzeże Point de Chateau nie dalej niż pół mili od portu. W miarę jak się zbliżali, z morza wylaniał się ślady cuch skał i małych wysepek, biegnący równolegle do linii brzegu i ciągnący się w dalszą stronę do wielkiego grzbietu górskiego Ile de Yeu, przezierającego przez mgłę.

Mallory zawołał Guyona, aby go zmienił przy sterze, i powrócił do mapy. Kiedy się wyprostował, oczy mu dziwnie błyszczały.

- Myślimy, że mamy szansę zaoszczędzić trochę czasu, ale to będzie ryzykowne. „L'Alouette” musi wykorzystać przebieg przybrzeżny. Ona nie ma wyboru. Po tej stronie Ile de Yeu jest jednak zaznaczony inny przepływ pomiędzy wyspami i rafami. Trzymajcie się.

- Możemy pozbawić łódź dna. Mallory wzruszył ramionami.

- To jest łódź de Beaumonta, nie moja. Guyon uśmiechnął się sztywno.

- W takim razie proponuję, żeby przejął ster.

Mallory zmienił kurs o rumb, a młody Francuz zszedł do salonu pod pokład. Wrócił po chwili, niosąc dwie kamizelki ratunkowe.

- Kiedy byłem dzieckiem, Cyganka powiedziała mojej matce, że muszę zawsze strzec się wody. To oczywiście głupie przesady, ale, niestety, moja bretońska krew mówi co przeciwnego. Nie zniósłbym, gdyby właśnie teraz to się sprawdziło.

Mallory włączył automatycznego pilota, wsunął ramiona pomiędzy paski kamizelki i ponownie chwycił za ster. Płynęli teraz równolegle do wysp. Niebezpieczne wstrząsy miałyby „Fleur de Lys”, a fale zaciekle waliły o jej kadłub.

Deszcz bębnił o szyby. Spływające strugami, zacierał kontury przedmiotów, nadając wszystkiemu znamionosobliwość i jakby przenosząc w całkiem inny świat. Ile de Yeu była bardzo blisko. Neil zobaczył biały kipiela z furii atakujący postrzępiony grzbiet rafy.

Obrócił ster zdecydowanie ku lewej burcie. „Fleur de Lys” wzдрыgnęła się jakby zniechęci, fala klasnęła o jej kadłub, pokład przechylił się niebezpiecznie. Guyona rzuciło w poprzek sterowni, Mallory osunął się na jedno kolano. Koło steru zaczęło wirować, ale już po chwili dłonie Neila znalazły się na właściwym miejscu. Gdy obrócił dziób łodzi, powlokła się posłusznie w stronę wschodniego paska spokojnej wody pomiędzy rafą a wyspą.

Wydusił z silników wszystko, co mogły z siebie dać, a łódź zareagowała wspaniale. Przybój przybliżył się z nieprawdopodobną szybkością. Już na nim byli - woda rozpryskiwała się o wielkie skały po obu stronach, a białe, wijące się macki usiłowały ich zagarnąć.

Wszędzie wokół pojawiały się i znikwały głązy, fale pieniliły się nad nimi. Raoul Guyon, ze zbielełą twarzą, mocno przywarł do stołu z mapą.

Dziwne, wirujące przodem wyrwały ster na jedną chwilę i „Fleur de Lys” złowrogo przechyliła się na lewą burtę. Mallory chwycił koło steru. Lekkie, słyszalne drgnięcie przebiegło przez cały statek, gdy prześlizgiwał się po mieliźnie, a potem wpłynęli na spokojną wodę.

Mgła nadciągała od lądu płatami. Czuło się już duszący zapach bagna, który znosiła w ich stronę morską bryza. Mallory zmniejszył szybkość i wpłynęli. Silniki w proteście zahuczały niskim głosem.

Bagna wynurzyły się z oparów, ciemne i złowroge, czekające na ich przyjęcie; nad głowami przesunął się załamany klucz dzikich gąsi, przywodzący na myśl miotane wiatrem dusze zmarłych. Tu i ówdzie sterczały z wody długie, woskowe łachy, a w stronę lądu ciągnęły się mile szorstkiej, bagiennej trawy, labirynt zatoczek, przesycony wodą szlam, ruchome zapory z trzciny.

Dotarli do długiej ławicy piasku i otworzyło się przed nimi ujście potoku. Guyon wychylił się naprzód i podniósł ostrzegawczy krzyk. Tuż za jego plecami, jak jakiś rzucony na ląd wieloryb, przycupnęła „L'Alouette”, jej szaroczarna blacha lśniła wilgocią. Fenelon stał na wieżyczce obserwacyjnej z Jacaudem, a pomiędzy trzema marynarzami przymocowywał zewnętrzny silnik do wielkiej gumowej szalupy Mallory z gwałtownie się poprowadził „Fleur de Lys” do przodu, wywołując silne fale dziobowe, która przewaliła się przez kadłub łodzi podwodnej, strącając do wody jednego z marynarzy. Rozległ się okrzyk zdumienia. Kiedy mijali tamtych, dzieliło ich niewiele więcej niż dziesięć stóp. Mallory zauważył przerażenie i konsternację na twarzy Fenelona i Jacauda, marszcząc czoło z niedowierzaniem. Minęli ich, znikając bezpiecznie we mgle. Ograniczył szybko do pięciu węzłów i otworzył okno. Wciąż było nieco mgły, ostrej i zimnej. Miała zapach gorzki jak miedź. Wytężył oczy, obserwując majaczące we mgle trzciny. Kilka minut później weszli w łagodny port i zatrzymali się z lekkim wstrząsem.

Mallory po prostu wrzucił wsteczny. Przez chwilę wydawało się, że nic się nie dzieje, po czym „Fleur de Lys” ześlizgnęła się do tyłu.

- Na tym koniec - powiedział. - Dalej z pewnościami nie zajdziemy.

Zgasił silniki, wyszedł na pokład i wspiął się na szczyt sterowni. Trzciny były w tym miejscu bardzo gęste, ale po lewej stronie znajdowała się mała laguna o kolistym kształcie, mająca jakieś sto stóp średnicy.

Wskazał na nią, gdy Guyon wdrapał się na dach obok niego.

- Nasza jedyna szansa.

- Zeskoczył na pokład, wszedł do sterowni i ponownie włączył silniki. Kiedy warkot się ożywił, obrócił ster i wtargnął łodzią w trzciny. Przez chwilę wydawały się zaporą nie do przebycia, ale potem z wolna rozstały się i „Fleur de Lys” przepłynęła do laguny. Mallory zgasił silniki, łódź przesunęła się na przeciwległy kraniec, po czym przystanąła. Jej dziób zarył się łagodnie w łańcuch piasku.

- Nie ma czasu do stracenia - powiedział. - Jeden z nas zostaje przy łodzi. Drugi idzie po Granville'a i jego konia.

- Tym zajmij się - powiedział Guyon. - Mamy wspólnych znajomych. Myślę, że mi zaufa. Mallory podsunął mu mapę.

- Lepiej będzie, jeśli pójdziesz na piechotę i przepłyniesz kanały brzości dostępu. - Otworzył szufladę i wydobył kieszonkowy kompas. - Trzymaj się kierunku zachodniego, a nie przegapisz głównej wyspy. Jest jakieś czterdzieści mil stąd.

- Sprowadzenie Granville'a tutaj może okazać się trudne - zauważył Guyon. - To przecie staruszek.

- Ale przyzwyczajony do tych bagien. Pamiętaj, że właśnie dlatego tu przyjeżdża. Bądź musiał wybrać najlepszą z możliwych dróg. - Mallory wydobył rewolwer, który odebrał młodemu marynarzowi na zamku, i podał go Guyonowi. - Słabe to, ale lepsze niż nic.

Guyon wepchnął rewolwer do kieszeni nieprzemakalnej kurtki i szybko wyszedł na pokład. Zeskoczył z dziobu na łachy i zanurzył się w trzciny.

Mallory zapalił papierosa i stał na pokładzie w mrocznym deszczu. Może pięć minut później usłyszał odgłos silnika, znajdując się przy burcie łodzi przemierzającej główny kanał. Oddalał się, tłumiony przez mgłę. Potem nastąpiła cisza.

Gdy Guyon przedzierał się przez trzciny, jakiś kulik naprzykrzał się gwizdem, dochodzącym gdzieś z lewa, dzikie ptactwo nawoływało się, wlatując ponad wodę, wzburzoną krokami Guyona.

Francuz wydostał się na wysłone pole, spojrzawszy na kompas i pobiegł naprzód, sam pośród krajobrazu błotnistych równin, odosobnionych zatoczek i wszędobylskich trzcin.

Dotarł do krawędzi twardego gruntu i brodząc przeszedł w suchy potok. Stopy ugrzwały mu jak mule. Poczował smak soli na wargach, zaszczypała go boleśnie w oczy, ale posuwał się dalej, pokonując trzciny i szary kałun mgły.

Stopniowo grunt znowu stwardniał, a wreszcie mógł biec przez piasek i ostrą bagienną trawę. Kilka chwil później znalazł się nad brzegiem płytkiego jeziora. Z mgły wynurzył się dom, znajdujący się na oddalonej o jakieś pięćdziesiąt jardów wysepce. Zstąpił w zdradliwe, pokryte szumowiną wody i ruszył naprzód. Wyjął rewolwer i trzymał go nad głową. Wprawdzie było płytko i nie wydawało się prawdopodobne, że woda mu zagrozi, ale nie było po co ryzykować.

Poszło zadziwiająco łatwo, muł ustąpił miejsca twardemu piaskowi, i wkrótce ponownie wszedł na suchy ląd. Gdy podbiegł do jedynego domu, z mgły wynurzył się w suchy, drewniany pomost. Guyon zatrzymał się gwałtownie. Nie cumowała tam żadna łódź, nawet płaskodenna, używana na bagnach. Stał chwilę ze zmarszczonymi brwiami, zastanawiając się nad odkryciem, potem odwrócił się i poszedł w stronę budynku.

Dobiegł go zapach dymu i palącego drewna, zobaczył też, jak unosi się niebieskawa smuga znad kominka z surowego kamienia. Po rozklekotanych drewnianych schodach wdrapał się na ganek, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Pokój był umeblowany skromnie, ale wygodnie; luźne dywaniki za ciężkimi wyfroterowanymi podłogami, pod ciemnymi kilkoma szafkami z książkami oraz sofa i dwa fotele na wprost kominka.

Polana tliła się nierówno na kamiennym palenisku, porzucenie dnia obsypane popiołem, aby nie wypaliły się zbyt szybko. One powiedziały Guyonowi wszystko, co wiedzieć powinien. Granville'a i jego żony nie było w domu. Ale przecież należało liczyć się i z tak ewentualnościami.

Ornitologia była wielkim hobby staruszka. Napisał nawet książkę na ten temat. Było całkiem oczywiste, że on i jego żona siedzieli teraz gdzieś w trzcinach, które na ogromnej przestrzeni pokrywały tutejsze bagna, by może nawet od wiatru czatowali w kryjówce, aby zrobić zdjęcia.

Opuścił dom i zszedł na pomost. Przez mgłę przebił się niewyraźny odgłos silnika łodzi. Jacaud i jego ludzie. Dla nich nieobecność gospodarza nie była problemem. Po prostu poczekał, a Granville pojawił się w polu widzenia. Nie musiał nawet iść go szukać.

W tej sytuacji Guyon mógł zrobić tylko jedno. Przeszedł w bród jezioro na drugą stronę. Wydostał się na wyżej położony teren i pobiegł wzdłuż brzegu w kierunku, skąd dochodził odgłos pracy silnika.

Mimo wilgotnego chłodu panującego na bagnach pot zaczął cieką spod pach Fenelona. Cały czas od chwili pierwszego szoku, doznanego na widok „Fleur de Lys”, która minęła ich u ujścia rzeczki, miał nudności i odczuwał lęk. A potem ta wiadomość od de Beaumonta przez radio. Sparaliżowała jego umysł, gdy radiotelegrafista ją odszyfrował.

Polecenie było całkowicie jasne. W nowo zaistniałych okolicznościach mieli natychmiast wracać. Ale to nie było jasne dla Jacauda. Upierał się, aby wyruszyć na bagna, i Fenelon ustąpił, widząc jego zimną furę.

W mlecznym oparze trzciny poruszały się łagodnie jak blade duchy, jedynym dźwiękiem był stały warkot silnika za burtą. Fenelon tkwił na rufie przy rumplu, dwóch marynarzy z karabinami w rękach. Jacaud siedział na krawędzi zakręglonego dziobu z karabinem zawieszonym na szyi. Wpatrywał się w mgłę na podobieństwo jakiegoś wielkiego drapieżnego ptaka.

Odwrócił się, jego kamienna, bezwzględna twarz pokryła się wilgocią.

- Musimy być prawie na miejscu. Zgasz silnik. Zaczniemy wiosłować.

- Szkoda twego czasu, Jacaud! - zawołał wesoło Guyon. - Tu cię pobijem. W tej chwili Henri Granville i jego żona są już daleko stąd.

Właśnie z trzciny wyłoniła się spora piaszczysta ławica. Na jej przeciwległym krańcu, na niewielkim wzgórku stał Guyon. Podniósł rękę i dwukrotnie wystrzelił. Jeden z marynarzy jęknął i wypadł za burtę, wciśnięty swoim karabinem.

Jacaud ciągnął przez głowę karabin maszynowy. W górę poszła długa, nieregularna seria, ogień przeczesywał trzciny. Ale było już za późno. Guyon zniknął jak duch we mgle. Za chwilę się szycerco gdzieś w zasięgu ręki, a potem nastąpiła cisza.

Drugi marynarz przechylił się przez burtę, by wyciągnąć kolegę. Jacaud odwrócił się i machnął ręką.

- Zostaw go. Nie mamy czasu.

Marynarz wzdygnął się, patrząc na tę diabelską twarz, jakby stał od hamowanej furii, wyrażając tylko pragnienie zabijania.

Zadziwiająca rzecz było jednak to, że kiedy Jacaud się odzywał, głos miał zupełnie spokojny.

- Z powrotem na „L'Alouette” i wydaj silnika, co się tylko da. Mallory musi wrócić na Ile de Roc. Nie ma wyboru. Tam wciąż jest jego dziewczyna. Jeśli dopisze nam szczęście, możemy ich złapać, gdy będzie wypływała w morze.

Dla Mallory'ego terkot broni maszynowej w oddali był jak cios obuchem w głowę. Chodził po pokładzie w bezsilnej wściekłości, z rozpaczą nadzieją, że jeśli cokolwiek poszło źle, to Guyon zdołał zapanować nad sytuacją. W jakieś dziesięć minut później usłyszał odgłos silnika łodzi powracającej strumieniem. Stał bez ruchu, z jedną stopą opartą o balustradę, i słuchał, jak płynęła w dół.

Wdrapał się na dach sterowni i spojrzał na zachód, wytając wzrok we mgle. Upłynęło kolejne pięć minut, kiedy ciszę rozproszył krzyk dzikich gęsi. Ptaki podrywały się z trzciny, nawołując przejmująco. Gdy oddalił się już trzepot ich skrzydeł, wyczuł ruch po lewej stronie.

Zaryzykował, złożył dłonie w trójkąt i zawołał:

- Raoul! Tutaj!

Po dłuższej chwili Guyon wyłonił się z mgły. Szedł potykając się przez łachy. Mallory pobiegł na dziób i wyciągnął go na pokład. Guyon był kompletnie przemoczony i zziębnięty. Twarz miał bladą i cięgniętą.

- Czy już przepłynęli? - zapytał. Mallory skinął głową.

- Co się stało?

Guyon opowiedział wszystko pokrótce, wzdygając się za każdym razem, gdy wiatr przewiewał jego mokre ubranie.

- Co teraz robimy?

- Zamykamy ster, gdzie pieprz rośnie - zdecydował Mallory.

- Chyba nie popełniam błędów zakładając, że Jacaud zaczeka na nas przy ujściu. Jeśli dotrzemy tam odpowiednio szybko, mamy szansę wypłynąć w morze, zanim oni będą gotowi.

- I z powrotem na Ile de Roc?

- Taki jest ogólny plan. Lepiej zejść na dół. Znajdź jakieś suche ubranie i coś do picia. Ja tu poradzę sobie ze wszystkim.

Wszedł do sterowni i włączył silniki. Gdy wrzucił wsteczny, „Fleur de Lys” z łatwością wycofała się z grzeskiego mułu. Zaczęła ostro kręcić kołem, obracając dziób a do momentu, gdy wskazywał na ciany trzciny oddzielające ich od strumienia.

Poprowadził łódź naprzód przy dużym przyspieszeniu, powtarzając swój wcześniejszy manewr. Jeszcze raz się powiodło. Trzciny niechcnie rozchyliły się i łódź wpłynęła do strumienia. Przekręcił ster w kierunku prawej burty, wtedy obróciła się, zawadzając o rozmiękły w szlamie przeciwny brzeg.

Powoli poprowadził ją w dół strumienia. Silniki pomrukiwały na deszczu. Guyon wrócił na górę. Ubrany był w spodnie khaki, gumowe buty i gruby, biały sweter z golfem. W jednej ręce niósł butelkę brandy, w drugiej cynowy kubek.

- Jak się czujesz? - zapytał Mallory. Guyon za miał się i uniósł przekątnie butelkę.

- A na co byś stawiał? To jest courvoisier. Chcesz łyka?

- Z wielką chęcią.

Mallory dwoma szybkimi pociągami wypił trunek. Gdy ciepło zaczęło się rozchodzić po całym jego ciele, wyjął paczkę gauloise'ów, którą dał im Marcel, i rzucił Guyonowi.

- Lepiej weź jednego, póki jest spokojnie. W ciągu następnych minut może się zrobić bardzo gorąco.

Sam też wziął papierosa i otworzył okno sterowni. Deszcz chłostał go po twarzy. Lekki wiatr wiał od morza, rozciągając mgłę w dziwaczne kształty.

Widocznie nie przekraczała trzydziestu-czterdziestu jardów, ale trzciny zaczęły się rozstępować i kanał zauważalnie się poszerzył. Na wodzie pojawiły się długie zmarszczki, które nabrzmiwały i już jako fale uderzały o dno łodzi. Byli prawie na miejscu, kiedy piaszczysta łąka wyłoniła się o parę jardów od burty. Zatrzymał silniki, i wtedy zniósł ich przed siebie. Nastąpił lekki wstrząs i zatrzymali się.

- Chciałbym wiedzieć, do czego przymierzają się przeciwnicy. Zostań tutaj. Nie zabawi długo Mallory zeskoczył na łąkę, i od razu po kolana w wodzie, i brodząc szedł dalej

wę mgła, a zgubił z oczu „Fleur de Lys”. Kilka minut później stał na krańcu łachy, woda przetaczała się przez piasek, a on spojrzał w stronę Ile de Yeu. Nie było ani ładu „L’Alouette”, więc zawrócił i pobiegł z powrotem, rozbryzgując wodę po płyciźnie. Przypływ zaczął już obejmować łachy i „Fleur de Lys” znosiło na pogłębiony kanał. Złapał wyciągnięto Guyona i wdrapał się przez balustradę na pokład.

- żadnego ładu po nich. Jeśli o mnie chodzi, mam zamiar wykorzystać całą moc naszej łodzi i wyruszyć w morze. Tamci musieliby wymyślić coś naprawdę niezłego, żeby nas zatrzymał.

Wszedł do sterowni, puścił w ruch silniki i cofnął łódź w głąb kanału. Widoczno raczej się polepszyła, mgła powoli, ale wyraźnie ustępowała, i „Fleur de Lys” pognała z hukiem rodkiem kanału, podnosząc silne fale dziobowe, która rozchodziła się po wodzie w obie strony.

Pojawiło się ujście strumienia, czyste i wybiegające w morze. Mallory przekręcił ster w lewo, by pokonać wielki mielizny pięćdziesiąt jardów za ujściem. Gdy ominęli cypel, walczył z przeciwnym prądem, natrafili na oczekujące na nich „L’Alouette”.

Jacaud był na wieżycie obserwacyjnej, z ciemnym karabinem maszynowym podniesionym na obrotowym wale. Kiedy „Fleur de Lys” znalazła się w polu widzenia, zaczął strzelać. Pociski posypały się na pokład, Mallory uskokzył w bok, gdy rozbiła się szklanka w sterowni.

Guyon przykucnął w drzwiach, opierając rewolwer o wzniesione ramiona i próbując pewnego strzału, co było jednak niemożliwe. Pociski nieprzerwanie tłukły w kadłub, Mallory obrócił sterem i młody Francuz stracił równowagę.

Ocalała ich mgła - długi, gęsty mleczny wał, przetaczający się z wiatrem przez rufę, wchłonął ich w mgnieniu oka. Guyon szybko się pozbierał i teraz stał, słuchając bezsilnego jazgotu karabinu maszynowego, z którego Jacaud nie przestawał strzelać. Po chwili zapanowała cisza.

Francuz odwrócił się, stając twarzą w twarz z Mallorym. Oddychał głęboko i z wyraźną ulgą.

- Powiedziałbym, że należy się nam jeszcze po szklaneczce.

Kiedy wydostali się z wału mgły, Mallory wyprowadził łódź na morze, wyciągając z silników pełną moc. Odwrócił się z uśmiechem:

- Tam wszystko w porządku, dzięki Bogu. Guyon wszedł do salonu i powrócił z courvoisierem.

- Karabin zrobił nieliczne szkody na dole. Wszędzie pełno dziur. Nie przypuszczam, żeby de Beaumont był zadowolony.

Mallory pociągnął trochę brandy i zapalił papierosa.

- O tym się wkrótce przekonamy.

Guyon wszedł do salonu, a Mallory z wyraźną przyjemnością zaciągnął się bokalem papierosem. Wszystko pójdzie dobrze, tego był pewien. Czasami ma się takie przecucie. Wiatr ochłodził się jeszcze bardziej, a pył wodny rozpryskiwał się na rozbitych oknach sterowni.

Jakiś czas potem przyszedł Guyon z kanapkami i gorzką kawą. Mallory włączył automatycznego pilota.

- Chcesz, abym cię zmienił? Mallory potrząsnął głową.

- W tych okolicznościach powinniśmy dotrzeć tam najwyżej za dwie godziny.

Było chyba pół godziny później, gdy Guyon uwiadomił siebie, że wyraźnie zwalnia. Jego usiłowania, by dostosować układ sterujący, nie powiodły się, przełączył więc znów na automatycznego pilota i zszedł na dół.

Guyon leżał na jednej z otoman w salonie, z głową opartą na rękach, wydawało się, że śpi. Gdy wszedł Mallory, otworzył oczy i usiadł.

- Co nie w porządku?

- Licho wie - odrzekł Mallory - ale jacht traci gwałtownie szybko, ponadto nie reaguje na ster tak, jak powinien.

„Fleur de Lys” gwałtownie przychyliła się na prawą burtę, a pod stopami obu mężczyzn przesunęła się nagle wielka masa wody. Mallory ukląkł na jedno kolano, odwinął dywan i zajrzał do wnętrza. Kiedy podniósł oczy, twarz mu spoważniała.

- Muszą być te dwa tuziny dziur po pociskach na linii zanurzenia. Przecieka jak sito. Nic dziwnego, że to cholerstwo tak zwolniło.

Wbiegli na pokład, a potem do sterowni. Pompa elektryczna była umieszczona w kredensie w jednym z rogów, a stan drzwi, podziurawionych przez kule, powiedział Mallory'emu, co zastanie w środku.

Popatrzył przez chwilę badawczo na zmiażdżony i pogięty metal, po czym odwrócił się z ponurym wyrazem twarzy.

- Znajdziesz rączkę pomp na rufie przy osłonie głównego silnika. Zrób z niej, co się tylko da. Wytrzymaj, ile możesz, potem ją ci złucz.

- Rozumiem - powiedział Raoul Guyon. - Sprawy nie są takie, prawda?

- Tak, jeżeli „L'Alouette” złapie nas w tym stanie - przyznał posępnie Mallory.

Guyon bez słowa przemierzył pokład i w chwili pó niej do Mallory'ego dobiegł szorstki, rytmiczny szczerzej pompy. Wyrzwał przez okno na brzoza wbiały strumień wody przelewający się przez pokład, ujął ster w ręce i czekał, a „Fleur de Lys” stanie się bliższa.

ROZDZIAŁ XVI

MORSKA FURIA

Kiedy Fenelon pierwszy spostrzegł „Fleur - de Lys”, oniemiał: przez chwilę nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co wydawało się zupełnie niemożliwe. Podziałek pokryła mgielka, na moment fala ograniczyła widoczność, podniósł więc nieco peryskop. „Fleur de Lys” pojawiła się w polu widzenia, jej znajomej linii nie sposób było nie rozpoznać. Powiedział szybko do marynarza stojącego obok:

- Przyprowadź tu monsieur Jacauda. Powiedz mu, żeby się pośpieszył.

Jacaud przybył parę chwil później.

- Co się dzieje?

- Popatrz tylko.

Olbrzym trzymał sztywno ręczki peryskopu i przychylił głowę. Kiedy odwrócił się i spojrzał na Fenelona, drgnął mu mięsień prawego policzka.

- Zastanawiam się, co się mogło stać. Fenelon wzruszył ramionami.

- Pewnie ogniem z broni maszynowej zniszczyły silniki, a może nawet podziurawiły ich. Jakże to ma znaczenie? Czy mam się wynurzyć? Zapewne uda nam się bez większych problemów wejść na pokład.

Jacaud pokręcił przecząco głowę i co zabłysło w jego zimnych oczach.

- Mam lepszy pomysł. Pamiętaj „Kontoro”?

Powiedziały wtedy, że jedna torpeda wystarczyłaby w zupełności. Zobaczymy teraz, co potrafisz.

Fenelon poczuł, jak krew napływa mu do skroni, i serce zabiło mu gwałtownie:

- Mój Boże, to znakomite! Nawet nie zorientuję się, skąd spadł cios.

- Mnie to nie przeszkadza - powiedział Jacaud - pod warunkiem, że nic z nich nie zostanie.

„L'Alouette” miała na pokładzie dwie dwudziestojednocalowe torpedy, obie umocowane na dziobie. Fenelon odetchnął głębiej, wziął się w garść i zaczął wydawać krótkie, lakoniczne rozkazy.

- Zbliżyć się nieprzyjaciela, jeden-dwa-pięć. Kurs jeden-trzy-jeden. Szybko ruszyć w zół. Zasięgnąć tysiacy pięćset. Te dane, wprowadzone do skomplikowanego urządzenia elektronicznego, zapewniały wybranie odpowiedniego kąta odchylenia, co z kolei umożliwiałoby wycelowanie torped na właściwą odległość przed celem, tak aby obie dotarły w to samo miejsce o tym samym czasie.

W chwili późniejszej podoficer zawołał:

- Odchylenie jeden-trzy stopnie na prawo, sir. Fenelon podniósł rączki peryskopu z twarzą przyciśniętą do gumowego okularu.

- Przygotować obydwie torpedy.

- Obydwie gotowe, sir.

Fenelon poczuł, jak pot cieknie mu po twarzy, a serce zaczyna wyrywać się z klatki piersiowej. Tak wiele słyszał o tej chwili, tyle razy opisywali ją ci, co widzieli. Ale dla niego to był pierwszy raz.

- Przygotować się do odpalenia.

„Fleur de Lys” znalazła się w ogniskowej, każda linia była ostra i wyraźna. Jego dłonie zacisnęły się na rączkach.

- Odpali pierwszą.

Łódź podwodna przechyliła się, gdy pocisk wystrzelił, a operator hydrofonu zameldował:

- Torpeda poszła.

- Odpali drugą. Znowu rzuciło łodzi.

- Poszła druga.

Fenelon zwrócił się do Jacaуда:

- Masz ochotę popatrzeć? Olbrzym odepchnął go szorstko na stronę i przychylił się do rączek okularu.

Na pokładzie „Fleur de Lys” Guyon wciąż pocił się przy pompie. Łódź posuwała się naprzód, sterował nią automatyczny pilot, a Mallory stał na szczycie sterowni i lunetą przeczesywał morze.

To, że „L'Alouette” ich teraz doścignie, było pewne. Robili nie wiaciej niż sześć w zół i zaledwie powstrzymywali wodę. Przy zanurzeniu łódź podwodna ma przewagę trzech lub czterech w zół. Wiedział te, że byli z dala od głównego toru wodnego. Ich

jedyną nadzieją była może liwa pojawienia się w pobliżu jakiegoś przypadkowego kutra rybackiego, ale zważywszy na pogodę, było to mało prawdopodobne.

Ponownie zatoczył szeroki łuk lunety i znieruchomiał, gdy coś wynurzyło się z wody po prawej burcie. Był to peryskop, którego obecność zdradziła fala dziobowa. Potem zauważył wielki, rozkołysany smug piany, kipiący pod powierzchnią wody i szybko się do nich zbliżający.

- Torpeda! - krzyknął i skoczył na pokład, tracąc równowagę i przewracając się. Poderwał się, woczył do sterowni i chwycił za ster. Kręcił nim rozpaczliwie wkoło i powoli łódź zaczęła się obracać. Guyon zjawił się przy nim, dokładając swój ciężar przy kręceniu kołem, a potem wielka fala, napływająca od zachodu, ostatecznie ich odepchnęła. Mallory zostawił Guyona przy sterze i pobiegł do balustrady. Zjawił się akurat na czas, by zobaczyć, jak po prawej burcie przepływa torpeda, a w kilka sekund później mijają ich następną.

W łodzi podwodnej Jacaud wrzasnął gniewnie, odwrócił się i chwycił Fenelona za kurtkę:

- Chybiłeś, do cholery! Chybiłeś!

- Ale to niemożliwe.

Fenelon pochylił się nad peryskopem, ale Jacaud odepchnął go.

- Od tej chwili ja wydaję rozkazy. Zbliży się do nich i wynurzy. Osobiście zamierzam wykończyć przeklętego Neila Mallory.

Na „Fleur de Lys” Mallory z powrotem stanął przy sterze, a Guyon w ciekłe pracował pompami. Nie na wiele to się zdawało. Łódź sunęła ciicho, fale przelewały się przez jej dziób, nabierała wody, a ten dodatkowy ciężar ciągnął ją w dół.

„L'Alouette” wystrzeliła swe obie torpedy, a żadnych dodatkowych nie było na łodziach typu XXIII, o czym Mallory wiedział. Wyjrzał przez okno obserwacyjne, jak mgła znów napływa płatami. W polu widzenia nie było żadnego innego statku. Serce mu zamarło. W tej sytuacji kolejne posunięcie Jacauda zdawało się oczywiste.

A mimo to z pewnym zdziwieniem zobaczył, jak morze zagotowało się w wielkim kotle nie dalej niż pięćdziesiąt jardów od nich i „L'Alouette” wynurzyła się na powierzchnię. Woda jeszcze ciekła z blachy, gdy Jacaud pojawił się na wieżyczce obserwacyjnej. Do niego dołączył marynarz i zaczęli obaj ustawiać ciężki karabin maszynowy na iglicy.

Guyon stanął w drzwiach z gotowym do strzału rewolwerem w prawej dłoni.

- Co teraz?

- Myślę, że to jasne - powiedział Mallory bezbarwnie. - Jeżeli mam odejść, zabieram go ze sobą. Miło było cię poznać.

- I ciebie, mon colonel. - Raoul Guyon wyprzył się jak na defiladzie. - To dla mnie zaszczyt, sir.

Przeszedł po pokładzie na dziób, a wtedy Mallory obrócił koło steru i ustawił „Fleur de Lys” na linii wiatru. Po chwili zmierzała prosto na „L’Alouette”.

Jacaud zaczął strzelać, pociski bębniły o dziób. Mallory, mocno dzierżąc ster, zebrał wszystkie siły. Guyon leżał płasko na pokładzie, z jedną ręką na podporze, czekając na chwilę zderzenia. Pozostały mu dwa naboje w magazynku i modlił się, żeby w końcu miał okazję władania ich obu w Jacauda.

Na wieczyce „L’Alouette” Jacaud wciśnięty strzelał z karabinu maszynowego. Lekko go podnosząc, celował w Mallory’ego. Obok Jacauda pojawił się Fenelon. Miał pobladniętą przerażenia twarz i usta otwarte w bezgłośnieym krzyku.

Mallory był świadomy tych wszystkich rzeczy i pocisków bębniących w sterowni. Gdy uszedł tamtym z pola widzenia, „Fleur de Lys” podniosła się wysoko na fale, na chwilę jakby znieruchomiła, potem ześlizgnęła się na drugą stronę, taranując dziobem wieżyczkę obserwacyjną łodzi podwodnej w miejscu, gdzie wieżyczka była przykadłubem.

Nastąpił potworny trzask, szczęk druczonego metalu - dziób chrząknął o blachę, przebijając się przez zbiorniki balastowe, zgniatając kadłub ciemieniowy. „L’Alouette” przechyliła się, wieżyczka przekrzywiła, spychając karabin maszynowy w wodę. Jacaud i Fenelon trzymali się kurczowo pokładu.

Guyon stał wychylony za balustradę i celował. Kiedy strzelił, „Fleur de Lys” kiwnęła się na bok i Francuz głową naprzód poleciał do morza.

„Fleur de Lys” wciąż się poruszała, jej stalowy kadłub przesunął się po łodzi podwodnej, spychając ją w głąb. Wkrótce znalazła się po drugiej stronie „L’Alouette”, dziobem prując fale. Mallory zerwał się na nogi, chwycił ster i usiłował obrócić łódź.

To było wprost niewiarygodne, ale zareagowała i podniosła się niemal na fale, z silnikami cięgle w ruchu. Odwrócił się i spojrzał przez rozbite okna na łódź podwodną.

Wyprostowała się teraz, ale morze groźnie przewalało się przez jej kadłub. Otworzył się przedni luk i wyłoniło się kilku marynarzy. Jacaud dołczył do nich, schodząc po zewnętrznej drabinie.

Wskazywali na jakiś punkt na morzu. Mallory zobaczył Raoula Guyona. Fala znosiła go w kierunku łodzi podwodnej. Gdy tylko uderzył o szary kadłub, rzucili się na niego.

Mallory nie mógł nic na to poradzić, więc płynął dalej, zanurzając się w mgłę. Kiedy obejrzał się pięć minut później, „L’Alouette” nie było już widać.

Stopniowo silniki traciły moc i postępek był coraz wolniejszy. Mgła tworzyła mozaikę, rozwiewaną przez wzmagający się wiatr. W oddali, tuż przy linii horyzontu, widać było Ile de Roc. Pięć minut później silniki zatrzymały się ostatecznie, wypuszczając parę z gwizdem.

Zszedł do zatopionego salonu, znalazł butelkę courvoisiera i powrócił na pokład. Mgła się jeszcze bardziej przejaśniała, ale wiał zimny wiatr i znów podniosły się fale.

Odczepił szalupę, poczekał, a zielone wody zaczęły przelewać się przez pokład, wtedy przerzucił ją przez burtę i wskoczył do łódki. Odpiął kawałek wiosła, zatrzymał się i patrzył, jak „Fleur de Lys” pogryza się w toni.

Woda przez chwilę zakipiła, po czym zastygła w wielką, białą plamę piany. W jej środku unosił się zwój liny, jakieś pudło i jedna czy dwie części omaszowania. To zawsze przynosił białawy widok - utrata dobrego statku. Nadmuchał swój kamizelkę ratunkową, podniósł butelkę courvoisiera do ust, po czym zaczął wiosłować.

„L'Alouette” dryfowała na wodzie, jej potężne diesle wciąż jeszcze pracowały, spychając ją w stronę wyspy. Posuwali się nieznośnie wolno. Na wieżycę obserwacyjną czekał Jacaud, z papierosem w ustach - patrzył, jak wyspa przybliża się w zapadającym zmierzchu.

Na dole sprawy miały się źle i pogarszały się z każdą chwilą. Załoga pracowała pokolana w wodzie i podoficer musiał wszystkich przez cały czas pilnować.

Fenelon leżał na koi w swej kabinie. Jego wargi poruszały się bezgłośnie, gdy unosił wzrok w stronę przepierzenia. Zadygotał, jakby miał malarię, a kiedy ktoś próbował odezwać się do niego, patrzył nieobecnie oczami.

Guyon leżał zwiniony w kłębku przy wieżycy obserwacyjnej. Krew ciekła z głębi bokiego rozcięcia na czole, Jacaud pozbawił go przytomności, gdy wyciągnął go z morza.

Poszturczał go butem, zastanawiając się, jaki rodzaj miernicy wybrać dla niego. Najłatwiej byłoby zostawić go na morzu albo po prostu władować mu kulę w łeb, w chwili gdy wciągnie to go na pokład, ale to byłoby zbyt proste. Guyon zasługiwał na coś więcej. Był zdrajcą i był nim przez cały czas.

Warkot diesli osłabł i wreszcie zamarł. W ciszy, która nastąpiła, rozległ się okrzyk przestrawienia z wnętrza łodzi. Przedni luk otworzył się i załoga wylała się na zewnątrz. Przycięgnięli ze sobą kilka dmuchanych szalup, tak że z silnikiem przy burcie, której Jacaud używał na bagnach.

Jacaud podniósł Guyona, z łatwością przerzucił go sobie przez ramię i zszedł po drabinie. Przemierzył pokład, stając o kilka jardów od wystraszonych marynarzy. Dzieliło ich

nie wierzył, że jest tak blisko od wielkiej rafy, lecz że jest to Ile de Roc i St. Pierre i znosił ich na niego. Jacaud nie zamierzał czekać i oglądał tego, co stanie się z „L'Alouette”, gdy wpadnie na te okropne skały.

Skinął do podoficera.

- Zabieram łódź z zewnętrznym motorem. Ty jedziesz ze mną.

Odpowiedział mu chór przestraszonych głosów. Jeden z marynarzy wystąpił naprzód.

- Dlaczego ty? Dlaczego nie my?

Jacaud wyjął lugera z kieszeni i strzelił dwukrotnie w klatkę piersiową mężczyzny. Pociski straciły go do wody. Nagle zapadła cisza i wszyscy rozstąpili się na boki.

W kilka chwil później odpływała największa szalupa, podoficer stał na rufie, obsługując silnik za burtą. Jacaud siedział na wprost niego na dziobie, a Guyon rozciągnął się na dnie.

Siła prądu ją spychała, łódź podwodna ku jej zgubie na rafie, z pokładu dobiegały bezładne krzyki. Jeden przez drugiego marynarze pchali się na pozostałe szalupy, a przed natychmiast ich porywał.

Na opuszczonej „L'Alouette” w swojej kajucie leżał zapomniany przez wszystkich Fenelon. Dopiero gdy woda dosięgnęła jego koi, odzyskał przytomność. Usiadł, popatrzył przez chwilę na wodę i nagle zaczął powracać do życia.

Wyszedł z kajuty i ruszył naprzód. W tym momencie zgasły światła. Krzyknął, gdy otoczyła go ciemność, i zaczął szukać drogi po omacku.

Kiedy dotarł do pomieszczenia dowódcy, światło wpadło przez otwarte okno obserwacyjne, a woda zaczęła spływać kaskadą po drabinie. Cały świat jakby stanął nagle do góry nogami.

Fenelon zdał sobie sprawę ze zderzenia i jego skutków - ze zniszczenia metalowego opancerzenia łodzi. Potem litościwie pochłonęła go kaskada zielonej wody. Morze rzuciło „L'Alouette” na rafę. Przez krótką chwilę kołysała się na krawędzi, po czym pogryzła w ciemności rodowego Przesmyku.

ROZDZIAŁ XVII

BIEG KU WYSPIE

Wiosła zanurzały się i podnosiły. Mallory pracował z całych sił, ale ramiona już się zmoczyły, miał też przez na jednej dłoni od jakiejś drzazgi na chropowatych uchwytach.

Upłynęła ponad godzina od zatonięcia „Fleur de Lys” i od tego czasu bez przerwy cięko wiosłował, nieznacznie tylko posuwając się do przodu. Mgła wciąż wisiała nisko nad wodą w długich, jakby widmowych płatach. W pewnej chwili zdawało mu się, że słyszy słaby krzyk. Kiedy się obejrzał, na wierzchołku fali mignęło coś błękitnego - była to jedna z gumowych szalup z łodzi podwodnej.

Po chwili przystanął i wsparł się na wiosłach. Od Ile de Roc wciąż dzieliło go pół mili i było zupełnie oczywiste, że unoszący go prąd biegł równoległe do wyspy i w końcu mógł wynieść go na otwarte morze.

Nawet gdyby dotarł do toru wodnego parowców, który prowadził przez kanał z Ushant, ciemno zapadnie w ciągu najbliższej godziny. Nie miał złudzeń co do możliwości przetrwania nocy na kanale w tak kruchej łupinie.

W butelce pozostały jeszcze dwie uczciwe, podwójne miarki courvoisiera. Wypił je powoli, po czym wyrzucił pustą butelkę do morza. Gdy lekki kapu niaczek zaczął się piąć z wiatrem, sięgnął po wiosła i zaczął nimi pracować.

Ochładzający się wiatr rozproszył ostatki mgły i morze zaczęło się nieładnie burzyć. Mallory cięgnął równo, wpatrując się w zapadający zmierzch. Umysł miał pusty - mózg i mięśnie nie skoncentrowały się na wykonaniu niemożliwego zadania.

Kiedy przystanął dwadzieścia minut później i spojrzał przez ramiona, zauważył ku swemu zdziwieniu, że był teraz zupełnie blisko wyspy. Rozległ się odgłos klaskania o kil szalupy. Obróciła się, wirując minął długi skalny palec, po czym popłynął szybko, chwycona przez jakiś przybrzeżny prąd.

Pochylił się nad wiosłami z nowym zapalem, zapominając o bólu w prawej ręce i o krwi, która nieustannie po niej ciekła. Prąd pomagał mu, z każdą chwilą przybliżając go do brzegu. Fale były teraz wyższe, tłukły o skały, a woda zaczęła przelewać się przez burtę. Usilnie pracował wiosłami, próbując obrócić dziób łodzi, ale to było ponad jego siły. Puścił więc wiosła, uklął na dnie i czekał, trzymając się kurczowo obiema rękami.

Klify były już bardzo blisko, zupełnie biała fala przelała się przez wąską plażę i załamała na krawędzi skał. Za Mallorym toczył się potężny, rosnący wał wodny, który nabierał rozpadu, unosząc go przed sobą. Nagle rozdierający huk podraźnił wszystkie jego nerwy. Wokół pieńczała woda, pył unosił się wysoko w powietrze. Szalupa osiadła na postrzępionych skałach, jej pokład rozpadł się w drzazgi, a dziób utknął w jakiejś rozpadlinie.

Mallory uczeplił się łodzi, a gdy morze wycofało się ze strasznym hałasem przypominającym wysysanie, wygramolił się z niej i dowlóknął do ostatniej linii skał. W chwili później był już w bezpiecznym miejscu, na skrawku plaży u podnóża klifów.

Usiadł, trzymając głowę w dłoniach, a wiatr oddalał się wirując. W gardle czuł smak morza, zrobiło mu się niedobrze i zwymiotował sporą porcją słonej wody.

Po chwili stanął na nogi i odwrócił się, by przyjrzeć się klifom, które miał teraz za plecami. Sięgały nie wyżej niż na jakie siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt stóp i nachylały się łagodnie w tył, pocięte licznymi wozami.

Wspinaczka okazała się nietrudna, w kilka minut po niej osiągnął górny krawędź. Obejrzał się na morze. Mgła rozpuściła się już całkowicie, ale mrok zapadał szybko i księżyc wzeszedł ponad horyzontem.

Pobiegł przez mokre trawy, pokonując wzniesienie łagodnych krzywizn, która zaprowadziła go na szczyt wzgórza w dziesięć minut. Po przeciwległej stronie zatoki, w dole, znajdowała się przysta przy domu Grantów.

Zatoczka robiła dziwne wrażenie opuszczonej. Ani śladu dymu wznoszącego się z komina hotelu. Zauważył motorówkę Guyona, furgonetkę wywróconą na skałach, długie lądowiska po lizgu, biegnące po trawiastym wzniesieniu ku drodze. Ruszył przed siebie w dół zbocza.

Podszedł do hotelu od frontu, zawołał głośno, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Kiedy otworzył drzwi i wkroczył do baru, był przygotowany na coś odbiegającego od normalności, na jakieś lądowiska w najlepszym wypadku.

Jagbir i Juliette, cięgle razem, tkwili skuleni, przy barze, kału a zaschłej krwi rozprzestrzeniła się na plecionkę z sitowia.

Było bardzo cicho, zbyt cicho i przez chwilę Mallory'emu zdawało się, że ma w uszach ryk morza. Do tego wszystkiego dołączyło poczucie nierzeczywistości, jakby nic nie wydarzyło się naprawdę. Zawrócił i pokłuszył na zewnątrz.

Stracił pięć minut, schodząc na molo. Miał płonącą nadzieję, że motorówka Guyona będzie nadawała się do użycia. Było już zupełnie ciemno, gdy wspinał się na zbocze i podreptał w stronę domu Grantów.

Wszedł przez kuchnię i otoczyła go cisza, ten dziwny, tajemniczy bezruch, jaki czai się w domu, gdy nikogo w nim nie ma. Ogarnęła go fala samotności.

Powiedział załamującym się i ochrypłym głosem:

- Anno?

Ale słuchał go tylko dom i ci, co przemówić nie mogli.

Począł do pokoju gościnnego, otworzył barek i nalał sobie brandy. Stał tam, popijając małymi łykami i wspominając czas, kiedy ona znajdowała się przy tym kominku w miśkach wietle lampy - chyba z tysiąc lat temu.

Ciemno zdawała się pełna dziwnych szmerów, więc mocno zacisnął powieki, walczył z paniką i rozpacz, które dręły go od wewnątrz. Chwila przeminęła. Odstawił szklankę i wyszedł przez oszklone drzwi.

Księżyc był czysty i bardzo jasny, gwiazdy rozsypane aż po horyzont. Kiedy wszedł na szczyt wzgórza po zachodniej stronie wyspy, St. Pierre i zamek wyglądały jak wycięte z czarnego kartonu, a ich zapierające dech piersi przywodziło na myśl wiat dziecięcych bajek.

W dole zaczynał się odpływ, spieniona woda rozpryskiwała się o wielkie rafy, skały zdawały się sięgać nieba. Minuta po minucie woda nie przestawała opadać, a wreszcie, na jeden krótki godzin, poszarpana grobla połczyła dwie wyspy. Tylko jedna godzina i z rykiem powróci przypływ. Ale myśleć o tym nie miało sensu. Od momentu wydostania się z szalupy działał w takim pośpiechu, że nie miał nawet czasu pozbyć się kamizelki ratunkowej. Dotknął jej automatycznie, idąc wzdłuż klifów, a dotarł do jaru opadającego ukośnie ku plaży; jarem ruszył w dół.

Marcel odryglował ciężkie drzwi i de Beaumont wsunął się do środka. Nie było tam okna, ale pokój był jaskrawo oświetlony nie osłoniętymi żarówkami, zwisającymi z niskiego sufitu. Guyon i Hamish Grant siedzieli na parze starych walizek, rozmawiając przyciszonymi głosami.

Podnieśli się i stanęli, staruszek - opierając się na swej spacerowej lasce. Guyon był bardzo blady, miał ciemne obwódki pod oczyma, a rana na jego czole była czerwona i zaogniona.

- Chyba powinienem panu pogratulować, kapitanie Guyon - powiedział spokojnie de Beaumont.

Guyon potrząsnął głową.

- Nie ma potrzeby. Od początku był pan skazany na niepowodzenie. Szkoda, że pan tego nie zrozumiał o kilka istniejących ludzkich wcześnie.

- Nie byłbym taki pewien. Gra jeszcze się nie skończyła.

- Skończy się w chwili, gdy wylądował tu pułkownik Mallory.

- A je li nie? O ile mi wiadomo, „Fleur de Lys” była bliska utonięcia, gdy widziano ją po raz ostatni.

- Zapomina pan o Granville'u i jego żonie. Do chwili obecnej na pewno powiadomili już władzę. Grunt usuwa się panu spod nóg, de Beaumont. Mylił się pan od początku, od zawsze. Nie potrzebujemy pana ani pańskich osiłków, by mówili nam, jak rzadzi Francja.

Marcel postąpił naprzód, ale de Beaumont odepchnął go na stronę.

- Niech mówi dalej.

- Wielko kraju leży w sercach jego obywateli, a nie w rozmiarach jego terytorium, a Francja to jej obywatele. W ten czy inny sposób krew i cierpienie były tym, co im dawano od 1939 roku, i mieli tego dosyć. Ale nie pan, pułkownik. Nie mógłby się pan zatrzymać, nawet gdyby pan tego chciał.

- Cokolwiek robiłem, robiłem w imię wikszej chwały Francji - powiedział de Beaumont.

- Czy wi kszej chwały Filipa de Beaumont? Co jest co? Czy potrafi pan to odróżnić? Czy kiedykolwiek pan potrafił?

Twarz de Beaumonta jakby obwisła i po raz pierwszy, odkąd Guyon znał go, wyglądał jak stary człowiek. Odwrócił się i wyszedł. Marcel zawahał się, ale podążył za nim. Drzwi zamknięte się i rygle wskoczyły na miejsce.

- Niezłe przemówienie - pochwalił Hamish Grant, przerywając długą ciszę.

- Z którego dokładnie nic nie wynika - powiedział Guyon zmęczonym głosem i usiadł, chowając głowę w dłoniach.

- Mimo to warto posłuchania. - Staruszek poklepał go łagodnie po ramieniu, usiadł z powrotem i czekali dalej.

De Beaumont stał przed wielkim oknem w pokoju na wieży i spoglądał na morze. Daleko, daleko na zachód ocean obramowany był ognistopomarańczowym horyzontem, a Ile de Roc ciemno odcinała się na tle nieba.

Zbyt dużo o piękności jak dla jednego człowieka. Otworzył okno i odetchnął dobrym, słonym powietrzem. Gdzieś poza wyspą, w oddali, zobaczył wiatła statku.

Wściekłość to seria poczynań i zakochanie, przynajmniej tyle zdążył się nauczyć. Pamiętał Dien-Bien-Phu i to, jak stał przy brzegu ziemnej kryjówki, a trójkolorówka była spuszczana w dół i mali, ółci wieśniacy z ryżowych pól wyroili się na zrytym ziemi, by zabrać go i to, co pozostało po jego ludziach.

A potem Algieria. Lata rozlewu krwi, śmierci na ulicach i śmierci na wzgórzach. Wierzył lepo w to, że cel uwiaczą rodki, ale co zrobi, gdy celu nigdy nie uda się zrealizować? Co zrobi, je li pozostaje tylko krew na dłoniach? Krew, która była przelewana bez powodu, której nigdy nie da się zmyć.

Czuł się dziwnie zasmucony i wyprany z wszelkich emocji. Lekki wietrzyk zaczął na wieży, a potem była już tylko cisza. W tej jednej chwili jego serce obróciło się w popiół. Spoglądając na rozświetlone księżycem morze, wiedział z gorzką pewnością, że się pomylił.

e w ostatecznym rachunku wszystko, czego dokonał, nie znaczyło nic. e wszystko, co powiedział Raoul Guyon, było prawda.

Podszedł do kominka i podniósł oczy na stary bitewny sztandar. Patrzył na przez dług chwil .

Skin ł głów , jakby dochodz c do jakiej tajemnej, ukrytej konkluzji.

Podniósł słuchawk telefonu i nacisn ł przycisk połączenia wewn trznego. Kiedy odebrano telefon po drugiej stronie, powiedział krótko:

- Przy lijcie Jacauda.

Odło ył słuchawk , podszedł do w skich drzwi, otworzył je i wkroczył do małej sypialni w wie y. Anna Grant siedziała na krze le przy oknie. Fiona le ała na łó ku.

Zerwały si na nogi i spojrzały mu w twarz. Ukłonił si dwornie i odsun ł si na bok.

- Gdyby panie były łaskawe...

Wyra nie si wahały, potem musn ły go w przej ciu. Cofn ł si z powrotem do swego pokoju i zamkn ł drzwi, po czym podszedł do ognia i odwrócił si .

- Co zrobili cie z moim ojcem? - zapytała Fiona.

- Nie ma powodu do niepokoju. Nie stanie mu si krzywda. Daj pani moje słowo.

- A Raoul Guyon?

De Beaumont u miechn ł si lekko.

- Wydarzyło si wiele rzeczy, o których nie ma pani poj cia. Kapitan Guyon jest w tej chwili z generałem Grantem. Oprócz brzydkiej rany na czole wydawał si mie dobre samopoczucie, gdy widziałem go godzin temu.

- Nie wspomniał pan o pułkowniku Mallorym - zauwa yła ostro nie Anna.

De Beaumont wzruszył ramionami.

- Zgodnie z prawd , moja droga, mog jedynie powiedzieć , e akurat w tej chwili nie mam najmniejszego poj cia, gdzie on mo e by .

Usłyszeli pukanie do drzwi, otworzyły si i wszedł Jacaud. Post pił naprzód i czekał. Jego zimne oczy w brutalnej, zwierz cej twarzy nie zdradzały niczego.

- „Foxhunter” ma zosta zatankowany i przygotowany do rejsu - powiedział de Beaumont.

- Ju tego dopilnowałem. Czy wyruszamy?

- Wyobra am sobie, e byłoby rozs dnie tak wła nie robi . Nawet je li Mallory'emu nie uda si dobi do brzegu, to Granville musiał ju z pewno ci skontaktowa si z władzami francuskimi. Zapewne b d potem musieli porozumie si z wywiadem brytyjskim, ale, jak s dz , nie upłynie du o czasu, zanim stanie przed nami jaka oficjalna delegacja.

- Gdzie płyniemy, do Portugalii?

- Mo e ty, ale nie ja, Jacaud. - Filip de Beaumont wyj ł papierosa z pudełka i starannie umie cił go w ustniku. - Odpływamy za pół godziny na Jersey. Kiedy wysadzisz mnie w St. Helier, jeste wolnym człowiekiem. Ty i inni mo ecie uda si , gdzie zechcecie.

Jacaud otworzył szeroko oczy.

- Jersey? Dlaczego chce pan tam jecha ?

- Poniewa tam znajduje si lotnisko, jak najbardziej dogodne, mój drogi Jacaud, i jest poranny lot do Pary a. Chc na ten lot zd y .

- Pan chyba oszalał. Nie przejdzie pan nawet dziesi ciu jardów po Champs Elysees, a ju kto pana rozpozna.

- To niepotrzebne - powiedział spokojnie de Beaumont. - Widzisz, zamierzam sam odda si w r ce sprawiedliwo ci.

Na chwil pu ciła elazna maska Jacauda.

- Podda si ? Czekaj pana pewna egzekucja.

- O tym zadecyduje s d. - De Beaumont pokr cił głow . - Myliłem si , Jacaud. Wszyscy si mylili my. My lałem, e chodzi mi o to, co najlepsze dla Francji. Wiem teraz, e naprawd chodziło mi o własne korzy ci. Dalszy rozlew krwi i gwałt nie doprowadz do niczego. Wydarzenia ostatnich kilku dni udowodniły mi to.

- A co z tymi kobietami i staruszkami? Co z nimi robimy?

- Mo emy ich uwolni , zanim wyjedziemy. Wkrótce zostan zabrani.

- A Guyon?

- Jego te zwolnimy.

W ciekło Jacauda wyładowała si w gniewnym warkni ciu:

- Rozło tego faceta na łopatki, nawet je li ma to by ostatnia rzecz, której dokonam na ziemi. Mój Bo e, mogłem pozwoli , by si utopił.

- Starszy sier ancie Jacaud! - Głos de Beaumonta był zimny jak stal. - Wydałem panu pewne rozkazy. Dopilnuje pan, eby zostały wykonane. Zrozumiano?!

Przez jedn niebezpieczn chwil ogie zamigotał w oczach Jacauda, a potem, zupełnie nagle, zgasł.

- Prosz pana pułkownika o wybaczenie.

- Otrzymujesz je. Uwolnij kapitana Guyona i generała Grania i przyprowad ich tutaj. Wypływamy za pół godziny.

Jacaud otworzył drzwi i wyszedł. De Beaumont westchn ł i powiedział jakby do siebie:

- Dwadzieścia trzy lata krwi i wojen. Za dużo jak na jednego człowieka.

Odpowiedziała mu Anna Grant, z twarzą bardzo bladą :

- Wobec Boga, współczuj panu, pułkownikowi de Beaumont.

Wziął jej dłoń i pocałował ją łagodnie, potem podszedł do drzwi od sypialni w wieży i otworzył je.

- Może zaczekaj panie tutaj?

Przeszły obok niego. Zamknął drzwi i podszedł do kominka. Patrzył przez długą chwilę na sztandar, potem usiadł przy biurku i wziął do ręki pióro.

Marcel siedział przy stole w swym małym pokoiku, przed nim stała butelka koniaku. Czytał jakieś stare czasopismo, przewracając powoli kartki. Umysł jego był gdzie indziej. Powinni byli wydostać się stąd, kiedy doszły wiadomości o stracie „L'Alouette”, to było oczywiste. Zastanawiał się, o co chodziło de Beaumontowi, i podniósł kieliszek do ust, gdy za jego plecami otworzyły się z trzaskiem drzwi i wszedł Jacaud.

Twarz miał pobladła, skóra mocno napięta na wystających kościach policzkowych. Wyraz jego oczu, jakich dziwnych, zamglonych, sprawił, że na Marcelu cierpła skóra.

- Co jest? Co się tam stało? Jacaud złapał kieliszek, napełnił go koniakiem i wypił duszkiem.

- Chcę, żeby my zabrali go na Jersey. Stamtąd zamierza polecieć do Paryża, by oddać się w ręce sprawiedliwości.

- Musiał postrządnąć zmysły! - Twarz Marcela nabrała chorobliwie żółtego koloru. - Czy zamierzasz mu na to pozwolić?

- Do cholery, nie. Jeśli dostanę jego, dostanę nas wszystkich. To tylko kwestia czasu.

- Co z winami?

- Polecił ich uwolnić. Marcel skoczył na równe nogi.

- Musimy się stąd wydostać. Cała rzecz zaczyna nieładnie pachnieć.

- Wydostaniemy się stąd na pewno, ale sami - odrzekł Jacaud. - Tylko ja i ty. Inni niech sobie idą do diabła. Ale najpierw muszę pozbyć się de Beaumonta. Za dużo wie, bym mógł zostawić go samemu sobie.

- A Guyon?

- Muszę zrzec się tej przyjemności. Zajmij się nim i starym. Zobaczymy się na molo za piętnaście minut.

Wyszedł, a Marcel podniósł butelkę koniaku do ust, pocignął uczciwie i cisnął ją w kąt.

W korytarzu było cicho. Przemierzył go szybko do końca i zatrzymał się przed mocnymi drewnianymi drzwiami. Wyjął z kieszeni rewolwer i po piesznie go sprawdził. Miał cztery naboje w magazynku. Odryglował drzwi, otworzył je kopniakiem i wszedł do środka.

Raoul Guyon i generał Grant powstali na jego wejście. Marcel zamknął za sobą drzwi i ruszył naprzód.

- Pan pierwszy, kapitanie - powiedział i podniósł rękę.

Guyon uskoczył w bok i pocisk odłupał kawałek kamienia ze ściany. W tym samym momencie Hamish Grant stuknął łaskotką w drzwi, pogrzebał cicho w ciemności.

Marcel krzyknął piskliwie i wystrzelił dwukrotnie. W trwałym ułamku sekundy błysku zauważył się przesuwający się na prawo i znów wystrzelił dwa naboje. Zamek rewolweru szczyknął głucho w pustej komorze. Marcel rzucił ze szlochaniem broń i zaczął szukać drzwi.

Z tyłu za nim zaszurały kroki i czyjeś ramiona owinięły się wokół jego szyi. Poczucił ból i z bezlitosną siłą walczył za siebie. Hamish Grant wzmocnił uścisk, jego palce zacisnęły się jak stalowe pasy i Francuz opadł bezsilnie.

Starzec rzucił go na podłogę i odezwał się ochryłym głosem:

- Raoul, gdzie jesteście?

Nastąpił ruch w ciemności za jego plecami.

- Tutaj, generale.

Hamish Grant wyciągnął rękę i dotknął jego pleców.

- Jesteś ranny?

- Ani trochę - odrzekł Guyon. - Ale wydostał się stąd. Musimy znaleźć dziewczyny.

Staruszek otworzył ostro drzwi i wyszedł na korytarz. Co poruszyło się, ciemność na tle wiatła. Wyciągnął rękę, warkot dobył się z jego krtani i wtedy ktoś chwycił go mocno za nadgarstki.

Zmierzony, znajomy głos powiedział:

- W porządku, generale. To ja.

ROZDZIAŁ XVIII

OSTATNIA RUNDA

Mallory przedzierał się przez wielkie usypisko liskich kamieni, zatrzymując się na szczycie naturalnej skarpy. Nigdy przedtem w całym swym życiu nie odczuwał większej samotności. Po obu stronach rozciągało się morze, a przed nim - jasny w świetle księżyca, złowrogi, wijący się labirynt skał i wielkich głazów, który tworzył rafę.

Przy wysokiej fali skarpy, na której teraz stał, znajdowały się na głębokoci pociągające się. Posuwał się dalej, lizgając się i potykając w grzazawisku liskich wodorostów, zanurzając się miejscami po kolana.

Pokonanie połowy długości rafy zajęło mu trzy kwadransy. Z każdą upływającą chwilą stawało się coraz bardziej oczywiste, że jeżeli nie zwiększy tempa marszu, przybływ zabierze go i roztrzaska o te okrutne skały.

Wyszedł na pasek mokrego piasku, połyskującego w świetle księżyca, i zaczął biec. Przez blisko sto jardów miał pod stopami czysty piasek, ale potem zaczął się wir i potłuczone kamienie.

Wkroczył w las ciemnych „wskazujących palców”, które wznosiły się w świetle księżyca jak jakiś przedziwny prehistoryczny zabytek. Stracił dziesięć minut na szukanie drogi przez ten kamienny las. Kiedy wreszcie się przezeprędarł, zatrzymał się w opadającej ławicy wodorostów i spojrzał w dół na księżyc odbity w wodach lodowego Przesmyku.

Przed nim rozciągał się ciemny tunel z wodą stanowiącą przegrodę szerokości co najmniej dwudziestu stóp przy niskim poziomie. Wiatr od morza, zacinający w twarz wodnym pyłem, ostatecznie go przekonał. Przy obecnym tempie posuwania się z pewnością nie zdąży uciec przed falą przyboju. Pozostała już tylko jedna szansa pokonania pływu. Ze lizgnął się po krawędzi.

Zdziwiło go, że gdy wszedł do wody, nie odczuwał zimna, a jego kamizelka ratunkowa działała niezawodnie. Przewrócił się na plecy i zaczął płynąć, używając obu ramion w imponującym stylu grzbietowym.

Przesmyk był lekko zacieniony, zupełnie nieruchomy i dochodzący z zewnątrz odgłos morza zdawał się należeć do innego świata. Pamiętał, co znajdowało się pod nim, wiele się w dół w wodnych ciemnościach, ale odsunął myśli o tym, skupiając wszystkie siły na zadaniu, które miał wykonać.

Upłynęło mu jeszcze pięć minut, gdy usłyszał jakiś dźwięk na zewnątrz. Woda zaczęła pieni się w zagłębieniach nad jego głową, rozpryskując się mu na twarzy. Poziomą wodę zaczął gwałtownie wzrastać i z każdą upływającą minutą przybliżył się strop.

Mallory przewrócił się na twarz i płynął gorczakowo trzepocząc nogami. Kilka minut później wpłynął do postrzępionego zagłębienia. Gdy fala uniosła go w górę, chwycił za brzeg skały i wyczołgał się z wody.

Fala pływowa już się podnosiła, łakomie oblizując skały. Daleko nad morzem płaska błyskawica rozświetliła niebo. Dotarł do końca głównej części rafy. Przed nim na odległość trzydziestu jardów ciągnął się długi, woskowy pas skał i wiru.

Zaczął biec, słysząc ryk morza, mającego na niego apetyt, morza, które zbliżało się, zatapiając i dławiąc fosforyzując jaskrawo niebieskozielonymi wiatłami tańczącymi na wodzie i znikającymi tak szybko, jak się pojawiały. Po prawej - znów zajaśniała błyskawica i ciemny pas cienia przesunął się po niebie,* przysłaniając gwiazdy. Wbiegł na długi pas kamyków. Nie zwalniał tempa.

W połowie drogi morze pluskało na wysokość kolan. Parł naprzód, czując siłę pływów, ciągnącego go za nogi. Kiedy dobiegł do usypiska głazów u podnóża wyspy, woda się gąssała mu już do pasa. A gdy stracił grunt pod stopami, rzucił się naprzód, czepiając jakiejś krawędzi, i wygramolił się na skałę.

Morze wciąż się podnosiło, a on nie ustawał w biegu, wiadomo jedynie czyhając za plecami niebezpieczeństwa. Wkrótce był już u podstawy klifów i w końcu dotarł do cypla poszarpanych skał nie dalej niż dwadzieścia stóp od wejścia do zatoczki.

Wskoczył do wody i zaczął desperacko płynąć, ale było to niepotrzebne. Pływ wniósł go do rowka na grzbiecie wielkiego wału wodnego. W chwili później uderzył o cian mola przy rufie „Foxhuntera”. Podpłynął do kondygnacji kamiennych schodów i wyszedł z wody.

Był zmęczony, bardziej zmęczony niż kiedykolwiek przedtem w całym życiu, a ryk morza zdawał się wciąż tłuc w jego głowie. Ciągnął kamizelkę ratunkową, powłócił się przez molo, a potem wdrapał na schody, trzymając się ciany. Kiedy dotarł do podestu, panowała cisza. Ostro nie otworzył drzwi i poszedł dalej.

Na tym odcinku korytarza było troje drzwi, wszystkie prowadziły do pomieszczeń zajmujących kwatery przez załogę „L'Alouette”. Przeszukał je szybko, spodziewając się znaleźć broń, ale nie było tam niczego.

Kiedy opuszczał ostatni pokój, usłyszał stłumione odgłosy kilku wystrzałów oddanych gdzieś w pobliżu. Stał, nasłuchując uważnie. Rozległ się kolejny strzał. Szedł przez korytarz w ogromnym napięciu, z wyostrzonymi zmysłami, w końcu przystanął.

Za jego plecami otworzyły się jakieś drzwi. Obrócił się natychmiast, wznosząc ręce do góry. W smudze wiatła ukazał się Hamish Grant.

Wielki hali był miejscem pełnym cieni. Na palenisku nie płon ła ogie , i tylko pojedyncze wiatło w oddali rozpraszało ciemno ci. Mallory odsun ła si od progu i nasłuchiwał, ale nie dochodził do niego aden d wi k. Wtedy podszedł do Guyona i Hamisha Granta.

Na cianie galerii znajdował si mały kinkiet i z jakiego powodu jakby przygasł, gdy Mallory wchodził po schodach. Stan ła, lekko si chwiej c na nogach, a niespokojny głos Guyona zdawał si dochodzi z wielkiej odległo ci:

- Nic ci nie jest, Neil?

Mallory otworzył oczy i ruszył dalej, stawiaj c mechanicznie stop za stop . Dopiero gdy dotarli do drzwi wie y i otworzył je pchni ciem, u wiadomił sobie, jak bardzo był wyczerpany. Zupełnie opadł z sił.

Guyon i staruszek wcisn li si do w skiego hallu, a Mallory zarygłował drzwi.

- Cokolwiek si jeszcze wydarzy, tu ju si nikt nie dostanie - powiedział, a jego słowa zabrzmiały dziwnie obco, jakby wypowiedziane przez kogo innego.

Odetchn ła gł boko i odwołuj c si do ostatnich zapasów energii ciała i umysłu, poszedł pierwszy w gór po schodach. ciany zakre łały koła, nocne niebo prze witywało przez szczeliny okien, gdzie złowrogo zagrzmiało.

Kiedy wyszli na pierwszy podest, drzwi do pokoju radiotelegrafisty stały otworem i nikogo tam nie było. Mallory podszedł do nadajnika i wł czył go. W eterze rozległy si słabe trzaski. Podniósł mikrofon i wtedy wysoko na wie y oddano jeden po drugim trzy strzały. W chwil pó niej krzykn ła Fiona Grant.

Jacaud przystan ła na pode cie, si gn ła po lugera do kieszeni swojej dwurz dowej kurtki i wyj ła z niego magazynek. Nie był pełen, mógł to łatwo stwierdzić po wadze, ale nie było czasu na powtórne ładowanie. Wepchn ła go z powrotem w kolb , umie cił lugera w kieszeni i otworzył drzwi.

De Beaumont siedział przy swoim biurku i co pisał. Jego włosy srebrzyły si w łagodnym wietle. Starannie osuszył kartk papieru, odło ył pióro i uniósł oczy.

Zmarszczka pojawiła si na jego czole.

- Co si stało, Jacaud? Gdzie s generał Grant i Guyon?

- Teraz zajmuj e si nimi Marcel - powiedział spokojnie Jacaud.

- Zajmuj e si nimi? Nie rozumiem.

- Nie rozumie pan, dzielny pułkowniku? - Jacaud za miał si nieprzyjemnie. - Czy naprawd pan my łał, e stan na boku i pozwol panu polecieć do Pary a, tam odgrywa le grand seigneur de Beaumonta do samego ko ca?

- Jak miesz! - zachrypiał de Beaumont.

- Dla pana to zawsze była gra - cięgnął Jacaud. - Wielka, wspaniała gra, z fanfarami i sztandarami powiewającymi na wietrze, jak na jakimś średniowiecznym turnieju. Tak pan był i chciał pan umrzeć, ale nic z tego, pułkowniku. Przycisnął pana tak mocno, że wypieł im pan wszystko, co tylko się w życiu zdarzyło, odkąd skończył pan trzy lata. Na pana nieznacznie to dotyczy także mnie.

De Beaumont złapał szklany przycisk do papieru, cisnął nim z całej siły, po czym chwycił za rączkę szuflady, w której miał rewolwer. Jacaud uskoczył w bok, przycisk do papieru z hukiem uderzył o ścianę, a on wystrzelił.

Pocisk trafił de Beaumonta w lewe ramię, okrącając go w miejscu. Jacaud strzelił jeszcze dwa razy, uderzenie kul popchnęło de Beaumonta do przodu. Uczepił się obramowania kominka, a lśniący materiał jego marynarki zajął się płomieniem. Wyciągnął ręce w stronę starego bitewnego sztandaru. Osuwając się na ziemi, chwycił palcami skrawek płótna, które sfrunęło i przykryło go jak szkarłatny całun.

Drzwi pokoju w milczeniu otworzyły się, pojawiły się Anna i Fiona Grant. Młoda dziewczyna wydała przeraźliwy pisk, zakrywając twarz rękoma. Jacaud nie zwrócił na nie uwagi. Przeszedł powoli przez pokój i stanął, spoglądając w dół na de Beaumonta, z wyrazem oszołomienia w oczach.

Zanim drzwi otworzyły się z trzaskiem na oścież. Gdy odwrócił się, Raoul Guyon rzucił się naprzód. Pierwszy pocisk Jacauda rozłupał ścianę przy drzwiach, drugi trafił Guyona nieco powyżej lewej piersi, zatrzymując go w środku drogi. Guyon jęknął i upadł na jedno kolano. Jacaud uniósł luger, wycelował dokładnie i strzelił raz jeszcze.

Gdy kurek zgrzytnął w pustej komorze, Anna Grant rzuciła się na Jacauda, chwytając za rękę. Uderzył ją wierzchem dłoni. Anna wpadła na ścianę, a on sięgnął do kieszeni po zapasowe naboje.

Mallory zdawał się wypełniać sobie drzwi. Jego oczy były już tylko ciemnymi plamami na twarzy znaczonej wysiłkiem. Ruszył naprzód, kołysząc się lekko z boku na bok, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Jacauda - niczym spacerujący trup, z twarzą bez wyrazu.

Jacaud rzucił luger, chwycił ciężki mosiężny pogrzebacz z kominka i zwał go w dłoniach z okrutnym uśmiechem na ustach.

- No, chodź - powiedział. - Chodź tu, sukinsynu!

Mallory zatrzymał się, ręce luźno zwisały po jego obu bokach, zdawało się, że jest u kresu sił. Jacaud skoczył naprzód, wymachując pogrzebaczem, błyszczącym w świetle lampy.

Dla Mallory'ego ten zamach był czymś w rodzaju kołysania się gałązi na wietrze. Gdy pogrzebacz znalazł się w dole, chwycił Jacauda za nadgarstek, wykrcając mu ramię do tyłu i naprężając jak stalowy sztab - zastosował ten sam elastyczny chwyt co na nabrzeżu w Southampton, dawno temu.

Jacaud wrzasnął i puścił pogrzebacz. Mimo że jego ramienia nie wytrzymały. Mallory chwycił go za drugi nadgarstek i unosił w górę, po czym tędy wykrcał.

Rozległ się rozdzierający krzyk, gdy muskuł puścił, i Jacaud zawył przeraźliwie. Nie zwalniając uścisku, Mallory poprowadził go przez pokój w stronę wielkiego okna. Rozprysło się w niebezpiecznej burzy fruwającego szkła i Jacaud zanurkował w ciemność. Jego ostatni krzyk rozplątał się na wietrze jak duch.

Raoul Guyon podpierał się o kolano Fiony, twarz miał naznaczony bólem. Hamish Grant stał w drzwiach. Kiedy Mallory obrócił się, z twarzą pokrwawioną od rozpryskującego się szkła, wszyscy patrzyli na niego.

Nogi ugięły się pod nim, ale chwyciły go mocne ramiona, układając go na podłodze. Uniósł powieki i spojrzał na Ann Grant, na tę ciemną, drogą twarz, przepelnioną miłością do niego.

- Raoul? - zapytał. - Co z Raulem? Czy to poważne?

- Nic mu nie będzie.

Było coś jeszcze, coś bardzo ważnego. Rozpaczliwie zmarszczył brwi i wtedy przypomniał sobie.

- Pokój z nadajnikiem... - po schodach w dół. Musimy wezwać Jersey. Są tam trzy torpedowce, czekajcie tylko na właściwy sygnał.

- W porządku - powiedziała - wszystko jest w porządku. Zajmiemy się tym.

Ułożyła mu głowę na własnej piersi, ogarnęła ramionami. Wtulił się w ich miękkość i zasnął z odgłosem morza w uszach.